

SERIA KRYMINALNA O LILY BARD

Autorka
bestsellerowej serii o Sookie Stackhouse

Charlaine HARRIS

CZYSTE INTENCJE

Dill obiecał siostrze Lily wieczną miłość.
Ale czy wcześniej nie zapewnił innym
wiecznego spoczynku?

CHARLAINE HARRIS

**CZYSTE
INTENCJE**

TŁUMACZENIE
EWA RAJEWSKA

znak *litera
nova*

KRAKÓW 2011

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Podziękowania

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

*Dla Deana Jamesa, nadzwyczajnego czytelnika,
pisarza, księgarza i przyjaciela.*

Podziękowania

Dziękuję wszystkim, którzy służyli mi wiedzą i radą podczas pisania tej książki: emerytowanemu komendantowi policji Philowi Gatesowi, mediatorce Ann Hilgeman, prywatnej detektyw Normie Rowell i specjalście od daktyloskopii M. Nolte.

ROZDZIAŁ 1

Ta scena wyglądała równie surrealistycznie jak te koszmarne cklizny w zwolnionym tempie, którymi naszpikowane są hollywoodzkie filmy klasy B.

Siedziałam na pace jadącego powoli dodge'a, majestatycznie rozparta na mało stabilnym plastikowym ogrodowym krześle, dla niepoznaki przykrytym czerwoną pluszową narzutą z frędzlami. Po obu stronach ulicy stały tłumy machających rękoma i wiwatujących ludzi. Od czasu do czasu sięgałam do białego plastikowego wiadra, które trzymałam na kolanach, wyciągałam z niego garść cukierków i rzucałam je publiczności.

Byłam ubrana, co, jak się domyślam, w snach bynajmniej nie jest regułą, nie był to jednak mój strój codzienny. Miałam na sobie czerwoną mikołajową czapę z dużym białym pomponem i nowiutki zielony dres, a moją pierś ozdabiał obrzydliwy stroik ze sztucznego ostrokrzewu. Staralam się uśmiechać.

Dojrzawszy w tłumie znajomą twarz, twarz rozciągniętą w uśmiešku nieskrywanej satysfakcji, następną miętówką wycelowałam bardzo starannie. Trafiła mojego sąsiada, Carltona Cockrofta, w sam środek klatki piersiowej i na sekundę zgasiła ten jego uśmiech.

Pikap stanął, powtarzając znany i działający mi na nerwy schemat, który się wykrył kilka minut po tym, jak parada ruszyła wzdłuż Main Street. Któryś z zespołów na przedzie zatrzymał się, żeby na cały regulator zagrać świąteczną piosenkę, w związku z czym musiałam się uśmiechać i machać do tych cholernych gapiów tak długo, aż piosenka nie dobiegła końca.

Bolały mnie już mięśnie twarzy.

W zielonym dresie, który włożyłam na warstwę termoaktywnej bielizny, było mi przynajmniej dosyć ciepło, czego na pewno nie dało się powiedzieć o dziewczynach, które entuzjastycznie zgodziły się wystąpić na platformie klubu fitness Body Time, jadącej bezpośrednio przede mną. One także miały na głowach mikołajowe czapki, ale poza tym były ubrane tylko w skąpe stroje do ćwiczeń – cóż, w tym wieku zrobienie wrażenia liczy się bardziej niż zdrowie i komfort.

– Jak się trzymasz?

Raphael Roundtree wychylił się przez okno szoferki i obrzucił mnie badawczym spojrzeniem.

Spiorunowałam go wzrokiem. Raphael miał na sobie płaszcz, szalik i rękawiczki, a grzanie w kabinie podkręcił na maksimum. Z jego okrągłej brązowej twarzy biło samozadowolenie.

– Świetnie – rzuciłam wściekle.

– Lily, Lily, Lily! – Raphael pokręcił głową. – Przypraw sobie ten uśmiech z powrotem, dziewczyno, bo odstraszysz klientów, zamiast znaleźć nowych!

Podniosłam oczy do nieba w geście błagania o cierpliwość. Ale mój wzrok, zamiast poszybować w czyste szare przestworza, zatrzymał się na tandetnych ozdobach ze sztucznych świerkowych gałęzi, którymi obwieszono ulicę. Gdziekolwiek spojrzeć, królowały gwiazdkowe dekoracje. Shakespeare nie ma zbyt dużego funduszu na ozdoby bożonarodzeniowe, toteż co roku od ponad czterech lat, które spędziłam w tym miasteczku w stanie Arkansas, oglądam te same dekoracje. Co drugą latarnię ozdobiono dużą świecą osadzoną na stylizowanym „lichtarzu”. Pozostałe latarnie pyszniły się dzwonkami.

Najważniejszą sezonową ozdobą miasta była olbrzymia choinka (źłóbek musiał ustąpić), którą ustawiono na trawniku przed ratuszem. Lokalne

kościół zorganizowały dla mieszkańców dużą imprezę, żeby wspólnie ubrać drzewko. Efekt był raczej sympatycznie dyletancki niż elegancki – i w sumie dobrze charakteryzował samo Shakespeare. Kiedy miniemy ratusz, parada będzie się miała ku końcowi.

Razem ze mną na pace pikapa jechała mała choinka, niestety sztuczna. Przystroiłam ją kokardami ze sztywnej złotej wstążki, złotymi ozdobami i złoto-białymi sztucznymi kwiatami. Dołączona do niej dyskretna plakietka informowała:

*PROFESJONALNA DEKORACJA DRZEWEK
DOJAZD DO DOMU LUB FIRMY KLIENTA*

Ta nowa usługa w mojej ofercie bez dwóch zdań była skierowana do osób, które wołały elegancję.

Plakaty po obu stronach pikapa głosiły: *SPRZĄTANIE I SPRAWUNKI, SHAKESPEARE I OKOLICE*, a poniżej widniał mój numer telefonu. Carlton, mój księgowy, tak uporczywie przekonywał mnie do założenia własnej firmy, że w końcu to zrobiłam. A wtedy Carlton mimo mojej wyraźnej niechęci zaczął mnie przekonywać, że muszę zaistnieć w świadomości publicznej.

I tak wylądowałam na tej cholernej paradzie.

– Uśmiechnij się! – zawołała Janet Shook, idąca zaraz za pikapem.

Zrobiła do mnie głupią minę, po czym odwróciła się do grupy mniej więcej czterdzieścioro dzieci, które maszerowały za nią, i zakomenderowała: – No dobrze, kochani! A teraz szekspirujemy!

Dzieci nie zwymiotowały na tę komendę chyba tylko dlatego, że żadne z nich nie skończyło jeszcze dziesięciu lat. Wszystkie uczestniczyły w sponsorowanym przez miasto programie „Bezpieczni po szkole”, w którym

pracowała Janet, i najwyraźniej lubiły wykonywać jej polecenia. Teraz zaczęły robić pajacyki.

Pozazdrościłam im. Pomimo izolacji cieplnej długotrwałe siedzenie bez ruchu powoli zaczynało mi się dawać we znaki. Zimy w Shakespeare są zwykle bardzo łagodne, ale jak podało lokalne radio, akurat dzisiejsza parada świąteczna wypadła w dniu najzimniejszym od siedmiu lat.

Dzieciaki Janet miały błyszczące oczy i rumiane policzki, podobnie zresztą jak Janet. Ich podskoki przeszły w rodzaj tańca – tak mi się przynajmniej wydawało. Nieszczególnie się orientuję w kulturze popularnej.

Nadal rozciągałam usta w uśmiechu do otaczających mnie twarzy, ale to była prawdziwa męka. Kiedy dodge wreszcie ruszył, poczułam przypływ ulgi. Zaczęłam rzucać cukierkami w tłum i machać.

To było piekło. Ale inaczej niż piekło, miało swój koniec. Ostatecznie nadeszła chwila, kiedy moje wiadro z cukierkami zrobiło się puste, a parada dotarła do mety, parkingu przy Superette Grocery. Raphael i jego najstarszy syn pomogli mi odnieść choinkę do biura podróży, dla którego ją ozdobiłam, a plastikowe krzesło odstawili do własnego ogrodu. Podziękowałam Raphaelowi i zapłaciłam mu za benzynę i fatygę, mimo że protestował.

– Warto było to zrobić tylko po to, żeby zobaczyć, jak się tak długo uśmiechasz. Twarz cię będzie jutro bolała – powiedział z satysfakcją Raphael.

Nie wiem, co się stało z czerwoną pluszową narzutą. I nie chcę wiedzieć.

Jack, który wieczorem zadzwonił do mnie z Little Rock, nie okazał mi zbyt wiele współczucia. Prawdę powiedziawszy, śmiał się.

– Czy ktoś to sfilmował? – wysapał, stłumiwszy wreszcie chichot.

– Mam nadzieję, że nie.

– Już dobrze, Lily, wyluzuj – powiedział. W jego głosie nadal słyszałam rozbawienie. – Co robisz w święta?

To był dla mnie dość delikatny temat. Jack Leeds i ja spotykaliśmy się od jakichś siedmiu tygodni. Sprawa była zbyt świeża, żeby zakładać, że spędzimy te święta razem, i zbyt niepewna, żeby wdawać się w rzeczowe dyskusje na temat świątecznych przygotowań.

– Muszę pojechać do domu – odparłam sucho. – Do Bartley.

Długa cisza.

– I nie masz ochoty? – spytał ostrożnie Jack.

Zdobyłam się na szczerść. Rzeczowość. Otwartość.

– Muszę pojechać na ślub mojej siostry. Będę jej druhną.

Tym razem się nie zaśmiał.

– Kiedy ostatnio widziałas się z rodzicami? – zapytał.

Dziwna rzecz: nie umiałam odpowiedzieć.

– Nie wiem, chyba z... pół roku temu? Osiem miesięcy? Któregoś dnia spotkaliśmy się w Little Rock. Około Wielkanocy. A Vareny nie widziałam już całe lata.

– I nie chcesz tam jechać?

– Nie – odparłam z ulgą, że mogę powiedzieć prawdę.

Kiedy prosiłam o tydzień wolnego, moi pracodawcy, gdy już się otrząsnęli z zaskoczenia, byli niemal jednomyślnie zachwyceni, słysząc, że wybieram się na ślub siostry. Prześcigali się w zapewnieniach, że moja tygodniowa nieobecność nie pokrzyżuje im planów. Wypytywali mnie o wiek siostry (dwadzieścia osiem lat, młodsza ode mnie o trzy), jej narzeczonego (aptekarz, wdowiec, ma córeczkę) i o to, w czym wystąpię podczas ceremonii. (Nie miałam zielonego pojęcia. Kiedy Varena poinformowała mnie, że wybrała już suknie dla druhen, wysłałam jej mój rozmiar i trochę pieniędzy, ale projektu nie widziałam).

– To kiedy cię znów zobaczę? – zapytał Jack.

Poczułam, jak ciepłą strużką wsącza się we mnie ulga. Nigdy nie byłam pewna, co będzie z nami dalej. Zawsze brałam pod uwagę możliwość, że Jack już więcej do mnie nie zadzwoni.

– Cały przedświąteczny tydzień spędzę w Bartley – odpowiedziałam. – Ale na święta zamierzam wrócić tutaj.

– Nie zostaniesz w domu na święta?

Nieomal słyszałam, jak zdumienie Jacka niesie się echem wzdłuż linii telefonicznej.

– Będę na święta w domu. Tutaj – ucięłam dyskusję. – A jakie są twoje plany?

– Nie mam żadnych. Brat z żoną zaprosili mnie do siebie, ale nie zrobili tego tak całkiem szczerze, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Rodzice Jacka zmarli w ciągu ostatnich czterech lat.

– Chcesz przyjechać do mnie? – Czekałam na jego odpowiedź z twarzą stężoną z niepokoju.

– No jasne – odpowiedział głosem tak łagodnym, że wiedziałam, iż zdaje sobie sprawę, ile mnie kosztowało to pytanie. – A zawieszysz jemiołę? W całym domu?

– Może – odparłam, dokładając starań, żeby w moim głosie nie było słyhać ogromnej ulgi i radości, które czułam. Przygryzłam wargę, żeby się opanować. – Chciałbyś zjeść prawdziwy świąteczny obiad?

– Będzie indyk? – zapytał z nadzieją. – Z nadzieniem z chleba kukurydzianego?

– Da się zrobić.

– Z żurawiną? I zielonym groszkiem?

– Z duszonym szpinakiem.

– Brzmi smakowicie. A co ja mam przynieść?

– Wino.

Rzadko piję alkohol, ale uznałam, że w towarzystwie Jacka lampka lub dwie dobrze mi zrobi.

– Załatwione. Gdyby przyszło ci do głowy coś jeszcze, po prostu zadzwoń. W przyszłym tygodniu mam do skończenia jedno zlecenie, a potem rozmowę w sprawie kolejnego, które może przyjmę. Mogę się u ciebie nie pojawić aż do świąt.

– Szczerze mówiąc, ja też mam teraz sporo pracy. Wszyscy usiłują zrobić wielkie przedświąteczne porządki, wydają przyjęcia bożonarodzeniowe, potrzebują choinek do biur.

Do świąt zostały jeszcze ponad trzy tygodnie. Bez widzenia się z Jackiem to naprawdę długo. Chociaż wiedziałam, że będę bardzo zapracowana przez cały ten czas (wyjazd do domu na ślub Vareny też uważałam za pewien rodzaj pracy), na myśl o trzytygodniowej rozłące poczułam bolesny skurcz.

– To naprawdę długo – powiedział niespodziewanie.

– Tak.

Ustaliwszy ten fakt, oboje szybko się wycofaliśmy.

– Będę do ciebie dzwonił – zapewnił zaraz Jack.

Rozmawiając ze mną przez telefon, leżał pewnie na kanapie w swoim mieszkaniu w Little Rock. Gęste ciemne włosy miał związane w koński ogon. Przy tej pogodzie blizna na jego twarzy, wąska i biała, trochę ściągnięta w miejscu, gdzie się zaczynała, przy linii włosów, i zmierzająca w stronę prawego oka, odznaczała się wyraźniej. Jeśli Jack spotkał się dziś z klientem, był ubrany w eleganckie spodnie i sportową marynarkę, skórzane półbuty z ozdobnym noskiem, koszulę i krawat. A jeśli kogoś obserwował albo zbierał dane przez internet, co zajmowało coraz większą część dnia pracy prywatnego detektywa, miał na sobie dzinsy i sweter.

– Co masz na sobie? – zapytałam nagle.

– Sądziłem, że to ja powinienem zadawać takie pytania?

Znowu słyszałam wesołość w jego głosie.

Uparcie milczałam.

– No dobrze. Mam na sobie – chcesz, żebym zaczął z dołu czy z góry? – reeboki, białe sportowe skarpetki, granatowe spodnie od dresu, bokserki i T-shirt.

– Wystrój się na święta.

– W garnitur?

– Może nie aż tak. Ale ładnie.

– W porządku – powiedział ostrożnie.

Tego roku Boże Narodzenie wypadło w piątek. W soboty sprzątam teraz tylko u dwóch klientów, żaden z nich nie wróci do pracy nazajutrz po świętach. Może mogłabym ich załatwić w bożonarodzeniowy poranek przed przyjazdem Jacka?

– Zabierz ubrania na dwa dni – powiedziałam. – Możemy spędzić razem piątkowe popołudnie, sobotę i niedzielę – nagle uświadomiłam sobie, że to założenie, i zrobiłam raptowny wdech. – Jeśli oczywiście możesz zostać tak długo. Jeśli chcesz.

– Chcę – odparł. Jego głos zabrzmiał chropawo, mroczniej. – Bardzo chcę.

– Uśmiechasz się?

– Owszem – potwierdził. – Jeszcze jak.

Sama też się lekko uśmiechnęłam.

– W takim razie do zobaczenia.

– Powiedziałaś, że skąd pochodzisz? Z Bartley, tak? Rozmawiałem o tym z przyjacielem parę dni temu.

Na wiadomość, że rozmawiał o mnie, poczułam się dziwnie.

– Tak, z Bartley. Leży w delcie Arkansas trochę na północ i sporo na wschód od Little Rock.

– Aha. Wizyta w domu na pewno pójdzie gładko. Liczę na relację.

– Czemu nie.

Ucieszyłam się, że będę mogła komuś o tym opowiedzieć, że nie wrócę do cichego, pustego domu, żeby całymi tygodniami przeżywać rodzinne spięcia.

Ale zamiast powiedzieć o tym Jackowi, oświadczyłam: – To do usłyszenia.

Powiedział coś, kiedy już odkładałam słuchawkę. Zawsze mamy kłopoty z kończeniem naszych rozmów.

W Arkansas są dwa miasteczka o nazwie Montrose. Następnego dnia pojechałam do tego, które ma galerię handlową.

Ponieważ nie pracuję już dla Winthropów, mam teraz więcej czasu, niż jestem w stanie zagospodarować – i tylko dlatego przystałam na propozycję Carltona, żeby wziąć udział w bożonarodzeniowej paradzie. Dopóki więcej osób nie zdecyduje się skorzystać z moich usług, mam dwa wolne przedpołudnia w tygodniu. Dziś było jedno z nich. Wybrałam się na trening do Body Time (to był dzień tricepsa), wróciłam do domu, żeby wziąć prysznic i się przebrać, i wstąpiłam do siedziby lokalnej gazety, żeby zamieścić anons w dziale ogłoszeń drobnych (*Na święta spełnij najskrytsze marzenie swojej żony – sprezentuj jej służącą*).

A teraz stałam w centrum handlowym, mimowolnie słuchając – po raz kolejny – tych samych kolęd, otoczona przez ludzi, którzy oddawali się zakupom w szczególnej atmosferze oczekiwania i ekscytacji. Przygotowywałam się do zrobienia czegoś, czego najbardziej nie lubię: wydawania pieniędzy w momencie, kiedy mam niskie dochody. Na dodatek miałam je wydać na ubrania.

W czasach, o których myślę jako o moim poprzednim życiu, tym, które wiodłam w Memphis, pracując przy układaniu grafiku dla pracowników w dużej firmie sprzątającej, ubierałam się naprawdę nieźle. W tamtych czasach byłam długowłosa szatynką, a przy podnoszeniu dziesięciokilowych hantli drżały mi ręce. Byłam też niewiarygodnie naiwna. Wierzyłam, że w głębi duszy wszystkie kobiety są siostrami, a mężczyźni pod grubą warstwą gówna są zasadniczo przyzwoici i uczciwi.

Na samo wspomnienie wydałam mimowolny odgłos obrzydzenia. Siwowłosa kobieta, która siedziała na ławce jakiś metr ode mnie, odezwała się współczująco: – Tak, po ponad miesiącu to się robi trochę uciążliwe, prawda?

Odwróciłam się do niej. Niska i tęga, miała na sobie świąteczną bluzę z reniferem i zielone spodnie. Jej buty należały do kategorii „obuwie o podwyższonym komforcie chodzenia”. Uśmiechnęła się do mnie. Podobnie jak ja była sama i miała więcej przemyśleń, którymi chciała się podzielić.

– Tak wcześniej zaczynają teraz świąteczną sprzedaż, a dekoracje to wieszają, ledwo zdążą posprzątać te z Halloween! To całkiem zabija nastrój!

– Taaak – potwierdziłam.

Odwróciłam się, żeby zerknąć na swoje odbicie w witrynie... i zdobyć pewność. Tak, byłam Lily, jej nowszą wersją, z krótkimi blond włosami i mięśniami jak sprężyny, czujną i energiczną. Obcy ludzie zagadywali mnie niezwykle rzadko.

– Naprawdę szkoda świąt – powiedziałam do starszej pani i odeszłam.

Z portmonetki wyciągnęłam listę. Nie skróci się, dopóki czegoś z niej nie wykreślę po dokonaniu zakupu. Moja matka starannie spisała wszystkie spotkania towarzyskie poprzedzające ślub Vareny i opatrzyła gwiazdkami te, na których bezwzględnie musiałam się pojawić. Dołączyła też notatki, w

co się powinnam ubrać, na wypadek gdybym zapomniała, jak się odnaleźć w towarzystwie z Bartley.

Chociaż w liście nic o tym nie wspomniała, między wierszami wyczytałam prośbę, żebym przez wzgląd na siostrę prezentowała się odpowiednio i starała zachowywać „towarzysko”.

Jestem dorosłą, trzydziestojednoletnią kobietą. Nie jestem ani tak dziecinna, ani tak pomyłona, żeby sprawić swoim bliskim przykrość niestosownym zachowaniem czy ubiorem.

Ale kiedy weszłam do najlepszego butik w mieście i spojrzałam na te wszystkie rzędy wieszaków z ubraniami, poczułam się kompletnie bezradna. Dla kobiety, która maksymalnie uprościła sobie życie, wybór był stanowczo za duży. Sprzedawczyni zapytała, czy może mi pomóc; pokręciłam głową.

Mój stupor był upokarzający. Zwymyślałam się w duchu. Dam radę. Muszę tylko...

– Lily! – odezwał się ciepły, dźwięczny głos.

Obróciłam się w jego stronę i zobaczyłam mojego przyjaciela Bobo Winthropa. Jego twarz straciła dawną rozczulającą chłopięcą miękkość. Bobo był dziewiętnastoletnim mężczyzną.

Uściskałam go bez zastanowienia. Kiedy się ostatnio widzieliśmy, Bobo był zamieszany w rodzinną tragedię, która podzieliła klan Winthropów. Przeniósł się do college’u gdzieś na Florydzie. Przeprowadzka wyraźnie mu posłużyła: był opalony i chyba trochę schudł.

Bobo ochoczo odwzajemnił mój uścisk. Gdy się odsunęłam, żeby przyjrzeć mu się jeszcze raz, pocałował mnie, ale na szczęście wiedział, kiedy przestać.

– Przyjechałeś na ferie świąteczne? – zapytałam.

– Tak, a po nich wrócę na studia tutaj.

Uniwersytet Arkansas ma w Montrose spory kampus, chociaż wielu nastolatków z Shakespeare woli większą filię w Fayetteville albo tę w Little Rock.

Popatrzyliśmy na siebie, zawierając milczącą umowę, że nie będziemy rozmawiać o powodach, dla których Bobo wyjechał z Arkansas.

– Co tutaj robisz, Lily? Nie jesteś w pracy?

– Nie – odparłam krótko.

Miałam nadzieję, że Bobo nie będzie drążył tematu i nie będę musiała mu powiedzieć, że jego matka zrezygnowała z moich usług i w efekcie straciłam jeszcze kilku innych klientów.

Obrzucił mnie spojrzeniem, które określiłabym jako taksujące.

– I przyjechałaś na zakupy?

– Moja siostra wychodzi za mąż. Muszę pojechać do domu na jej ślub i imprezy przedślubne.

– Czyli szukasz czegoś do ubrania – Bobo nadal nie spuszczał ze mnie wzroku. – I wcale nie masz na to ochoty.

– Właśnie – przytaknęłam smętnie.

– Idziesz na wieczór panieński?

– Mam cały spis imprez – powiedziałam, świadoma, że w moim głosie nie ma cienia entuzjazmu.

– Pozwól, że rzucę okiem.

Wręczyłam mu wykaz.

– Babskie przyjęcie na cześć Vareny... Nawet dwa. Uroczysta kolacja. Próbné przyjęcie ślubne. Wesele. Będziesz drużną?

Pokiwałam głową.

– Ale tą suknią zajmie się Varena?

Znowu przytaknęłam.

– To co ci jest potrzebne?

– Mam niezły czarny garnitur – oświadczyłam.

Bobo spojrział na mnie wyczekująco.

– I to by było na tyle.

– No, Lily – powiedział tonem, który nagle zdradził jego wiek – to niezłe zakupy przed tobą!

Wieczorem rozłożyłam na łóżku wszystkie nowe nabytki. Musiałam użyć karty kredytowej, ale wszystkim zakupom wróżyłam długą przyszłość.

Dobrze skrojone czarne wizytowe spodnie. Na jedną babską imprezę włożę je z jedwabną bluzką w kolorze złamanej bieli i złotą kamizelką, na drugą – z lazurowym jedwabnym topem bez rękawów i czarną marynarką. Do tego pantofle od czarnego garnituru albo niebieskie skórzane czółenka, które akurat były przecenione. W czarnym garniturze wystąpię na próbnym przyjęciu ślubnym. A na uroczystą kolację ubiorę się w białą sukienkę na szerokich ramiączkach, którą zimą będę mogła nosić z czarną marynarką, a latem bez niczego. Do każdego z tych zestawów dobrałam odpowiednią bieliznę, a poza tym kupiłam sobie złote kolczyki–obręcze i dużą złotą broszę o nieregularnym kształcie. Brylantowe kolczyki i szpilkę z brylantem już mam, odziedziczyłam je po babci.

Wszystkie zakupy zawdzięczałam porodom Bobo.

– Chyba się naczytałeś magazynów Amber–Jean – oskarżyłam go.

Bobo ma młodszą siostrę.

– Skąd. Po prostu przy zakupach kieruję się jedną zasadą: wszystko musi pasować do wszystkiego. Nauczyłem się tego chyba od mamy. Ma całe kolekcje ubrań, które można ze sobą dowolnie łączyć.

Powinnam była o tym pamiętać. Garderobę Beanie Winthrop porządkowałam dwa razy do roku.

– Zamieszkałeś z powrotem w domu? – zapytałam Bobo, zanim się rozstaliśmy.

Było mi trochę niezręcznie wypytywać go o sprawy dotyczące jego bardzo napiętej sytuacji rodzinnej.

– Nie. Mam tu mieszkanie przy Chert Avenue. Właśnie się wprowadziłem, żeby się przygotować do wiosennego semestru – Bobo się zarumienił; po raz pierwszy wyglądał na zakłopotanego. – Staram się spędzać trochę czasu w domu, tak żeby moi rodzice nie czuli się tacy... porzuceni. – Przeciągnął palcami po miękkich, jasnych włosach. – A co u ciebie? Nadal się spotykasz z tym prywatnym detektywem?

– Tak.

– I ciągle tyle ćwiczysz? – dodał szybko, żeby zagadać niebezpieczny temat.

Pokiwałam głową.

Bobo uściskał mnie jeszcze raz i poszedł w swoją stronę, zostawiając mnie ze sprzedawczynią o imieniu Marianna. Wzięła nas na cel, kiedy tylko Bobo się przy mnie pojawił, a teraz, po jego odejściu, była skazana na mnie.

Kiedy już wyszłam z cenowego szoku, świadomość, że mam nowe ubrania, okazała się nawet całkiem miła. Odcięłam metki i powiesiłam wszystkie nowe rzeczy w szafie w pokoju gościnnym, zachowując odstępy między wieszakami, tak żeby nic się nie wygniotło. Parę dni później przyłapałam się na sprawdzaniu, czy jeszcze tam wiszą, tak jakby mogły same wrócić do sklepu. Zaglądałam do nich od czasu do czasu.

Zawsze przykładalam dużą wagę do starannego makijażu i uczesania; nogi mam ogolone gładko jako pupa niemowlęcia. Lubię wiedzieć, jak wyglądam; lubię mieć nad tym kontrolę. Ale nie chcę, żeby ludzie oglądali się za mną na ulicy, nie chcę, żeby zwracali na mnie uwagę. Dżinsy i dresy, które noszę przy sprzątanu domów, kąpaniu psów, robieniu dla kogoś sprawunków, są moim kamuflażem. Praktycznym, tanim kamuflażem.

Kiedy ubiorę się w nowe ciuchy, ludzie będą się na mnie gapić.

Trochę zaniepokojona wszystkimi tymi zmianami i perspektywą powrotu do Bartley, zabrałam się ostro do prac, które mi pozostały. Nadal co sobotę sprzątam biuro Carrie Thrush, która wspomniała, że chciałaby, żebym przychodziła częściej, ale muszę się najpierw upewnić, czy nie złożyła mi tej propozycji, bo się domyśla, że mam problemy finansowe. W interesach i w przyjaźni nie ma miejsca na litość.

Sprzątam też u państwa Drinkwaterów, w biurze podróży i w gabinecie doktora Sizemore, a także w mieszkaniu Deedry Dean. Poza tym pracuję dodatkowo dla pani Rossiter, która złamała rękę podczas spaceru z Durwoodem, swoim starym cocker–spanielem. Ale to za mało.

Dostałam zlecenie ubrania jeszcze dwóch choinek. Pierwsza wyszła niezłe, druga – rewelacyjnie, robiąc mi niezłą reklamę, ponieważ stoi w siedzibie Izby Handlowej. Tę choinkę przyozdobiłam sztucznymi ptakami i owocami; ciepła, stonowana kolorystyka i starannie ukryte lampki sprawiły, że drzewko prezentuje się spokojniej niż wiele z tych, które widziałam w mieście.

Przestałam kupować gazetę z Little Rock, żeby ograniczyć wydatki, dopóki lista moich klientów trochę się nie wydłuży. Sprzątałam właśnie gabinet doktora Sizemore’a we wtorkowe popołudnie, kiedy natknęłam się na pognieciony wycinek z któregoś z niedzielnych dodatków. Podniosłam go, żeby wyrzucić do kosza, i mój wzrok przykuł nagłówek *Niewyjaśniona zbrodnia, smutne święta*. Gazetę wydano dwa dni po Święcie Dziękczynienia, co znaczyło, że ktoś z personelu gdzieś ją zapodział, a następnie wydobył na światło dzienne podczas przedświątecznego sprzątania.

Przysiadłam na brzegu jednego z krzeseł w poczekalni, żeby przeczytać trzy pierwsze akapity.

W corocznym wysiłku pomieszczenia w jednym wydaniu tyłu historii związanych ze świętami, ile tylko się da, *Arkansas Democrat–Gazette* przeprowadziła wywiady z rodzinami osób, które zostały zamordowane (pod warunkiem że morderstwa nie udało się wyjaśnić) albo uprowadzone (o ile porwany się nie odnalazł).

Nie czytałabym dalej, bo takie teksty budzą we mnie zbyt wiele złych wspomnień, gdyby nie fotografia niemowlęcia.

Podpis pod zdjęciem brzmiał: *Summer Dawn Macklesby na krótko przed zaginięciem przed prawie ośmiu laty.*

Dziewczynka na fotografii była maleńka, miała może tydzień. Do cienkiego kosmyka jej włosów komuś udało się przymocować miniaturową kokardkę z koronki.

Chociaż wiedziałam, że mnie to przygnębi, w kolumnie tekstu zaczęłam szukać nazwiska małej. Rzuciło mi się w oczy mniej więcej w połowie artykułu, pomiędzy tragedią matki trojga dzieci, zastrzelonej przy bankomacie w Wigilię Bożego Narodzenia, a dramatem zaręczonej ekspedientki z całodobowego sklepiku, zgwałconej i zadźganej nożem w dzień swoich urodzin, przypadający w Święto Dziękczynienia.

W tym tygodniu minie osiem lat od dnia, w którym Summer Dawn Macklesby została porwana z dziecięcego fotelika stojącego na ganku domu jej rodziców na przedmieściu Conway – przeczytałam początek. – Teresa Macklesby, przygotowując się do wyjścia na zakupy, zostawiła swoją malutką córeczkę na werandzie, a sama cofnęła się do domu po paczkę, którą chciała wysłać przed świętami Bożego Narodzenia. Kiedy była w środku, zadzwonił telefon i chociaż Macklesby jest pewna, że jej nieobecność nie trwała dłużej niż pięć minut, kiedy wróciła na ganek, Summer Dawn już nie było. Zamknęłam oczy. Złożyłam gazetę, tak żeby nie móc czytać dalej, zniosłam ją do kosza na makulaturę i wyrzuciłam,

tak jakby była skażona zgryzotą i cierpieniem, przebijającymi z tej jednej historii.

Tej nocy musiałam wyjść na spacer.

Są noce, kiedy sen drwi sobie ze mnie i nie przychodzi. W te noce, niezależnie od tego, jak bardzo jestem zmęczona ani ile energii będę potrzebowała następnego dnia, muszę wyjść na spacer. Chociaż zdarza mi się to rzadziej niż jeszcze rok temu, nagle potrzeba nocnego spaceru wciąż mnie nachodzi mniej więcej raz na dwa tygodnie.

Czasami dbam o to, żeby nikt mnie nie widział. Czasem chodzę środkiem ulicy. Podczas tych nocnych spacerów rzadko myślę o czymś przyjemnym, a przecież umysł powinien się jakoś dostosowywać do odreagowującego stres ciała.

Nie mogę tego zrozumieć.

Ostatecznie najgorsze już się stało – powtarzam sobie. Teraz nie mam się czego bać.

Czy nie jest tak, że wszyscy żyją w lęku przed tym najgorszym? Podziela go każda kobieta, którą znam. Być może mężczyźni także mają swoje najgorsze, ale się do tego nie przyznają. Kobięca wersja najgorszego to oczywiście zostać uprowadzoną, zgwałconą i potraktowaną nożem. Zakrwawione ciało ofiary, nieważne: martwe czy jeszcze żywe, wywołuje odrazę i litość u tych, którzy je odnajdą.

Tak przynajmniej było ze mną.

Ponieważ nigdy nie byłam matką, nigdy też nie musiałam sobie wyobrazić innych okropieństw. Ale dziś wieczorem zaczęłam podejrzewać, że być może istnieje gorsze niż najgorsze. Gorsze niż najgorsze to całe lata wyobrażania sobie, że kości twojego dziecka leżą gdzieś w rowie albo że jest ono regularnie molestowane przez jakiegoś potwora.

I żadnej pewności.

Za sprawą tego wycinka z gazety zaczęłam to sobie wyobrażać.

Miałam nadzieję, że Summer Dawn Macklesby nie żyje. Miałam nadzieję, że umarła w ciągu godziny od momentu porwania. Miałam nadzieję, że przez tą godzinę była nieprzytomna. Chodziłam i chodziłam po ulicach ciemną, zimną nocą, i wydawało mi się, że to najlepszy scenariusz.

Naturalnie istnieje też i taka możliwość, że jakaś kochająca para, która desperacko chciała mieć córkę, porwała Summer Dawn i kupuje jej wszystko, o czym mała tylko zamarzy, i posłała ją do świetnej szkoły, i wychowuje ją w sposób zupełnie rewelacyjny.

Ale nie wierzę, że historie takie jak ta mogą mieć szczęśliwe zakończenie, podobnie jak nie wierzę, że ludzie są zasadniczo dobrzy. Nie wierzę, że Bóg wynagrodzi nam nasze cierpienie. Nie wierzę, że kiedy zamykają się jedne drzwi, otwierają się inne.

To straszny kit.

Podczas wizyty w Bartley opuszczę kilka zajęć karate. A w Wigilię i Boże Narodzenie siłownia będzie zamknięta. Może uda mi się chociaż pogimnastykować w moim pokoju? Przynajmniej moje nadwerężone ramię trochę odpocznie. Przy pakowaniu walizki starałam się nie narzekać bardziej niż do tej pory. Musiałam odbyć tę wizytę – i musiałam to zrobić z klasą.

W drodze do Bartley, trzy godziny jazdy na wschód i kawałek na północ od Shakespeare, próbowałam wzbudzić w sobie jakieś przyjemne oczekiwania w związku z tą wizytą.

Byłoby prościej, gdybym nienawidziła moich rodziców. Ale ich kocham.

Nie było ich najmniejszej winy w tym, że moje porwanie, gwałt i okaleczenie wywołały takie wrzenie w mediach, iż moje życie – ale także ich życie – zmieniło się jeszcze bardziej, niż można się było spodziewać.

Nie było też ich najmniejszej winy w tym, że nikt ze znajomych, z którymi dorastałam, nie był w stanie traktować mnie jak normalnej osoby po drugim, publicznym gwałcie w świetle fleszy i kamer telewizyjnych, który zgotowały mi media.

Nie było również winą moich rodziców, że chłopak, z którym byłam przez dwa lata, zerwał ze mną, kiedy prasa przestała się nim interesować.

Nie zawinili w żadnej z wymienionych rzeczy – i ja także nie – a jednak one zmieniły na zawsze relacje między nami. Moi rodzice nie mogą na mnie spojrzeć, żeby nie pomyśleć o tym, co mnie spotkało. Nie potrafią się do mnie odezwać, żeby tamta trauma nie zabarwiła choćby najbardziej błażej rozmowy. Varena, moja jedyna siostra, która zawsze była bardziej wyluzowana i wytrzymała niż ja, nie potrafi zrozumieć, dlaczego nie pozbierałam się szybciej i nie wróciłam do poprzedniego stylu życia, a moi rodzice nie wiedzą, jak nawiązać kontakt z kobietą, którą się stałam.

Zmęczona kręceniem się w tym emocjonalnym ekwiwalencie kołowrotka dla chomików, prawie się ucieszyłam na widok przedmieść Bartley – chylących się ku upadkowi, ubogich domków i małych firemek, które szpecą dojazd do większości prowincjonalnych miast.

Minęłam stację benzynową, na której moi rodzice tankują samochody, pralnię chemiczną, dokąd mama znosi płaszcze do czyszczenia, kościół prezbiteriański, do którego chodzili przez całe życie, w którym zostali ochrzczeni, połączeni węzłem małżeńskim, gdzie ochrzcili swoje córki i przy którym zostaną pochowani.

Skręciłam w znajomą ulicę. Na kolejnej przecznicy dom, w którym się wychowałam, stał w zimowej szacie. Różane krzewy zostały starannie przycięte. Idealnie utrzymana trawa połyskiwała od szronu. Dom stał pośrodku dużego ogrodu, otoczony krzewami róż, które hoduje mój ojciec. Na drzwiach wejściowych wisiał olbrzymi bożonarodzeniowy wieniec,

spleciony z winorośli i ozdobiony małymi złotymi trąbkami, a przez duże okno panoramiczne w salonie można było dostrzec ubraną choinkę. Rodzice odmalowali dom, kiedy Varena i Dill się zaręczyli, i teraz lśniąco biały oczekiwał na uroczystości weselne.

Zaparkowałam obok podjazdu, na betonowej zatoczce, którą rodzice wylali, kiedy Varena i ja zaczęłyśmy prowadzić. Poza tym ciągle miałyśmy gości i rodziców niecierpliwiło, że ktoś im wiecznie zastawia wjazd do garażu.

Wysiadłam z samochodu i przez dłuższą chwilę patrzyłam na dom, rozprostowując nogi po podróży. Kiedy tutaj mieszkałam, wydawał się ogromny. Zawsze uważałam się za szczęściarę, że mieszkam w takim domu.

A teraz zobaczyłam w nim dość zwyczajny budynek z lat pięćdziesiątych, z podwójnym garażem, salonem, gabinetem, dużą kuchnią, jadalnią, trzema sypialniami i dwoma łazienkami.

Na tyłach garażu był jeszcze warsztat mojego ojca, który wprawdzie nigdy w nim nie majsterkował, ale każdy mężczyzna powinien mieć swój warsztat. Na podobnej zasadzie w kącie sypialni rodziców stała maszyna do szycia: każda kobieta powinna mieć maszynę do szycia – chociaż mama co najwyżej przesywała nią pęknięty szew. My, rodzina Bardów, posiadamy także cały garnitur rodzinnych sreber, z których nigdy nie jadamy. Pewnego dnia Varena i ja podzielimy go między siebie i troska o srebrną zastawę spadnie na nasze barki. Ciężkie, bogato zdobione srebrne naczynia są zbyt wytworne i zbyt niewygodne, żeby z nich korzystać.

Z tylnego siedzenia wzięłam walizkę i torebkę i ruszyłam w stronę drzwi. Moje stopy stawały się cięższe z każdym krokiem.

Wróciłam do domu.

Drzwi otworzyła Varena. Wymieniłyśmy szybkie, oceniające spojrzenia i niepewny uścisk.

Varena dobrze wyglądała.

Kiedy byłyśmy młodsze, to ja byłam ładniejsza. Moje oczy były bardziej niebieskie niż jej, miałam też subtelniejszy nos i pełniejsze usta. Teraz nie ma to już dla mnie większego znaczenia, ale dla Vareny, jak sądzę, nadal ma, i to duże. Jej długie włosy mają bardziej rudobrazowy odcień niż niegdyś moje. Varena nosi niebieskie szkła kontaktowe, które wzmacniają kolor jej oczu do tego stopnia, że wygląda to prawie nienaturalnie. Ma też lekko zadarty nos, większy biust i pupę i jest ode mnie jakieś pięć centymetrów niższa.

– Jak tam przygotowania do ślubu? – zapytałam.

Otworzyła szerzej oczy i zatrzepotała rękami.

Za nią dostrzegłam stoły do gromadzenia prezentów.

– Nieźle! – skomentowałam, z uznaniem kiwając głową.

Stołów było trzy (założę się, że rodzice wypożyczyli je z kościoła), a każdy z nich długi, nakryty śnieżnobiałym obrusem i dokładnie zastawiony różnorakimi dobrami: kieliszkami, kompletami obrusów i serwetek, porcelaną, srebrem stołowym – szczególnie dużo było srebrnych sztućców – jak również wazonami, nożami do rozcinania listów, albumami do zdjęć, nożami i deskami kuchennymi, tosterami, kocami...

– Ludzie są tacy kochani – powiedziała Varena.

Byłam pewna, że to jej standardowa odpowiedź – nie twierdzę, że tak nie myślała, ale na pewno powtórzyła to już dziesiątki razy kolejnym gościom.

– No cóż, wcześniej nie mieli okazji wydać na nas choćby centa – zauważyłam, unosząc brew.

Ani Varena, ani ja dotychczas nie wyszliśmy za mąż, inaczej niż część naszych znajomych ze szkoły średniej, którzy zdążyli się już dwukrotnie rozwieść.

Do salonu weszła moja matka. Była blada, ale zawsze jest blada, podobnie zresztą jak ja. Varena lubi się opalać, a ojciec opala się nieuchronnie, ponieważ większość czasu spędza w ogrodzie.

– Słoneczko moje! – zawołała moja matka i mocno mnie przytuliła.

Jest niższa ode mnie, bardzo szczupła, o włosach tak jasnobłond, że wydają się białe. Jak wszyscy w naszej rodzinie ma niebieskie oczy, ale ich kolor jakby spłowieł w ciągu ostatnich pięciu czy sześciu lat. Nigdy nie potrzebowała okularów, słyszy doskonale, a dziesięć lat temu pokonała raka piersi. Nie nosi modnych ubrań, a jednak nigdy nie wygląda na źle ubraną.

Długie miesiące, całe lata rozłąki jakby zniknęły. Czułam się tak, jakbym się z nimi widziała ledwie wczoraj.

– A gdzie tata? – zapytałam.

– Poszedł do kościoła po jeszcze jeden stół – wyjaśniła Varena, starając się powściągnąć uśmiech.

Matka też przywołała do porządku unoszące się kąciki warg.

– Dał się wciągnąć w wir przygotowań?

– Przecież go znasz – powiedziała Varena. – Jest po prostu zachwycony. Czekał na to od lat.

– W Bartley to będzie wesele dziesięciolecia – stwierdziłam.

– Może i tak – odparła Varena i wszystkie ruszyliśmy korytarzem w stronę mojego dawnego pokoju – pod warunkiem że pani Kingery przyjedzie na uroczystość.

Utyskiwanie w jej głosie zabrzmiało trochę beznamiętnie, jak gdyby ta troska czy skarga była już tak zadawniona, że emocje zdążyły wygasnąć.

– Matka Dilla nie przyjdzie na ślub? – nie mogłam uwierzyć. – Jest taka stara, taka schorowana czy... co?

Moja matka westchnęła.

– Właściwie nie wiemy, na czym polega problem – powiedziała.

Przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń, tak jakby wytłumaczenie zachowania przyszłej teściowej Varena znajdowało się na trawniku za oknem.

Varena wzięła ode mnie torebkę i otworzyła szafę, żeby ją powiesić za rączki na haczyku. Walizkę sama ustawiłam na komódce z lustrem, która była moją radością i dumą, kiedy miałam szesnaście lat. Varena spojrzała na mnie ponad ramieniem.

– Podejrzewam, że pani Kingery przepadała za pierwszą żoną Dilla i teraz nie może się pogodzić z tym, że zajmę jej miejsce – stwierdziła. – W końcu to tamta urodziła Dillovi Annę i w ogóle.

– Pani Kingery powinna się raczej cieszyć, że Anna będzie miała taką fajną macochę – oświadczyłam, chociaż nigdy wcześniej się nie zastanawiałam, jaką macochą będzie Varena.

– To by było rozsądne podejście do sprawy – powiedziała matka z westchnieniem. – Sama już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, a wprost zapytać nie mogę.

Ja tam bym mogła. Wiedziałam jednak, że nikt by sobie tego nie życzył.

– Ale na próbie chyba się pojawi, prawda?

Moja matka i siostra wymieniły zatroskane spojrzenia.

– Mamy taką nadzieję – odpowiedziała Varena. – Ale najwyraźniej nawet Dill nie potrafi przewidzieć, co ona robi.

Matka Dilla (Dillarda) Kingery’ego nie wyjechała jeszcze z jego rodzinnego miasteczka, Pine Bluff, o ile się nie mylę.

– Od jak dawna spotykasz się z Dilem? – zapytałam.

– Od siedmiu lat – odparła z promiennym uśmiechem Varena. Na to pytanie oczywiście także odpowiadała już dziesiątki razy, odkąd ogłosili swoje zaręczyny.

– Dill jest od ciebie starszy?

– Tak, jest starszy nawet od ciebie – skwitowała.

Są rzeczy, które nigdy się nie zmieniają.

– Hej tam, czy ktoś mi pomoże z tym utrapionym stołem? – usłyszałyśmy z dołu wołanie ojca.

Właśnie stanął w drzwiach.

Zbiegłam do niego pierwsza.

Mój ojciec, niski, przysadzisty i łysy jak kolano, zdołał już ściągnąć długi stół z paki swojego pikapa i zataszczyć go pod drzwi wejściowe, gdzie zdecydowanie potrzebował pomocy, żeby go wnieść po schodach.

– Cześć, dziubusiu! – rozpromienił się w uśmiechu.

Przekonana, że ten uśmiech zaraz przygaśnie, jak najszybciej go uściskałam. Następnie podniosłam krótszy koniec stołu, oparty o stalową poręcz schodów przed drzwiami.

– Nie będzie ci za ciężko? – zaniepokoił się tata.

Żyje w błędnym przeświadczeniu, że napaść, którą przeżyłam, jakimś sposobem osłabiła mnie wewnętrznie, że stałam się krucha, chociaż nie widać tego gołym okiem. Fakt, że w leżeniu wyciskam spokojnie sześćdziesiąt kilo, czasem więcej, w niczym nie zmienia jego przeświadczenia.

– Dam sobie radę – powiedziałam.

Podniósł przeciwległy koniec stołu. Stół miał metalowe nogi, teraz złożone i schowane pod blat, tak żeby ułatwić przenoszenie. Trochę manewrując, wnieśliśmy go po schodach do domu, a następnie do salonu. Podczas gdy ja trzymałam blat bokiem, tata rozłożył metalowe nogi stołu i

zablokował je we właściwej pozycji. Ustawiliśmy stół. Tata przez cały czas głośno się martwił, że się tak wysilam, że to dla mnie za ciężkie.

Poczułam, że zniemacka zaczynają mnie piec oczy.

W samą porę do akcji wkroczyła moja matka z kolejnym nieskazitelnie białym obrusem. Strzepnęła go bez słowa. Chwyciłam za luźny koniec i razem równo nakryłyśmy nim stół. W tym czasie tata opowiadał, ile prezentów ślubnych dostali Varena i Dill, ile zaproszeń rozesłali, ile potwierdzeń przybycia otrzymali, jak będzie wyglądało przyjęcie...

Kiedy przenosiliśmy niemieszczące się już prezenty na nowy stół, ukradkiem przyjrzałam się tacie. Nie wyglądał najlepiej. Był niezdrowo czerwony na twarzy, wyraźnie bolały go nogi i lekko trzęsły mu się ręce. Wiedziałam, że zdiagnozowano u niego nadciśnienie i artretyzm.

Gdy już uporaliśmy się z naszym zadaniem, zapadła niezręczna cisza.

– Pojedźmy do mnie, pokażę ci suknię – zaproponowała Varena.

– Czemu nie.

Wsiadłyśmy do samochodu Vareny, żeby podjechać do jej domu – mieszkała niedaleko, w żółtym domku, który stał obok dużego starego żółtego domu, zamieszkanego, jak mi powiedziała, przez Emory'ego i Meredith Osbornów oraz ich dwie córki, z których młodsza była jeszcze niemowlęciem.

– Kiedy Osbornowie kupili ten dom od starszej pani Smitherton – musiała się przenieść do Dogwood Manor, opowiadałam ci? – martwiłam się, że mi podniosą czynsz, ale na szczęście tego nie zrobili. To mili ludzie, lubię ich, chociaż nieczęsto widuję. Ich mała jest śliczna, zawsze nosi kokardę we włosach. Czasami bawi się z Anną. Meredith od czasu do czasu zabiera ją do nich po szkole razem z córeczką państwa O'Shea.

Jeśli dobrze kojarzyłam, państwo O'Shea to prezbiteriański pastor z żoną, którzy sprowadzili się tutaj już po tym, jak ja zamieszkałam w

Shakespeare.

Varena nie przestawała paplać, tak jakby nie mogła się doczekać, aż opowie mi o zmianach w swoim życiu ze wszystkimi szczegółami. Albo jakby czuła się niezręcznie w moim towarzystwie.

Wjechałyśmy na podjazd i minęłyśmy duży dom, żeby zaparkować przed domkiem Vareny. Był pomniejszoną kopią dużego: miał ściany wykończone jasnożółtym sidingiem, ciemnozielone okiennice i białe futryny.

W ogrodzie bawiła się dziewczynka, chuda, z długimi brązowymi włosami. Tuż nad grzywką faktycznie miała zawiązaną wesołą czerwonozieloną kokardę. W ten chłodny dzień była ubrana w dres, kurtkę i nauszники, a mimo to wyglądała na zmarzniętą. Pomachała do Vareny, kiedy ta wysiadła z samochodu.

– Dzień dobry pani – powiedziała grzecznie.

W rękach trzymała piłkę. Gdy wysiadłam po stronie pasażera, popatrzyła na mnie z zaciekawieniem.

– To moja siostra Lily – wyjaśniła jej Varena i zwróciła się do mnie: – Eva też ma siostrę, jeszcze malutką.

– Tak? A jak jej na imię? – zapytałam, uznawszy, że tak wypada. W towarzystwie dzieci czuję się bardzo niepewnie.

– Jane Lilith – wybąkała Eva.

– Ładnie – odparłam, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

– Twoja siostrzyczka pewnie ucięła sobie teraz drzemkę, co? – spytała Varena.

– Tak, i mama też – powiedziała mała ze smutkiem.

– Chodź, pokażę ci moją suknię – zaprosiła ją Varena.

Eva od razu się rozpogodziła. Varena najwyraźniej umie postępować z dziećmi. Weszłyśmy za nią do niedużego pokoju od frontu, a potem do jej

sypialni. Drzwi garderoby były otwarte, a na nich na specjalnym wieszaku wisiała owinięta w folię suknia ślubna.

Cóż, była biała – i jednoznacznie ślubna.

– Jaka piękna! – powiedziałam natychmiast. Nie jestem głupia.

Eva aż zamarła z wrażenia.

– Oooo! – wydusiła tylko.

Varena się roześmiała. Spojrzałam na swoją siostrę i dostrzegłam, jak serdeczną i otwartą ma twarz, jaką życzliwą jest osobą.

– Cieszę się, że się wam podoba – powiedziała i dalej zagadywała małą w niewymuszony sposób, absolutnie przekraczający moje możliwości.

– A może mnie pani podnieść, żebym zobaczyła szalik? – poprosiła Varenę Eva.

Podążyłam wzrokiem za palcem małej. Welon, mierzący co najmniej kilka metrów i przymocowany do wymyślnego w kształcie diademu, znajdował się w osobnej plastikowej torbie, przymocowanej do wieszaka, na którym wisiała suknia.

– Kochanie, jesteś za ciężka – pokręciła głową Varena.

Mimowolnie zrobiłam wielkie oczy. Czy to możliwe, żeby Varena nie była w stanie podnieść małej? Oceniłam wagę dziewczynki. Góra trzydzieści pięć kilo. Ukucnęłam, opasałam ramionami biodra Ewy i ją podniosłam.

Eva zapiszczała z zaskoczenia i zachwytu. Odwróciła głowę i spojrzała w dół, na mnie.

– Teraz widzisz? – spytałam.

Uważnie obejrzała welon i rozmarzonym wzrokiem chłonęła połyskujący cekinami diadem przez minutę lub dwie.

– Proszę mnie już postawić – powiedziała w końcu.

Ostrożnie opuściłam ją na podłogę. Odwróciła się i obrzuciła mnie baczny spojrzeniem.

– Jest pani bardzo silna – oświadczyła z podziwem. – Na pewno nikt z panią nie zadziera!

Nagłe milczenie Vareny było tak substancjalne, że dosłownie mogłam poczuć jego smak.

– Tak – powiedziałam małej. – Teraz już nikt ze mną nie zadziera.

Na drobnej buzi Evy pojawił się wyraz zadumy. Mała bardzo grzecznie podziękowała Varenie, że mogła zobaczyć jej suknię i welon, ale kiedy powiedziała, że musi już wracać do domu, wyglądała na półprzytomną.

Varena odprowadziła ją wzrokiem.

– O, przyjechał Dill! – wykrzyknęła radośnie.

Jeszcze raz popatrzyłam na pienistą biel sukni i poszłam za nią do salonu.

Dilla Kingery’ego znam od czasu, kiedy przeprowadził się do Bartley. Ledwo zaczął się spotykać z Vareną, gdy w moim życiu wydarzyła się ta katastrofa. Moja siostra znalazła w nim ważne oparcie w czasie, kiedy cała moja rodzina potrzebowała maksymalnego wsparcia.

Varena i Dill są ze sobą od tamtej pory. To było długie narzeczeństwo, na tyle długie, by Varena musiała znosić niewybredne docinki, których nie żalowali jej współpracownicy ze szpitala w Bartley.

Patrząc teraz na Dilla, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego się tak ociągał. Nie przypuszczam, żeby musiał się opętać od kobiet. Dill jest szalenie sympatyczny i uprzejmy, ale nie jest facetem, za którym kobieta obejrzałaby się na ulicy. Narzeczony mojej siostry jest łysiejącym brunetem, ma ładne ciemne oczy, okulary w drucianych oprawkach i pogodny uśmiech. Jego córka Anna jest jak Eva chudą, drobną ośmiolatką; ma gęste brązowe włosy do ramion, jaśniejsze niż włosy ojca. Oczy i

uśmiech odziedziczyła po nim. Od Dilla wiemy, że matka Anny zginęła w wypadku samochodowym, kiedy Anna miała półtora roku.

Przyglądałam się, jak Anna przytula się do Vareny na powitanie. Już miała wybiec do ogrodu, żeby pobawić się z Evą, kiedy Dill ją zatrzymał.

– Przywitaj się z ciocią Lily – powiedział stanowczo.

– Cześć, ciociu Lily – powiedziała Anna i nieuważnie skinęła mi ręką.

Odwzajemniłam ten gest.

– Czy teraz już mogę iść się pobawić, tatusiu?

– Tak, kochanie – zgodził się Dill i obie dziewczynki wybiegły na zewnątrz, a Dill zwrócił się do mnie, żeby mnie uściskać.

Musiałam to wytrzymać, więc wytrzymałam, chociaż nie lubię spontanicznego kontaktu fizycznego. I nie przywykłam jeszcze do roli „cioci Lily”.

Dill zadał mi szereg zwykłych pytań, które się zadaje osobom dawno niewidzianym, a ja zdołałam na nie uprzejmie odpowiedzieć. Byłam coraz bardziej spięta, a przecież nie wydarzyło się nic, co mogłoby mnie zestresować. Co było ze mną nie tak? Wyglądałam przez okno od frontu, a Varena i Dill omawiali plany na wieczór. Wywnioskowałam, że Dill wybiera się dziś na swój wieczór kawalerski, a Varena, mama i ja idziemy na babskie przyjęcie na cześć Vareny.

Patrzyłam na dziewczynki, które bawiły się na trawniku przed domem, rzucając do siebie piłkę plażową albo za nią goniąc, i próbowałam sobie przypomnieć, czy Varena i ja też się tak bawiłyśmy. Chyba na pewno?... A jednak żadne wspomnienie uparcie nie chciało się pojawić.

Nie konsultując tego ze mną, Dill zaproponował Varenie, że odwiezie mnie do domu, tak żeby mogła się spokojnie zacząć przygotowywać. Zerknęłam na zegarek. Jeśli Varena potrzebowała aż trzech godzin, żeby się przygotować do imprezy, to moim zdaniem wymagała pomocy. A jednak

propozycja Dilla wyraźnie sprawiła jej przyjemność, toteż wyszłam przed dom, żeby poczekać obok forda bronco mojego przyszłego szwagra. W tym momencie z domu obok wyszła drobna, chuda kobieta, żeby zawołać Evę.

– Dzień dobry – powiedziała na mój widok.

– Dzień dobry – odpowiedziałam.

Podbiegła do nas Eva, a za nią Anna.

– Mamo, to jest siostra panny Vareny – przedstawiła mnie Eva. – Przyjechała na ślub. Panna Varena pokazała mi swoją suknię, a panna Lily podniosła mnie, żebym mogła zobaczyć welon z bliska. Nie uwierzyłabyś, jaka jest silna! Założę się, że mogłaby podnieść konia!

– Nie może być! – powiedziała mama Evy, a jej szczupła twarz rozświetliła się w uroczym uśmiechu. – W takim razie lepiej się przywitam. Jestem mamą Evy, jak się pani pewnie domyśliła. Nazywam się Meredith Osborn.

– Bardzo mi miło – odparłam. – Lily Bard.

Według słów Vareny ta kobieta dopiero co urodziła dziecko, tymczasem rozmiarami i wzrostem sama przypominała małą dziewczynkę. Było jasne, że Meredith Osborn nie będzie miała najmniejszego problemu ze zrzućeniem „brzuska” po ciąży. Oceńłam, że nie może być starsza ode mnie, a niewykluczone, że nie przekroczyła jeszcze trzydziestki.

– A czy umiałyby pani podnieść nas obie naraz? – zapytała Eva.

Moja przyszła siostrzenica od razu bardziej się mną zainteresowała.

– Zaraz zobaczymy – powiedziałam i ukucnęłam. – Ustawcie się po mojej prawej i lewej stronie!

Dziewczynki wybrały sobie strony, a ja otoczyłam je ramionami i wstałam, upewniwszy się, że zachowuję równowagę. Piszczwały z uciechy.

– Nie ruszać mi się! – upomniałam je i przestały wierzgać, a już się obawiałam, że przez to wszystkie trzy runiemy prosto na podjazd.

– Jesteśmy królowymi całego świata! – zawołała buńczucznie Anna, wymachując ręką, żeby zakreślić swoje terytorium. – Hej, tato, popatrz na nas!

Dill, który stał w drzwiach i rozmawiał z Vareną, spojrzał w naszym kierunku, żeby sprawdzić, co porabia Anna. Na jego twarzy odmalowało się komiczne niemal zaskoczenie.

Z niepewnym uśmiechem kogoś, kto usiłuje nie poddać się panice, szybko podszedł do nas.

– Lepiej już zejść, kochanie! Jesteś zbyt ciężka dla panny Lily.

– Obie są drobne – powiedziałam uspokajająco i podałam Annę jej ojcu.

Ewę lekko podrzuciłam, żeby ją schwycić oburącz, i ostrożnie postawiłam na ziemi. Uśmiechnęła się do mnie szeroko. Jej matka patrzyła na nią z kochającym uśmiechem, jaki mają kobiety, kiedy patrzą na swoje dzieci. Z głębi domu dobiegło nas ciche kwilenie.

– Słyszę, że twoja siostrzyczka płacze – powiedziała ze znużeniem Meredith Osborn. – Lepiej wejdźmy do domu i sprawdźmy. Do widzenia, panno Bard, miło było panią poznać.

Skinęłam Meredith głową na pożegnanie i lekko uśmiechnęłam się do Ewy. Jej brązowe oczy, które na mnie podniosła, wydawały się ogromne. Uśmiechnęła się do mnie od ucha do ucha i pobiegła za matką do domu.

Anna i jej ojciec siedzieli już w samochodzie, więc szybko się dosiadłam. Dill zagadywał mnie przez całą drogę do domu moich rodziców, ale niezbyt uważnie go słuchałam. Rozmawiałam już dziś z większą liczbą osób, niż zdarza mi się to w Shakespeare w ciągu trzech czy czterech dni. Odwykłam od pogawędek.

Wysiadłam pod domem i skinąwszy Dillowi i Annie na odchodne, weszłam do środka. Moja matka krzątała się po kuchni, próbując

przygotować nam coś, co byśmy zjadły, zanim pójdziemy na przyjęcie. Tata okupował łazienkę, przygotowując się do wyjścia na wieczór kawalerski.

Mama martwiła się, że przyjaciele Dilla mogli się trochę zapędzić i zatrudnić striptizerkę. Wzruszyłam ramionami. Tata nie zgorszy się przecież śmiertelnie.

– Martwię się o jego ciśnienie! – wyjaśniła mi mama z półuśmiechem. – Jeśli z tortu wyskoczy naga kobieta, wszystko się może zdarzyć!

Nalałam mrożonej herbaty do szklanek i postawiłam je na stole.

– To raczej mało prawdopodobne – powiedziałam, widząc, że mama potrzebuje pokrzepienia. – Dill nie jest już smarkaczem, poza tym to nie jest jego pierwsze małżeństwo. Wątpię, żeby ktokolwiek z jego tutejszych znajomych zdecydował się na coś takiego.

Usiadłam na swoim miejscu.

– Masz rację – stwierdziła mama z ulgą w głosie. – Zawsze jesteś taka rozsądna, Lily.

Nie zawsze.

– Czy ty... się z kimś teraz spotykasz, kochanie...? – zapytała delikatnie.

Spojrzałam na nią, pochyloną nad stołem, z talerzami w dłoniach. Omal mechanicznie nie zaprzeczyłam.

– Tak.

Wyraz szczerzej ulgi i zadowolenia, który przemknął przez bladą, pociągłą twarz mojej matki, był tak ewidentny, że nie wiedziałam, gdzie oczy schować. Przez cały czas, który spędzam z Jackiem, ostrożnie rozpoznaję sytuację, toteż przyznanie, że spotykamy się regularnie, obudziło we mnie potworny lęk.

– Opowiesz mi coś o nim? – głos mamy był spokojny, podobnie jak ręce, którymi rozkładała talerze na stole.

Usiadła naprzeciw mnie i zaczęła mieszać osłodzoną wcześniej herbatę.

Nie wiedziałam, co jej powiedzieć.

– Rozumiem, nic nie szkodzi, nie chcę się wtrącać w twoje prywatne sprawy – odezwała się po chwili, podenerwowana.

– Ależ nie – zaprzeczyłam szybko. To okropne, że każde słowo, każdą chwilę milczenia między nami traktujemy z taką podejrzliwością. – Nie, wcale... wcale się nie wtrącasz. On jest... – Wyobraziłam sobie Jacka i poczułam nagły przypływ tęsknoty, tak obezwładniającej i bolesnej, że aż zaparła mi dech. Kiedy przypływ się cofnął, powiedziałam: – Jest prywatnym detektywem. Mieszka w Little Rock. Ma trzydzieści pięć lat.

Matka nałożyła sobie kanapkę na talerz i zaczęła się uśmiechać.

– To wspaniale, kochanie. Jak się nazywa? Czy był już wcześniej żonaty?

– Tak. Nazywa się Jack Leeds.

– Ma dzieci?

– Nie.

– Tak jest łatwiej.

– Tak.

– Bardzo polubiłam małą Annę, ale na początku, kiedy Dill i Varena zaczęli się spotykać... Anna była jeszcze taka malutka, nie umiała nawet korzystać z nocnika, a matka Dilla nie wykazywała ochoty, żeby tu przyjechać i zająć się małą, która zresztą była rozkosznym berbeciem...

– Martwiłaś się?

– Tak – przyznała, kiwając jasnowłosą głową. – Martwiłam się. Nie byłam pewna, czy Varena sobie z tym poradzi. Nigdy nie przepadała za opieką nad dziećmi, nigdy też nie opowiadała o tym, że chciałyby je mieć, jak robi to większość dziewcząt. Ale wygląda na to, że ona i Anna bardzo się polubiły. Czasem figle Anny wyprowadzają ją z równowagi, czasami

Anna jej wypomina, że Varena nie jest jej prawdziwą matką, ale zazwyczaj świetnie się dogadują.

– Dill nie brał udziału w wypadku, w którym zginęła jego żona?

– Nie, Judy jechała sama. Ponoć rozbiła się chwilę po tym, jak zostawiła Annę u opiekunki.

– I to się wydarzyło, zanim Dill się tu przeprowadził?

– Tak, kilka miesięcy wcześniej. Przedtem mieszkał na północny zachód od Little Rock. Mówi, że doszedł do wniosku, że nie będzie w stanie wychowywać tam Anny i co dzień mijać miejsce, w którym zginęła jego żona.

– Przeprowadził się więc do miasteczka, w którym nie znał nikogo i w którym nie ma żadnej rodziny, mogącej mu pomóc w opiece nad dzieckiem – powiedziałam bez zastanowienia.

Matka rzuciła mi ostre spojrzenie.

– I bardzo dobrze zrobił! – powiedziała stanowczo. – Tutejsza apteka akurat była na sprzedaż i całe szczęście, że pozostała otwarta, bo dzięki temu przynajmniej mamy wybór.

W Bartley działa także jedna z sieciowych aptek.

– Jasne – przytaknęłam, żeby nie zaogniać sytuacji.

Posiłek skończyłyśmy w milczeniu. Ojciec przed wyjściem wstąpił na chwilę do kuchni, żeby ponarzekać, że jest za stary na wieczory kawalerskie. Obie wiedziałyśmy, jak bardzo się cieszy, że został zaproszony. Pod pachą trzymał starannie zapakowany prezent; kiedy go zapytałam, co to takiego, poczerwieniał jeszcze bardziej. Włożył płaszcz i bez odpowiedzi wyszedł tylnym wyjściem, zatraskując za sobą drzwi.

– Podejrzewam, że kupił jakiś paskudny erotyczny gadżet – powiedziała z uśmiechem mama, nasłuchując, jak tata wyjeżdża na ulicę.

Uwielbiam, kiedy moja matka mnie zaskakuje.

- Pozmywam, a ty idź się przygotować – zaproponowałam.
- Musisz przymierzyć sukienkę druheny! – przypomniała sobie mama, wstając od stołu.
- Teraz?
- A jeśli trzeba ją będzie dopasować?
- No dobrze.

Nie była to chwila, na którą czekałam z przyjemnością. Jak wiadomo, suknie druchen do niczego się już później nie nadają, a za swoją zapłaciłam – jak każda szanująca się druhen. Jeszcze jej nawet nie widziałam. Przez głowę przemknęła mi koszmarna wizja sukienki z czerwonego pluszu, wykończonej sztucznym białym futerkiem, która pasowałaby do świątecznej aury.

Powinam była okazać więcej wiary w gust Vareny. Sukienka, która czekała na mnie w szafie, owinięta w folię podobnie jak jej suknia ślubna, była uszyta z aksamitu w głębokim kolorze czerwonego wina i ozdobiona pod biustem satynową wstążką w tym samym odcieniu. Z tyłu, w miejscu, gdzie schodziły się końce wstążki, znajdowała się mała kokardka, którą jednak można było odczepić. Suknia miała zabudowany przód i głęboko wycięte plecy. Moja siostra wyraźnie nie chciała, żeby suknie jej druchen były zakonne.

- Przymierz – zakomenderowała moja matka.

Było jasne, że nie zazna spokoju, dopóki tego nie zrobię. Stałam do niej plecami i zdjęłam bluzkę oraz buty i dzinsy. Musiałam się jednak odwrócić, żeby wziąć od niej suknię, którą właśnie wydobyła z folii.

Za każdym razem widok moich blizn jest dla niej ciosem prosto w serce. Zrobiła głęboki, urywany wdech i podała mi suknię, którą włożyłam przez głowę najszybciej, jak się dało. Odwróciłam się, żeby mogła mnie zapiąć, i

razem spojrzaliśmy w lustro. Nasze oczy natychmiast powędrowały ku linii dekoltu. Doskonale. Nic nie było widać.

Dzięki, Vareno.

– Wygląda pięknie – orzekła kategorycznie matka. – Stańże prosto!

(Tak jakbym się garbiła).

Suknia leżała dobrze, a kto nie lubi dotyku aksamitu?

– Jakie będziemy miały kwiaty?

– W bukietach druhen będą długie gałązki mieczyków i coś tam jeszcze

– odparła matka, która wszystkie sprawy związane z ogrodnictwem pozostawiała ojcu. – Będziesz pierwszą druhną.

Varena nie widziała mnie od trzech lat.

A więc to nie miał być tylko ślub. To miało być zakrojone na szeroką skalę rodzinne pojednanie.

Nie miałam nic przeciwko temu, chociaż nie byłam pewna, czy dam radę. Poza tym już od dawna nie byłam na żadnym ślubie.

– Mam jakieś szczególne obowiązki?

– Musisz mieć przy sobie obrączkę, którą Varena podaruje Dillowowi. I potrzymać jej bukiet, kiedy będzie składała przysięgę – mama uśmiechnęła się do mnie, a w kącikach jej bladoniebieskich oczu pojawiły się głębokie zmarszczki. Kiedy moja matka się uśmiecha, uśmiecha się całą twarzą. – Masz szczęście, że nie zdecydowała się na suknię z trzymetrowym trenem, bo musiałabyś jej pomóc wyrobić zakręt przy odchodzeniu od ołtarza.

Uznałam, że będę w stanie pamiętać o obrączce i bukiecie.

– Muszę jej podziękować za wyróżnienie – powiedziałam.

Twarz mamy natychmiast się wydłużyła. Uznała, że ironizuję.

– Naprawdę! – dodałam i dosłownie poczułam, jak mama się uspokaja.

Czy ja jestem aż taka straszna, tak nieprzewidywalna, taka grubiańska?

Ostrożnie oswobodziłam się z sukni, włożyłam T-shirt i delikatnie pogłaskałam mamę po ramieniu, kiedy sprawdzała, czy suknia wisi idealnie równo na wyściełanym wieszaku.

Uśmiechnęła się do mnie przelotnie i wróciłyśmy do kuchni, żeby pozmywać.

ROZDZIAŁ 2

Na przyjęcie ubrałam się w bluzkę w kolorze złamanej bieli, złotą kamizelkę i czarne spodnie. Bluzkę zapięłam pod samą szyję. Miałam delikatny, bardzo staranny makijaż i dobrze wymodelowaną fryzurę. Uznałam, że wyglądam nieźle. Stosownie do sytuacji. Siedziałam na tylnym siedzeniu samochodu mojej matki, przypięta pasami, i starałam się rozluźnić.

Po drodze wstąpiłyśmy po Varenę. To było co najmniej drugie przyjęcie na jej cześć, ale mimo to była tak podekscytowana i zachwycona, jakby świętowanie jej zbliżającego się zamążpójścia było zupełnie nowym pomysłem.

Przejechałyśmy przez centrum, kierując się w stronę domu Margie Lipscom, gospodyni przyjęcia. Margie podobnie jak Varena pracuje jako pielęgniarka w niewielkim szpitalu w Bartley, któremu od niepamiętnych czasów grozi, że lada moment zostanie zamknięty. Margie jest żoną jednego z bardziej wziętych tutejszych prawników, co jednak niewiele zmienia. Bartley to małe miasteczko w delcie Arkansas, co w tym momencie jego rozwoju oznacza, że jest biedne.

To znaczy, że co najmniej siedemdziesiąt procent jego mieszkańców jest na zasiłku. Kiedy dorastałam, znaczyło to, że w płaskim Bartley nie ma żadnych widoków. Ten, kto nigdy nie mieszkał w delcie, nie ma pojęcia, co tak naprawdę znaczy słowo „płaski”. Zateęskniłam za pasmami niskich pagórków wokół Shakespeare. Za tandetnymi dekoracjami świątecznymi. Za moim domem. I siłownią. Dałabym wszystko, żeby móc sobie pozwolić na tak egoistyczny wybryk, jakim byłoby wskoczenie do samochodu i natychmiastowy powrót do domu. Zrobiłam kilka spokojnych, głębokich

wdechów, jak wtedy, kiedy przygotowuję się do podniesienia poważnego ciężaru. I jak przed sparringiem na zajęciach z karate.

Mama minęła zdewastowany motel w Bartley; obrzuciłam szybkim spojrzeniem budynek w kształcie litery U. Na parkingu stał jakiś samochód – co już samo w sobie było dość zaskakujące – a na dodatek samochód ten wyglądał jak... moje serce nieprzyjemnie zmieniło rytm.

Pokręciłam głową. Nie, to niemożliwe.

Zaparkowałyśmy na ulicy przed otynkowanym na biało murowanym domem, oświetlonym tak rzęsiście, że wyglądał jak tort urodzinowy. Na drzwiach wejściowych wisiał biało-srebrny dzwonek weselny z kartonu. W przedpokoju stała tęga rudowłosa kobieta. Margie Lipscom. Zapamiętałam ją jako pulchną brunetkę. Mojej matce uściśnięto dłoń, moją siostrę wycelowano, a ja zostałam powitana przeraźliwym piskiem.

– Lily! Dziewczyno, ale laska z ciebie! – wykrzyknęła Margie i porwała mnie w objęcia. Wytrzymałam to. Margie jest w moim wieku, nigdy się szczególnie nie przyjaźniłyśmy; polubiła się za to z moją siostrą, kiedy zaczęły razem pracować. Zawsze była wylewna i głośna. A teraz zamierzała wyżyć się na mnie podwójnie, bo było jej mnie żal.

– Jest jeszcze ładniejsza niż dawniej, prawda, Friedo? – zwróciła się do mojej matki, tuszując zakłopotanie.

– Lily zawsze była śliczna – powiedziała łagodnie mama.

– Chodźmy do gości! – Margie schwyciła mnie za rękę i pociągnęła do salonu.

Przygryzałam wewnętrzną stronę dolnej wargi. Dopadł mnie napad paniki pomieszanej z gniewem, a tego rodzaju ataku nerwowego nie przeżywałam już od bardzo dawna. Bardzo, bardzo dawna.

Znalazłam uśmiech i przykleiłam go sobie do twarzy.

Po tym jak przywitałam się ze wszystkimi i odpowiedziałam: „Opowiem ci później”, na niemal każde pytanie, zdołałam usiąść na zwykłym krześle wciśniętym w róg zatłoczonego salonu. Musiałam już tylko z przyjemnym wyrazem twarzy patrzeć w kierunku najgłośniejszej mówczyni. Dawałam radę.

To było przedślubne przyjęcie tematyczne, na którym motywem przewodnim była bielizna. Prezent dla Vareny kupiłam podczas wyprawy do galerii handlowej w Montrose. Nie spodziewała się podarunku ode mnie, nie zauważyła, że go przyniosłam. Przeczytawszy dołączony bilecik, spojrzała na mnie z zaskoczeniem. Może mi się tylko zdawało, ale wyglądała na lekko zaniepokojoną.

Podarowałam jej długą koszulę nocną na cieniotkich ramiączkach, ze wstawkami z koronki – prawie przezroczystej koronki – na piersiach. Koszula była czarna. Piękna. I bardzo, bardzo seksowna. Kiedy Varena rozpakowywała prezent z ozdobnego papieru, powzięłam nagłe przekonanie, że to był fatalny błąd. Jak dotąd najbardziej wyzywającym podarunkiem było body w tygrysi rzucik, a parę osób i tak się zarumieniło.

Gdy Varena rozwinęła koszulę i podniosła ją, żeby pokazać gościom, na chwilę zapadła cisza, a ja zdecydowałam, że najlepiej będzie wyslizgnąć się tylnym wyjściem. Ale wtedy Varena powiedziała: – Ale cudo! Włożę ją na noc poślubną!

I wtedy rozległ się chór zachwyconych: „Oooo!” i „Ojejku!”.

– Lily, jest naprawdę piękna – powiedziała szczerze Varena. – Założę się, że Dill też będzie ci wdzięczny!

Rozległy się salwy śmiechu, po czym mojej siostrze podano kolejny prezent do rozpakowania.

Uspokoiliłam się i na dalszą część wieczoru włączyłam autopilota.

Przy ponczu i ciastkach rozmowa zeszła na temat grasującego w Bartley złodzieja torebek. Zaczęłam słuchać, bo jak na małe Bartley to było dość wielkomięjskie przestępstwo.

– I wyrwał Diane torebkę spod pachy, i uciekł! – opowiadała Margie.

– Zdążyła mu się przyjrzeć? – zapytała żona pastora.

Lou O’Shea była hojnie obdarzoną przez naturę brunetką o zadartym nosie i inteligentnych oczach. Nie spotkałam jej nigdy wcześniej. Od lat nie byłam w kościele, ani w Bartley, ani nigdzie indziej.

– Był czarny, średniego wzrostu – powiedziała Margie. – Ten opis pasuje do setek osób!

– Wszystko u niej w porządku? – spytała moja matka.

– Przewrócił ją na chodnik, więc ma trochę zadrapań i siniaków. Mogło być znacznie gorzej.

Po sekundzie pełnego zadumy milczenia kilka par oczu zwróciło się w moją stronę. Byłam żywym dowodem na to, że mogło być znacznie gorzej. Ale byłam do tego przyzwyczajona; nie drgnęła mi nawet powieka. I trudny moment minął. Wyrywanie kobietom torebek nie było już taką rzadkością jak jeszcze parę lat temu. Teraz w każdym małym miasteczku na porządku dziennym są gangi i narkotyki, toteż historia, która przydarzyła się Diane Dykeman, sprzedawczyni z miejscowego sklepu z odzieżą, nie wydawała się szczególnie dramatyczna. Uważano raczej, że Diane miała sporo szczęścia, iż nic jej się nie stało, niż że spotkało ją nieszczęście, ponieważ wyrwano jej torebkę.

Po nużących dwóch i pół godzinie wracałyśmy samochodem do domu, tym razem inną trasą, ponieważ odwoziłyśmy Lou O’Shea – mąż podrzucił ją do Margie w drodze na spotkanie. Prezbiteriańska plebania była olbrzymim domem z czerwonej cegły, stylistycznie dopasowanym do pobliskiego kościoła. Jednym uchem słuchałam toczony na tylnym

siedzeniu rozmowy pomiędzy Vareną i Lou; dowiedziałam się tyle, że Lou, podobnie jak Meredith Osborn, ma ośmioletnią córkę i jeszcze jedno, młodsze dziecko. Kiedy zatrzymałyśmy się na podjeździe, Lou chyba nie miała ochoty wysiadać.

– Martwię się, że Luke tyle płacze, bo to raczej nie sprawi, że Krista w końcu go polubi – powiedziała z ciężkim westchnieniem. – Jak na razie nie jest do niego zbyt entuzjastycznie nastawiona.

– Krista jest w wieku Anny, często się razem bawią – wyjaśniła Varena.

– Z czasem wszystko się ułoży – powiedziała uspokajająco moja matka.
– Prędzej czy później odkryjesz, dlaczego Luke płacze przez całe noce, i mały przestanie płakać. A potem Krista o tym zapomni. To bystra dziewczynka, Lou.

– Masz rację – stwierdziła szybko Lou, wróciwszy już do roli pastorowej. – Dzięki za podwiezienie. Do zobaczenia jutro po południu!

– Lou będzie jutro na próbnym przyjęciu ślubnym – wyjaśniła mi Varena, kiedy ruszyłyśmy.

– Czy próbne przyjęcie ślubne nie odbywa się tradycyjnie w przeddzień ślubu?

Nie chciałam nikogo krytykować, to był przebłysk ciekawości.

– Owszem. Dill tak właśnie planował – odpowiedziała matka. Tym samym przypomniała mi dyskretnie, że organizacja próbnego przyjęcia ślubnego należy do obowiązków rodziny pana młodego. – Ale okazało się, że sala w Sarah May jest już zarezerwowana, i to nie tylko w przeddzień, ale na dwa dni przed ślubem! Przesunęliśmy więc próbne przyjęcie na trzy dni przed, a para, która wydaje uroczystą kolację na cześć Vareny i Dilla, na szczęście zgodziła się wydać ją wieczorem w przeddzień ślubu.

Pokiwałam głową, puściwszy to mimo uszu. Byłam święcie przekonana, że jak przyjdzie co do czego, ktoś powie mi, co mam robić. A teraz z całego

serca pragnęłam wreszcie zostać sama. Odwiozłyśmy Varenę, szybko i sprawnie wypakowałam z samochodu jej prezenty, dotarliśmy do domu, pospiesznie życzyłam mamie dobrej nocy i poszłam do siebie.

Tata nie wrócił jeszcze z wieczoru kawalerskiego. Mam nadzieję, że nie pił i nie palił cygar, bo ciśnienie naprawdę mu podskoczy.

Usiadłam na krzeselku w swoim pokoju i przez dłuższy czas czytałam biografię, którą ze sobą przywiozłam. Następnie zaczęłam stopy pod łóżkiem i wykonałam serię brzuszków, później położyłam się na podłodze i robiłam pompki, a potem w leżeniu na plecach wykonałam osiemdziesiąt unoszeń nóg. Po tym wszystkim przyszła pora na relaksujący prysznic. Zauważyłam, że w tym czasie do domu wrócił tata i pogasił pozostałe światła.

Ale nawet po wzięciu gorącego prysznica byłam niespokojna. W Bartley nie mogłam sobie pozwolić na nocne spacerowanie. Ludzie zaczęliby gadać. Policjanci mnie nie znali, mogliby mnie zatrzymać, gdybym przypadkiem natknęła się na patrol. Przypadkiem, bo policja w Bartley nie była nazbyt liczna.

Odsunęłam od siebie tę pokusę i zmusiłam się, żeby wejść do łóżka. W szufladzie nocnego stolika znalazłam zbiór krzyżówek; rozwiązałam trzy. W końcu próba przypomnienia sobie nazwy indiańskiej ziemi na pięć liter zadziałała. Spuściłam zasłonę na ten długi dzień.

Niestety, następny był do niego bardzo podobny.

Jeszcze przed południem doszłam do wniosku, że cała moja rodzina powinna była zajmować się pracą zawodową aż do ostatniej godziny przed ślubem.

Ojciec, na co dzień zatrudniony w firmie elektrycznej, wziął dwa tygodnie wolnego. Matka nie pracowała, zajmowała się domem, co znaczy, że w pracy była przez cały czas – ale będąc w domu, bez przerwy myślała o

tym, co jeszcze trzeba zrobić. Varena właśnie zaczęła trzytygodniowy urlop i nawet Dill częściej niż kiedykolwiek zostawiał prowadzenie apteki swojej asystentce na pół etatu, młodej matce, która także była farmaceutką.

Przyszły kolejne prezenty, które trzeba było odpakować, docenić i wpisać na listę. Trzeba też było napisać kolejne podziękowania. Z dwiema pozostałymi druhami, które wpadły z wizytą, żeby pooglądać prezenty, trzeba było porozmawiać o najświeższych ustaleniach. Pastor Jess O'Shea także wstąpił na chwilę, żeby omówić kilka spraw. Miał gładkie ciemnoblonde włosy, wydatną kwadratową szczękę i był dyskretnie przystojny. Miałam nadzieję, że jest równie skuteczny jak przystojny, ponieważ zawsze sądziłam, że pastory są celami numer jeden swoich neurotycznych – a może tylko zbłąkanych – parafian.

Z pastorem przyszła jego córeczka. Okrągłutka Krista o ciemnobrązowych włosach swojej matki, chociaż nie tak idealnie ułożonych, była niewyspana i tak wściekła na młodszego brata, który znów odprawiał nocne płacze, jak podejrzewała Lou. Krista też była w płaczliwym nastroju.

– Luke płakał przez całą noc – powiedziała z ponurą miną, kiedy ktoś po raz trzeci zapytał ją, gdzie jest jej braciszek.

– Nieładnie, Krista! – skarciła ją jedna z drухen. Tootsie Monahan, najlepsza przyjaciółka Vareny od niepamiętnych czasów, odznaczała się blond włosami, okrągłą twarzą i niską inteligencją. – Jak możesz tak mówić o takim maluszku jak Luke? Niemowlęta są takie słodkie!

Zauważyłam, że Krista oblewa się rumieńcem. Tootsie starym sprawdzonym sposobem udało się u niej wywołać potężne poczucie winy. Wcześniej podpierałam ścianę w salonie; teraz zmieniłam miejsce i przenieśliśmy się bliżej małej.

– Varena też ryczała po nocach, kiedy była mała – powiedziałam do niej cichutko.

Krista popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. Jej okrągłe orzechowe oczy, bez wątpienia jej największy atut, wyrażały pozorny sceptycyzm.

– Wcale nie – powiedziała niepewnie.

– A właśnie że tak – pokiwałam głową z przekonaniem i poszłam do kuchni, gdzie udało mi się ściągnąć dla Kristy gazowany napój, który naprawdę jej zasmakował.

Pewnie nie wolno jej takich pić. Potem wałęsałam się po domu, od czasu do czasu wycofując się do swojego pokoju i zamykając drzwi na dziesięć minut (to był interwał, który wypraktykowałam metodą prób i błędów: dokładnie po dziesięciu minutach ktoś zaczynał mnie szukać i przychodził sprawdzić, jak się czuję i co porabiam).

Varena zajrzała do mnie przez drzwi mniej więcej za kwadrans pierwsza, żeby zapytać, czy wybiorę się z nią do lekarza.

– Potrzebuję recepty na pigułki antykoncepcyjne, ale chciałabym też, żeby doktor LeMay obejrzał moje uszy. Prawe mnie pobolewa i boję się, że do ślubu zdąży mi się wywiązać jakaś poważna infekcja. Binnie powiedziała, że nie ma sprawy, doktor mnie przyjmie, zanim przyjdą pacjenci zarejestrowani na popołudnie.

Jedną z korzyści bycia pielęgniarką jest to, że można się bez problemu umówić na błyskawiczną wizytę u miejscowego lekarza – powiedziała mi Varena przed laty. Odkąd pamiętam, cierpiała na alergie, które często wiązały się z zapaleniem ucha. Infekcje zawsze zdarzały jej się w najmniej odpowiednim momencie. Na przykład na cztery dni przed własnym ślubem. Poszłam za nią do samochodu, czując się tak, jakbym wychodziła na wolność.

– Zauważyłam, że musisz się wyrwać z domu – stwierdziła Varena, spoglądając na mnie z ukosa.

Wyjechałyśmy na ulicę i ruszyłyśmy w stronę poradni doktora LeMaya, która znajdowała się nieopodal.

– To takie oczywiste?

– Tylko dla kogoś, kto cię dobrze zna – powiedziała Varena ze skruchą.

– No dobrze, Lily, wyglądasz jak tygrysica w klatce. Chodzisz tam i z powrotem, tam i z powrotem, a wszystkim, którzy przechodzą obok, rzucasz mordercze spojrzenie.

– Na pewno nie jest aż tak źle – powiedziałam niespokojnie. – Nie chciałam nikogo przestraszyć.

– Wiem, że nie. I miło mi widzieć, że ci na nas zależy.

– Nigdy nie przestało mi na was zależeć.

– Już ci wierzę.

– Po prostu zabrakło mi...

Pozostanie wtedy przy zdrowych zmysłach pochłaniało całą moją energię. Nie byłam już w stanie próbować pocieszać innych.

– Wydaje mi się, że wreszcie zrozumiałam – powiedziała Varena. – Przepraszam, że wywołałam ten temat. Mama i tata wiedzą znacznie lepiej niż ja, że ci na nich zależy.

Otrzymałam rozgrzeszenie za coś, czego nie zrobiłam, czy raczej zrobiłam tylko w jej mniemaniu. Ale przynajmniej się starała. Ja też się postaram.

Doktor LeMay nadal przyjmował pacjentów w tym samym miejscu, w którym leczył przez czterdzieści lat swojej praktyki. Zbliżał się już chyba do emerytury, podobnie jak współpracująca z nim pielęgniarka Binnie Armstrong. Uzmysłowiłam sobie, że tych dwoje przepracowało razem całe ćwierćwiecze.

Varena zaparkowała na jednym z oznaczonych skośnie miejsc parkingowych i wąskim chodnikiem podeszłyśmy do drzwi. Identyczne drzwi, które u początków kariery doktora LeMaya nosiły tabliczkę „Tylko dla czarnych”, dawno już zastąpiono oknem panoramicznym. W ciągu ostatnich pięciu lat łatwe do sforsowania szkło wzmocniono stalową kratą. Historia Bartley w pigułce, pomyślałam sobie.

Drzwi pomalowano na niebiesko, tak by pasowały kolorem do okapu, ale farba zaczęła już odpryskiwać, odsłaniając znajomy zielony odcień. Przekreśliłam gałkę i weszłam do środka jako pierwsza.

W małym budynku było podejrzanie cicho. Nie było słycać dzwonka telefonu, szumu kserokopiarki, muzyki płynącej z radia czy odtwarzacza. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na moją siostrę. Coś było nie tak. Ale Varena uciekła wzrokiem. Nie chciała tego przyznać. Jeszcze nie.

– Binnie! – zawołała z przesadną radością. – Przyprowadziłam Lily! Chodź się z nią przywitać!

Patrzyła na zamknięte drzwi na końcu poczekalni, drzwi prowadzące do pokoiów zabiegowych i gabinetów. Za szybą recepcji obok nich nikt się nie pojawił. Usłyszałyśmy słaby, przerażający dźwięk. Dźwięk, jaki wydają umierający. Już go kiedyś słyszałam. Sześcioma susami przemierzyłam poczekalnię i otworzyłam drzwi. Znajomy korytarz z trzema pomieszczeniami po każdej stronie był teraz wyłożony linoleum imitującym drewnianą podłogę zamiast wykładziną w beżowy cętkowany wzorek, którą zapamiętałam – przemknęło mi nedorzecznie przez głowę.

Wtedy zauważyłam płynącą stróżkę krwi, jedyną rzecz, która się poruszała na tym korytarzu. Spojrzałam za nią, nie bardzo chcąc znaleźć źródło; w tej ograniczonej przestrzeni było ono dość oczywiste. W drzwiach do środkowego pomieszczenia po prawej stronie leżała kobieta w kitlu, który już nie był biały.

– Binnie! – wykrzyknęła Varena i odruchowo przycisnęła rękę do twarzy.

Zaraz jednak przypomniała sobie, że jest pielęgniarką, i błyskawicznie przyklękła obok zakrwawionej kobiety. Binnie Armstrong była tak skatowana, że nie sposób było rozpoznać rysów jej twarzy, a nawet zarysu głowy. To z jej gardła wydobywał się ten dźwięk.

Kiedy klęcząca Varena próbowała zmierzyć jej puls, Binnie Armstrong umarła. Zobaczyłam, jak jej ciało rozluźnia się w chwili śmierci.

Zerknęłam za pierwsze drzwi po prawej, które prowadziły do małej recepcji. Nikogo. Zajrzałam do pomieszczenia po lewej, które było pokojem zabiegowym. Nikogo. Podczas gdy moja siostra reanimowała martwą pielęgniarkę, ja ostrożnie przesuwalam się w głąb korytarza. W skupieniu zajrzałam za kolejne drzwi po lewej. Następny pokój zabiegowy. Nikogo. Drzwi, w których leżała Binnie, wiodły do małego laboratorium połączonego z magazynem. Ostrożnie wyminęłam moją siostrę i znalazłam doktora LeMaya w ostatnim pomieszczeniu po prawej, które było jego gabinetem.

– Varena! – powiedziałam ostro.

Umazana krwią zmarłej Varena podniosła wzrok.

– Varena, Binnie nie żyje. Chodź sprawdzić, co z doktorem. – Skinęłam głową w stronę gabinetu.

Zerwała się na równe nogi i zrobiła kilka kroków, żeby zajrzeć przez drzwi. Natychmiast podeszła do biurka, żeby sprawdzić puls, ale już w drodze pokręciła głową.

– Zabito go przy biurku – powiedziała, tak jakby to pogarszało sprawę.

Białe włosy doktora LeMaya były pozlepiane krwią. Krew utworzyła na biurku kałużę, w której leżała jego głowa. Brzydkie trójogniskowe okulary w czarnych oprawkach miał przekrzywione. Zapraagnęłam je wyprostować,

tak jakby to mogło sprawić, że lekarz znów będzie widział. Doktora LeMaya znałam przez całe życie. Był przy moich narodzinach.

Varena dotknęła jego ręki, leżącej na biurku. Zauważyłam, że ręka była nieskazitelnie czysta, i ogłuszył mnie szok. Nie miał szansy się bronić. Powaliło go pierwsze uderzenie. Gabinet był pełen papierzysk, kart pacjentów, formularzy, skierowań... większość z nich obryzgała krew.

– Nie żyje – wyszeptała Varena, tak jakbym miała jakieś wątpliwości.

– Musimy stąd wyjść – oświadczyłam. Mój głos w tym pokoiku pełnym okropnych widoków i zapachów zabrzmiał wyjątkowo donośnie i ostro.

Spojrzałyśmy na siebie i nasze źrenice rozszerzył nagły strach.

Ruchem głowy wskazałam jej drzwi wejściowe. Rzuciła się do ucieczki. Wybiegła, a ja czekałam, czy ktoś się poruszy.

Byłam jedyną żywą osobą w gabinecie.

Opuściłam przychodnię.

Varena zdążyła już przebiec przez ulicę i dopaść biura ubezpieczeń dla farmerów, otworzyła szklane drzwi i z biurka recepcjonistki zgarnęła słuchawkę. Tęga kobieta z trwałą ondulacją, ubrana w czerwoną bluzkę ozdobioną świątecznym stroikiem, patrzyła na Varenę tak, jakby ta rozmawiała przez telefon w języku Navaho. W ciągu dwóch minut przed gabinetem doktora LeMaya pojawił się radiowóz, z którego wysiadł wysoki, szczupły czarnoskóry policjant.

– To pani dzwoniła? – zapytał.

– Moja siostra, jest w tamtym biurze.

Kiwnęłam głową w stronę witryny, przez którą było widać Varenę – siedziała na miejscu dla klienta i szlochała. Kobieta ze stroikiem pochyliła się nad nią z paczką chusteczek w ręce.

– Detektyw Brainerd – przedstawił się mężczyzna uspokajającym głosem, tak jakbym się zastanawiała, czy nie jest oszustem. – Wchodziła

pani do tamtego budynku?

– Tak.

– Widziała pani doktora LeMaya i jego pielęgniarkę?

– Tak.

– Nie żyli?

– Tak.

– Czy w budynku jest ktoś jeszcze?

– Nie.

– Czy ulatnia się tam gaz albo tli ogień, może to zatrucie...?

– Oboje zostali pobici. – Moje spojrzenie prześlizgnęło się po wierzchołkach starych, bardzo starych eukaliptusów, które rosły wzdłuż ulicy. – Na śmierć.

– Rozumiem. Powiem pani, co teraz zrobimy.

Policjant był bardzo zdenerwowany – i wcale go za to nie winiałam.

– Proszę tutaj zostać, a ja wejdę do środka i się rozejrzę. Proszę nigdzie nie odchodzić.

– Dobrze.

Czekałam przy radiowozie, a szary, zimny dzień szczypał mnie w rękę i w twarz.

Ten świat jest światem rzezi i przemocy – na chwilę o tym zapomniałam w złudnym bezpieczeństwie mojego rodzinnego miasteczka, w optymistycznej atmosferze zbliżającego się ślubu mojej siostry.

Zacęłam się odrywać od tej sceny, odpływać, uciekać od tego miasta, tego budynku, tych zmarłych. Już dawno nie wycofywałam się w ten sposób, nie chroniałam w odległym miejscu, w którym nie muszę nic czuć.

Przede mną stała młoda kobieta w stroju ratownika medycznego.

– Proszę pani? Proszę pani? Dobrze się pani czuje?

Jej ciemnoskóra twarz wyglądała na przejętą. Kobieta wpatrywała się we mnie. Pod czapką z kaduceuszem miała czarne sztywne gładkie włosy do ramion.

– Tak.

– Oficer Brainerd powiedział, że widziała pani ciała.

Przytaknęłam.

– Czy pani... może wolałaby pani poczekać tutaj?

Podążyłam wzrokiem za jej palcem, który wskazywał tył karetki.

– Nie, dziękuję – odmówiłam grzecznie. – Ale w biurze ubezpieczeń naprzeciwko jest moja siostra. Ona może potrzebować pomocy.

– Myślę, że pomoc przydałaby się również pani – powiedziała kobieta tak poważnie i głośno, jakbym była upośledzona i nie potrafiła odróżnić szoku psychicznego od zwykłego odrętwienia.

– Nie – stanowczo ucięłam dyskusję.

Czekałam, co będzie dalej. Ratowniczką nie zostawiła mnie samej sobie – usłyszałam, jak coś do kogoś szepcze. Podeszła do mnie Varena. Miała czerwone oczy i rozmazany makijaż.

– Wracajmy do domu – powiedziała.

– Policjant kazał mi zaczekać.

– Aha.

W tym momencie ten sam policjant, Brainerd, energicznym krokiem wyszedł z poradni. Opanował już nerwy i zobaczył najgorsze. Był skupiony i gotowy do pracy. Zadał nam mnóstwo pytań i trzymał nas na zimnie przez pół godziny, chociaż wszystko, co wiedziałyśmy, powiedziałyśmy mu w minutę.

W końcu wsiadłyśmy do samochodu Vareny. Zapięłyśmy pasy, Varena ruszyła, a ja włączyłam grzanie na maksimum. Spojrzałam na moją siostrę. Twarz miała pobladłą od zimna, a oczy zaczerwienione od płaczu w szklach

kontaktowych. Tego ranka uczesała się w koński ogon, a gumkę do włosów obwiązała jaskrawoczerwoną gawroszką. Gawroszka nadal wyglądała radośnie i rześko, chociaż Varena wyraźnie oklapła. Varena spojrzała mi w oczy, kiedy zatrzymałyśmy się na skrzyżowaniu.

– Szafka na leki była zamknięta, niczego nie brakowało – powiedziała.

– Zauważyłam.

Doktor LeMay zawsze trzymał próbki i leki w tej samej starej szafce ze szklanymi drzwiczkami, stojącej w laboratorium. Od czasów, kiedy w dzieciństwie byłam jego pacjentką, szafka stała w tym samym miejscu, a jej zawartość nie uległa zmianie. Byłabym bardzo zdziwiona, gdyby doktor LeMay trzymał tam jakiś szczególnie pożądaną na ulicach środek; miał pewnie antybiotyki, leki przeciwhistaminowe, różne maści, tego typu rzeczy – pomyślałam ogólnikowo. Może środki przeciwbólne.

Tak jak Varena, widziałam ponad ciałem Binnie, że drzwi tej szafki były zamknięte, a w pomieszczeniu panował porządek. Mało prawdopodobne, by osoba, która dokonała tak paskudnych morderstw, przeszukując szafkę z lekami, pozostawiła ją w idealnym stanie.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziałam do siostry.

Pokręciła głową. Ona też nie rozumiała. Popatrzyłam przez okno na przesuwane się znajome widoki i zaczęłam marzyć o tym, żeby znaleźć się gdziekolwiek indziej niż w Bartley.

– Dobrze się czujesz, Lily? – zapytała Varena z dziwnym wahaniem w głosie.

– Tak, a ty? – odparłam bardziej gwałtownie, niż zamierzałam.

– Ja nie mam innego wyjścia, prawda? Dziś wieczorem jest próba ślubu, nie widzę sposobu, żeby ją odwołać. A poza tym, szczerze mówiąc, widziałam już gorsze rzeczy. Jestem taka rozbita głównie dlatego, że to spotkało doktora LeMaya i Binnie.

Stwierdzenie mojej siostry zabrzmiało bardzo rzeczowo. Uświadomiłam sobie, że Varena, będąc pielęgniarką, naoglądała się więcej krwi, cierpienia i okropieństw niż ja przez całe życie. Była praktyczna. Gdy tylko otrząsnęła się z pierwszego szoku, była twarda. Wjechała na podjazd rodziców i wyłączyła silnik.

– Masz rację. Nie możesz odwołać próby. Ludzie umierają przez cały czas, to nie powinno zakłócić twojego ślubu.

Byłyśmy takimi praktycznymi siostrami.

– Właśnie – powiedziała, patrząc na mnie dziwnie. – A teraz musimy wejść do domu i powiedzieć mamie i tacie.

Spojrzałam na dom przed nami, jakbym go widziała pierwszy raz w życiu.

– Tak. Chodźmy.

Ale to Varena wysiadła pierwsza z samochodu. I to ona poważnym, pewnym głosem, który zarazem sugerował, że okazywanie jakichkolwiek skrajnych emocji byłoby w złym guście, przekazała złą nowinę rodzicom.

ROZDZIAŁ 3

Próbę ceremonii ślubnej zaplanowano na godzinę osiemnastą; w kościele prezbiteriańskim stawiłyśmy się punktualnie. Tootsie Monahan z włosami poskręcanyimi w długie loki jak wystawowy pudel była już na miejscu i flirtowała z Dilem i jego drużbą. Było jasne, że nikt nie zamierza rozmawiać o śmierci doktora i pielęgniarki, chyba że w kącie i szeptem. Wszyscy dokładali starań, żeby nastrój pozostał radosny, a przynajmniej utrzymał się na poziomie powyżej zasepienia.

Przedstawiono mi Berry'ego Duffa, byłego współlokatora Dilla z czasu studiów i obecnego drużbę. Była to prezentacja dość znacząca – oboje byliśmy wolni i w tej samej grupie wiekowej. W powietrzu wisiało oczekiwanie, że między nami zaiskrzy.

Berry Duff był bardzo wysoki, miał przerzedzające się ciemne włosy, duże czarne oczy i godną pozazdroszczenia oliwkową cerę. Był farmerem z Missisipi, mniej więcej trzy lata po rozwodzie, i, jak dano mi do zrozumienia, uosabiał wszelkie zalety: był zamożny, godny zaufania, religijny i rozwiedziony bez konieczności sprawowania opieki nad dzieckiem. Przedstawiając mi go, Dill zdołał mi przekazać zdumiewającą ilość informacji, a po kilku minutach rozmowy z Berryem dowiedziałam się reszty.

Berry wyglądał na sympatycznego faceta i miło mi się z nim stało w oczekiwaniu na resztę aktorów występujących w naszym przedstawieniu. Nie przepadam za pogawędkami o niczym, a Berry'emu najwyraźniej to nie przeszkadzało, co uznałam za odświeżające. Spokojnie szukał wspólnego tematu do rozmowy i znalazł go w niechęci do kina i pasji do podnoszenia ciężarów, której się oddawał na studiach.

Miałam na sobie białą sukienkę i czarną marynarkę. W ostatniej chwili moja matka uznała, że potrzebuję jakiegoś akcentu kolorystycznego oprócz szminki; byłam skłonna przyznać jej rację. Obwiązała mi szyję zwiewnym szalem w jesiennych złocistościach i czerwieniach i spięła go złotą broszką, którą sobie kupiłam.

– Bardzo ładnie wyglądasz – skomplementował mnie Dill, po raz kolejny przebiegając obok.

On i Varena wyglądali na okropnie zdenerwowanych i wymyślali sobie coraz to nowe zadania, zmuszające ich do biegania po małym kościółku tam i z powrotem. Nasza gromadka ustawiła się bliżej prezbiterium, ponieważ wewnątrz kościoła za ostatnimi ławkami tonęło w mroku. Drzwi po stronie ambony, prowadzące na korytarz, do którego przylegał gabinet pastora, otwierały się z pneumatycznym sykiem, wpuszczając nowo przybyłych. Cięższe drzwi na tyłach kościoła, za otwartą przestrzenią poza ostatnimi rzędami ławek, raz po raz zamykały się z głuchym stukiem za napływającymi uczestnikami ceremonii.

W końcu wszyscy byli w komplecie. Varena, Tootsie, ja, trzecia drużna Janna Russell, moi rodzice, Jess i Lou O'Shea, pierwszy w roli celebransa, druga – organistki, Dill, Berry Duff, młodszy i nieżonaty brat Dilla Jay, kuzyn Dilla Mathew Kingery, florystka, której zadaniem było zadbać o ślubne kwiaty, ale która zajęła się też reżyserowaniem całej uroczystości, a także dziw nad dziwy: matka Dilla – Lula Kingery. Kiedy zobaczyłam, jak na widok starszej kobiety wspartej na ramieniu Jaya na twarzy Vareny rozlewa się ulga, nabrałam ochoty, żeby wziąć Lulę na stronę i powiedzieć jej kilka przykrych słów.

Podczas gdy florystka instruowała naszą grupkę co do przebiegu ceremonii, przyjrzałam się Luli uważnie. Nie trzeba było długich obserwacji, żeby dojść do wniosku, że matce Dilla brakuje piątej klepki.

Była nieodpowiednio ubrana (w kwiecistą sukienkę do chodzenia po domu, z krótkimi rękawami, dziurawą, oraz buty na wysokich obcasach ze sprzączkami ozdobionymi imitacją drogich kamieni), co samo w sobie jeszcze nie wskazywało na obłąd, ale kiedy dodać do tego jej nedorzeczne pytania („Czy ja też będę musiała przejść środkiem kościoła?”), rozbiegane oczy i trzęsące się ręce, całość nie pozostawiała wielu wątpliwości.

Ha. A więc rodzina Dilla też miała swojego trupa w szafie.

Punkt dla nas. W moim wypadku przynajmniej można było liczyć na to, że w sytuacji oficjalnej zachowam się jak należy. Mama Dilla była jak armata gotowa do strzału.

Varena odniosła się do pani Kingery z niezwykłym taktem i uprzejmością. Tak samo postąpili moi rodzice. Poczulałam płynący z poczucia przynależności rodzinnej przyływ dumy i wróciłam do rozmowy z Berryem Duffem, żeby ukryć emocje.

Po ostatnich gorączkowych ustaleniach i dalszej bieganinie tam i z powrotem zaczęła się próba. Patsy Green, florystka, ustawiła nas razem i ustaliła porządek przemarszu. Zajęliśmy miejsca, szykując się do ceremonialnego przejścia.

Najpierw na polecenie siedzącej przy organach Lou O’Shea asystent ślubny zaprowadził panią Kingery do przedniej ławki. Następnie moją matkę powiedziano do ławki po przeciwnej stronie.

Podczas gdy ja w towarzystwie pozostałych drухen czekałam z tyłu u wejścia do kościoła, Jess O’Shea przyległym do swego gabinetu bocznym korytarzem wkroczył do prezbiterium. Podeszedł po stopniach do stołu komunijnego i stanął przed nim z uśmiechem. Tymi samymi drzwiami do prezbiterium wszedł Dill w asyście Berry’ego, który posłał mi szeroki uśmiech. Podeszłam do przejścia pośrodku nawy głównej, jednym uchem słuchając napomnień florystki, żebyśmy szły wolno i płynnie.

Zawsze chodzę płynnie.

Przypomniała mi o uśmiechu.

Bocznym korytarzem nadszedł Jay Kingery, w którego stronę ruszyła nawa Janna. Następnie miejsce przed ołtarzem zajął kuzyn Mathew i przysła kolej na spacer Tootsie. Na komendę Patsy Green nawą przeszłam ja („Uśmiechaj się!”, syknęła za moimi plecami).

Potem był gwóźdź programu: do ołtarza podążyła Varena, prowadzona przez mojego ojca. Była zapłoniona i szczęśliwa. Ojciec też. Dill patrzył na swoją narzeczoną i promieniał, dosłownie nieprzytomny z radości. Berry spojrzał na mnie i uniósł brew; poczułam, że drgnęły mi kąciki ust.

– Było nieźle! – zawołała do nas z tyłu Patsy Green.

Ruszyła do nas środkiem nawy, a my odwróciliśmy się w jej stronę, żeby wysłuchać uwag. Nic dziwnego, że poszło nam nieźle, przecież większość z nas była na tyle dorosła, że zdążyła już wystąpić na niejednym ślubie, w tym także w roli głównej.

Odplynęłam myślami i zaczęłam się rozglądać po kościele, w którym jako dziecko bywałam każdej niedzieli. Ściany zawsze wyglądały na świeżo pomalowane na śnieżną biel, a dywan miał zawsze ten sam głęboki odcień zieleni co obicia ławek. Wysoki sufit zawsze skłaniał mnie do górnolotnych myśli – o kosmosie, nieskończoności, wszechmocy niewiadomego.

Usłyszałam kasznięcie i odwróciłam wzrok od nieskończoności w stronę ławek. W tylnym rzędzie pograżonym w cieniu ktoś był. Moje serce nieprzyjemnie zmieniło rytm. Bez zastanowienia zesłam po stopniach i przeszłam po zielonym dywanie wzdłuż nawy. Nawet nie czułam, że poruszam stopami.

Ten ktoś wstał i skierował się w stronę drzwi.

Kiedy się z nim zrównałam, otworzył przede mną drzwi i razem wyszliśmy w chłodną noc. Jednym ruchem przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

– Jack! – powiedziałam, kiedy odzyskałam oddech. – Jack.

Wsunęłam ręce pod jego marynarkę, żeby przez prążkowaną koszulę dotknąć jego pleców.

Pocałował mnie jeszcze raz. Objął mnie ciaśniej, przyciskając mocniej do siebie.

– Ucieszyłeś się na mój widok – zauważyłam po chwili. Nadal oddychałam nierówno.

– Owszem – powiedział chrapliwie.

Odsunęłam się trochę, żeby mu się przyjrzeć.

– Włożyłeś krawat!

– Wiedziałem, że się wystroisz. Nie mogę przecież odstawać.

– Jesteś detektywem psychologiem?

– I to cholernie dobrym.

– No tak. Co cię sprowadza do Bartley?

– Myślisz, że nie przyjechałem tutaj tylko dla ciebie?

– Tak.

– I prawie się mylisz.

– Prawie? – poczułam ulgę pomieszaną z rozczarowaniem.

– Prawie, szanowna pani. W zeszłym tygodniu zamykałem różne sprawy, żeby do ciebie dojechać i zaoferować ci moralne wsparcie – albo wsparcie dla twojego morale – kiedy nagle zadzwonił do mnie stary przyjaciel.

– I?

– A mogę opowiedzieć ci resztę później? Na przykład w moim pokoju w motelu?

– To naprawdę był twój samochód! Jak długo tutaj jesteś?

Przez moment zaczęłam się zastanawiać, czy Jack nie ujawnił się tylko dlatego, że uświadomił sobie, że w miasteczku wielkości Bartley prędzej czy później i tak rozpoznam jego samochód.

– Od wczoraj. Jesteśmy umówieni? Boże, ależ ty pięknie wyglądasz – powiedział i jego usta powędrowały w dół mojej szyi.

Palcami odsunął mój szal na bok. Mimo przenikliwego chłodu zaczęłam odczuwać ciepło, co oznaczało, że ja też ucieszyłam się na jego widok, zwłaszcza po okropieństwach tego dnia.

– Dobrze, wpadnę wysłuchać twojej opowieści, ale dopiero po przyjęciu – powiedziałam stanowczo.

Sekundę później z trudem łapałam oddech.

– Nie, Jack. To jest ślub mojej siostry. Muszę być na tej kolacji.

– Szanuję kobiety, które trzymają się zasad.

Jego głos był niski i chrapliwy.

– Wejdiesz, żeby przywitać się z moją rodziną?

– Po to włożyłem garnitur.

Spojrzałam na niego lekko podejrzliwie. Jack jest ode mnie trochę starszy i kilka centymetrów wyższy. W świetle reflektorów rozjaśniających kościelny parking zobaczyłam, że czarne włosy ma uczesane w gładki koński ogon, jak zwykle. Jack ma piękny, wydatny wąski nos i wąskie, ładnie wykrojone usta. Był policjantem w Memphis, dopóki nie odszedł ze służby, po tym jak został zamieszany w paskudny i krwawy skandal.

Ma usta i wie, jak ich używać, pomyślałam, dosłownie odurzona jego obecnością. Jack jest jedyną osobą, która potrafi mnie wprowadzić w taki nastrój, że byłabym skłonna sparafrazować starą piosenkę ZZ Top.

– Lepiej zrobimy, co trzeba, zanim rzucę się na ciebie na tym parkingu – powiedział.

Popatrzyłam na niego, po czym odwróciłam się i ruszyłam z powrotem do kościoła. Myślałam, że Jack w tajemniczy sposób zniknie pomiędzy drzwiami a ołtarzem, ale nie, wszedł do kościoła i poszedł za mną środkiem nawy, a kiedy dotarliśmy do grupki weselników, stanął przy mnie. Oczywiście wszyscy na nas patrzyli. Twarz mi stężała. Nie znoszę się tłumaczyć.

Ale Jack stanął u mojego boku, otoczył mnie ramieniem i powiedział: – Pani musi być matką Lily! Nazywam się Jack Leeds, jestem...

Z zainteresowaniem patrzyłam, jak Jack, zawsze taki wygadany, zaplątał się na końcu tego zdania.

– ...chłopakiem pani córki – wybrnął niezupełnie zgodnie z prawdą.

– Frieda Bard – odparła moja matka, wyraźnie dość zaskoczona. – A to mój mąż Gerald.

– Miło mi pana poznać – powiedział z szacunkiem Jack.

Tata uścisnął rękę Jacka z uszczęśliwioną miną kogoś, kto właśnie zobaczył na swoim progu Eda McMahona z ekipą telewizyjną. Nawet długie włosy i blizna na prawym policzku Jacka nie starły uśmiechu z jego ust. Jack był ubrany w drogi garnitur w bardzo dyskretną brązową kratę, który podkreślał kolor jego orzechowych oczu. Miał wypastowane buty. Sprawiał wrażenie dobrze zarabiającego, zdrowego, był starannie ogolony, a ja wyglądałam na szczęśliwą. To wystarczało mojemu tacie, przynajmniej na tę chwilę.

– A pani to zapewne Varena – Jack zwrócił się do mojej siostry.

Kiedy oni wszyscy przestaną się tak kretyńsko gapić? Można by pomyśleć, że jestem trędowata, tak się zdziwili, że kogoś mam. Jack posunął się do tego, że pocałował Varenę na powitanie – delikatnie i w czółko.

– Całus skradziony pannie młodej przynosi szczęście – powiedział i uśmiechnął się promiennie tym swoim ujmującym uśmiechem.

Dill doszedł do siebie jako pierwszy.

– Mam zostać nowym członkiem rodziny – przedstawił się Jackowi. – Dill Kingery.

– Miło mi. – Kolejny uścisk dłoni.

I tak to poszło, nie musiałam nawet powiedzieć słowa. Jack obłaskawił wszystkich mężczyzn, a kobiety olśnił swoim czystym, nieodpartym seksapilem. Nawet ekscentryczna pani Kingery uśmiechnęła się do niego niewyraźnie.

– Z ciebie to niezłe ziółko, od razu widać, że sprowadzasz kłopoty – oświadczyła stanowczo.

Wszyscy zamarli z wrażenia, ale Jack szczerze się roześmiał. Moment grozy minął; zauważyłam, jak Dill z ulgą przymyka oczy.

– Lepiej już pójdę, są państwo przecież w samym środku ważnych przygotowań – powiedział Jack zupełnie szczerze. – Chciałem tylko poznać rodzinę Lily.

– Ależ nie – odezwał się natychmiast Dill. – Będzie nam naprawdę bardzo miło, jeśli przyjmie pan zaproszenie na dzisiejsze przyjęcie.

Jack zachował się elegancko i odmówił, tłumacząc się, że to ważna okazja rodzinna i że zjawił się bez uprzedzenia.

Dill ponowił zaproszenie. Taka towarzyska wymiana piłek.

Kiedy do rozmowy włączyła się Varena, Jack pozwolił się przekonać do zmiany decyzji. Wrócił na swoje miejsce w tylnym rzędzie. Odprowadzałam go wzrokiem przez całą drogę, centymetr po centymetrze. Powtórzyliśmy ceremoniał. Swoją rolę odegrałam mechanicznie. Patsy Green znowu mi przypomniała o uśmiechu. Tym razem ostrzejszym tonem.

Przez resztę próby analizowałam sytuację, ale nie udało mi się wyciągnąć żadnych wniosków. Czy to w ogóle możliwe, żeby Jack przyjechał tu dla mnie? Przyznał, że miał jeszcze inny powód, ale zdradził, że i tak chciał przyjechać. Gdyby to była prawda...

Nie, to było nie do uwierzenia.

Jack był już tutaj, kiedy doktor LeMay i Binnie Armstrong zostali zabici. A więc jego przyjazdu nie można wiązać z tym podwójnym morderstwem.

– Wygląda na to, że za późno pojawiłem się na scenie – powiedział do mnie żartem Berry, kiedy Patsy Green i pastorstwo O’Shea uznali, że ceremonia znamy już na wyrywki. Właśnie wyszliśmy z kościoła.

– Jesteś bardzo miły – odparłam z autentycznym uśmiechem.

Chociaż raz powiedziałam to, co należało. Berry odwzajemnił uśmiech.

– Lily! – zawołał Jack.

Przytrzymał otwarte drzwi od strony pasażera. Nie miałam pojęcia dlaczego.

– Wybacz – powiedziałam do Berry’ego i odeszłam. – Odkąd to – wymruczałam, świadoma, że mój głos niesie się w czystym, zimnym powietrzu – odkąd to uważasz za stosowne otwierać mi drzwi?

Jack wyglądał na urażonego.

– Jestem twoim niewolnikiem, kotku – najwyraźniej przedrzeźnił południowy akcent Barry’ego.

– Nie bądź osłem! – szepnęłam. – Tak się cieszę, że przyjechałeś. Nie psuj wszystkiego.

Patrzył na moje nogi, kiedy wsiadałam do samochodu. Napięte mięśnie wokół jego warg się rozluźniły.

– No dobrze – powiedział i zamknął drzwi.

Wycofał, żeby śladem innych samochodów wyjechać z parkingu.

– Znalazłaś dzisiaj doktora – powiedział.

– Tak. Skąd wiesz?

– Zabrałem swój policyjny skaner. Dobrze się czujesz?

– Tak.

– Co wiesz o Dillu Kingerym? – zapytał.

Poczułam się tak, jakby mnie zdzielił prosto w żołądek. Dopadł mnie tak gwałtowny atak paniki, że musiałam przez chwilę posiedzieć w milczeniu, zanim wrócił mi oddech.

– A co z nim nie tak? – zapytałam w końcu, głosem nie tyle wściekłym, ile przerażonym.

Przypomniałam sobie twarz Vareny, uśmiechającej się do Dilla, ich długie zaręczyny, relację z córeczką Dilla, w której zbudowanie Varena włożyła tyle trudu, serdeczność mojej siostry wobec niezrównoważonej pani Kingery...

– Najprawdopodobniej nic. Po prostu mi powiedz.

– Jest farmaceutą. Wdowcem. Ojcem. Płaci rachunki w terminie. Ma matkę wariatkę.

– To była ta starowinka, która powiedziała, że sprowadzam kłopoty?

– Tak.

I miała rację.

– Od jak dawna jego pierwsza żona nie żyje?

– Od sześciu czy siedmiu lat. Anna jej nie pamięta.

– A co wiesz o Jessie O’Shea? Tym pastorze?

Spojrzałam na Jacka w świetle mijanej latarni. Na jego twarzy malowało się napięcie, niemalże złość. Tak więc było nas dwoje.

– Zupełnie nic. Poznałam jego żonę i córeczkę. Mają jeszcze synka.

– Będzie na przyjęciu?

– Pastor zwykle bywa na przyjęciach ślubnych. Tak, słyszałam, że wynajęli opiekunkę.

Miałam ochotę go uderzyć, co wcale nie zdarzało mi się tak rzadko.

Zatrzymaliśmy się na parkingu restauracji Sarah May. Jack zaparkował trochę na uboczu.

– To niewiarygodne, jak ty potrafisz mnie zdenerwować w pięć minut – powiedziałam i usłyszałam, że mój głos jest obcy i zimny. A także drżący.

Jack spojrział przez przednią szybę na okna restauracji. Były obramowane migającymi świątecznymi światełkami, których blask oświetlał jego twarz. Wszędzie te cholerne migające lampki. Po chwili, która wydawała mi się bardzo długa, odwrócił się w moją stronę. Wziął mnie za lewą rękę.

– Lily, kiedy ci wytłumaczę, nad czym teraz pracuję, wybaczysz mi – powiedział z tym rodzajem bolesnej szczerości, który musiałam uszanować.

Siedział, trzymając mnie za rękę, i nie wykonywał żadnego gestu, żeby otworzyć drzwi, w oczekiwaniu, aż udzielię mu... wotum zaufania? Zaocznego rozgrzeszenia? Czułam się tak, jakby otworzył mi klatkę piersiową i skierował na nią reflektor.

Gwałtownie skinęłam głową, otworzyłam drzwi i wysiadłam. Spotkaliśmy się przed maską samochodu. Jack ponownie ujął mnie za rękę i weszliśmy do restauracji.

Sarah Cawthorne, której Sarah May zawdzięczała połowę swej nazwy, wskazała nam salę, którą Dill zarezerwował na przyjęcie. Oczywiście wszyscy z wyjątkiem Jacka i pani Kingery bywaliśmy tam wiele razy, ponieważ jest to jedno z dwóch miejsc w Bartley, gdzie można zjeść elegancką kolację w zamkniętym gronie. Zauważyłam, że salę świeżo wyremontowano, zmieniając dywan i tapety – teraz królowały tam najwyraźniej ponadczasowe zieleń mchu i bordo. W kącie stała sztuczna choinka przystrojona ozdobami z bordowej i kremowej koronki oraz wstążkami w tych samych kolorach. Choinka oczywiście była

podświetlona, zawieszono na niej drobne bezbarwne lampki, ale te na szczęście nie migają.

Pośrodku stołów stały świąteczne dekoracje w tych samych barwach, a podkładki pod nakrycia, podobnie jak serwetki, były z materiału (w Bartley był to szczyt dobrego smaku). Układ stołów ustawionych w podkowę jednak się nie zmienił. Kiedy goście zaczęli zajmować miejsca, zdałam sobie sprawę, że Jack manewruje tak, żebyśmy usiedli obok pastora. Położywszy rękę na moich plecach, popychał mnie dyskretnie w pożądanym kierunku. Przypomni mi się obraz kukielki siedzącej na kolanie bruchomówcy i kierowanej jego dłonią, schowaną w otworze na jej plecach. Jack zauważył wyraz mojej twarzy i cofnął rękę.

Dill stał już za krzesłem, mając moją siostrę po jednej, a swoją matkę po drugiej stronie, więc jedynym dostępnym obiektem był Jess O'Shea. Jack zdołał nas wpasować między pastora a pastora. Ja usiadłam między nimi oboma, a miejsce po prawej stronie Jacka zajęła Lou. Naprzeciw nas siedziała Patsy Green, której towarzyszył jeden z asystentów ślubnych, bankowiec grywający z Dille w golfa, przypomniałam sobie.

Niemal od razu podano sałatki i Dill grzecznie poprosił Jessa o odmówienie modlitwy przed jedzeniem. Jess naturalnie się zgodził. Siedzący obok mnie Jack pochylił głowę i przymknął oczy, ale jego ręka odnalazła moją i jego palce oplótły moje palce. Podniósł moją dłoń do ust i pocałował ją – poczułam ciepło jego warg, delikatny nacisk jego zębów – po czym odłożył ją na moje kolana i rozluźnił uścisk. Kiedy Jess powiedział: „Amen”, Jack puścił moją rękę i rozłożył sobie serwetkę na kolanach jakby nigdy nic.

Ostrożnie rozejrzałam się wokół, żeby sprawdzić, czy ktoś to widział, ale napotkałam tylko wzrok mojej matki. Wyglądała na trochę zażenowaną

zmysłowością tego gestu – ale zarazem zadowoloną z jego emocjonalnej siły.

Nie mam pojęcia, co się malowało na mojej twarzy. Postawiono przede mną sałatkę, w którą wbiłam niewidzące spojrzenie. Kiedy kelnerka zapytała mnie, jaki dressing sobie życzę, odpowiedziałam jej na chybił trafił i zalała moją sałatę z pomidorami jakąś jaskrawopomarańczową substancją.

Jack zaczął dyskretnie wypytywać Lou o jej życie. Był w tym tak dobry, że niewielu cywilów powzięłoby podejrzenie, że ma jakiś ukryty cel. Staralam się nawet nie domyślać jaki.

Zwróciłam się w stronę Jessa, który próbował sobie poradzić z wieczkiem słoika z siekanym bekonem. Postawienie słoika z bekonem na stole w tak gustownie urządzonej restauracji przypomniało mi, że jesteśmy w Bartley. Wyciągnęłam do Jessa pomocną dłoń.

Trochę zdziwiony wręczył mi słoik. Schwyciłam go mocno i wzięłam oddech. Z wydechem przekręciłam wieczko. Odskoczyło. Oddałam słoik Jessowi.

Spojrzałam na jego twarz, która miała wyraz niepewnego rozbawienia.

Niepewność była w porządku. Rozbawienie już nie.

– Naprawdę silna jesteś – zauważył.

– Owszem – potwierdziłam.

Podniosłam do ust kęs sałaty i przypominałam sobie, że Jack potrzebuje mojej pomocy przy zbieraniu informacji o tym mężczyźnie.

– Wychowałeś się w mieście większym niż Bartley? – zapytałam.

– Och, bynajmniej – odpowiedział sympatycznie. – W Ocolonie w Missisipi. Moi rodzice nadal tam mieszkają.

– Twoja żona też pochodzi z Missisipi?

Nie cierpiałam tego.

– Tak, ale z Pass Christian. Poznaliśmy się na studiach na uniwersytecie stanowym.

– A potem poszedłeś do seminarium?

– Tak, spędziłem cztery lata w Westminster Theological Seminary w Filadelfii. Lou i ja musieliśmy złożyć całą nadzieję w Bogu. To była długa rozłąka. Tęskniłem za nią tak bardzo, że po dwóch latach wzięliśmy ślub. Lou chwyciła się każdej pracy, a ja studiowałem teologię. Była organistką w różnych kościołach, grała na fortepianie na przyjęciach. Pracowała nawet w barze szybkiej obsługi, niech jej Bóg wynagrodzi.

Z kwadratowej, przystojnej twarzy Jessa, który opowiadał o swojej żonie, biły spokój i ciepło. Zrobiło mi się okropnie nieprzyjemnie.

Mój dressing był gęsty jak kwaśna śmietana, ale miał słodki smak. Odsunęłam na bok najbardziej skąpiane w nim liście sałaty i usiłowałam jeść resztę. Nie mogłam tak po prostu siedzieć i wypytywać Jessa.

– A ty – Jess wykonał konwersacyjny zwrot – czym się zajmujesz?

Czyżby ktoś jednak nie znał mojej historii?

– Jestem sprzątaczką, biegam na posyłki. Dekoruję choinki dla firm. Robię sprawunki starszym paniom.

– Dziewczyna–orkiestra, chociaż wyraz „dziewczyna” jest pewnie teraz politycznie niepoprawny. – Uśmiechnął się wymuszonym uśmiechem konserwatysty, który składa gołosłowną deklarację poparcia dla liberalizmu.

– Tak – powiedziałam.

– I mieszkasz w Arkansas?

– Tak. – W myślach przywołałam się do porządku. – W Shakespeare.

– To większe miasto niż Bartley?

– Tak.

Spojrzał na mnie, z determinacją się uśmiechając.

– Mieszkasz tam od dawna?

– Od ponad czterech lat. Kupiłam nawet dom.

Proszę bardzo, wniosłam coś do tej rozmowy. Czego Jack chciał się dowiedzieć o tym człowieku?

– Co robisz w wolnym czasie?

– Ćwiczę. Podnoszę ciężary. Trenuję też karate.

A ponadto ostatnimi czasy spotykam się z Jackiem. Ta myśl wywołała falę ciepła, która przepłynęła przez moją miednicę. Przypomniałam sobie dotyk jego warg na mojej ręce.

– A twój przyjaciel, pan Leeds? Też jest z Shakespeare?

– Nie, Jack mieszka w Little Rock.

– I tam pracuje?

Czy Jack chciałby ujawnić, czym się zajmuje?

– Charakter jego pracy wymaga ciągłych podróży – powiedziałam wymijająco. – Czy Lou urodziła Luke’a – tak ma na imię wasz synek, prawda? – w tutejszym szpitalu?

Ludzie bardzo lubią opowiadać o doświadczeniach związanych z narodzinami swoich dzieci.

– Tak, tutaj, w Bartley. Mieliśmy pewne obawy... zdarzają się powikłania, którym ten szpital nie potrafiłby sprostać. Ale Lou cieszy się dobrym zdrowiem i wszystko wskazywało na to, że dziecko także jest zdrowe, więc uznaliśmy, że powinniśmy okazać wiarę w tutejszych ludzi. I to było wspaniałe doświadczenie.

No to mieliście szczęście – pomyślałam.

– A Krista? – zapytałam, wątpiąc, czy ta kolacja kiedykolwiek się skończy. Jeszcze nawet nie podano głównego dania. – Czy ona także urodziła się tutaj? Nie, ma już z osiem lat, a mieszkacie tutaj chyba od trzech...

– To prawda. Przenieśliśmy się z Filadelfii już z Kristą.

Sposób, w jaki wypowiedział to zdanie, był jakiś dziwny.

– Urodziła się w jednej z tamtejszych wielkich klinik? To pewnie było zupełnie inne doświadczenie niż narodziny waszego synka tutaj?

– Jesteś starsza od Vareny? – zapytał.

A to dopiero: nagła zmiana tematu! Niezręczna w dodatku. Na pierwszy rzut oka widać, że jestem od niej starsza.

– Tak.

– Zapewne też kilkakrotnie się przeprowadzałaś – zauważył pastor. Migające jarzeniówki nad stołem rzucały blask na jego blond włosy, o jakieś dziesięć odcieni ciemniejsze niż moje i bezdyskusyjnie bardziej naturalne. – Mieszkasz w Shakespeare od czterech lat... Po studiach wróciłaś do Bartley?

– Po ukończeniu college’u zamieszkałam w Memphis – powiedziałam, domyślając się, że ten fakt odświeży mu pamięć.

Skoro mieszkali tutaj od ponad trzech lat, ktoś na pewno zdążył mu opowiedzieć moją historię. To była jedna z tutejszych miejskich legend, podobnie jak opowieść o żonie Fontenota, która zastrzeliła swojego również żonatego kochanka na trawniku przed gmachem sądu w 1931 roku.

– W Memphis – powtórzył i zrobił niewyraźną minę.

– Tak, pracowałam tam w dużej firmie sprzątającej jako kierowniczką i osoba odpowiedzialna za harmonogramy – powiedziałam znacząco.

To przywróciło mu pamięć. Zobaczyłam, jak jego sympatyczna, łagodna twarz tężeje, gdy próbuje ukryć konsternację z powodu popełnionej gafy.

– Ale to było wieki temu – dodałam, żeby uwolnić go z kłopotliwej sytuacji.

– Tak, dawne dzieje – odpowiedział.

Przez chwilę współczuł mi w milczeniu, a potem odezwał się taktownie:
– Nie miałem jeszcze okazji zapytać Dilla, dokąd się wybierają w podróż poślubną.

Nieuważnie pokiwałam głową i odwróciłam się w stronę Jacka w tym samym momencie, w którym on odwrócił się do mnie. Spojrzeliśmy sobie prosto w oczy i Jack uśmiechnął się do mnie uśmiechem, który zmieniał całą jego twarz, w kącikach jego ust tworząc głębokie zmarszczki, prowadzące łukiem w stronę nosa. Nie miał zwykłej surowej miny, będącej jego tarczą przed światem – wyglądał na zaraźliwie szczęśliwego.

Pochyliłam się do niego tak, że moje wargi prawie dotknęły jego ucha.

– Mam dla ciebie specjalny prezent przedświąteczny – wyszeptałam.

Jego oczy otworzyły się szeroko z zaskoczenia.

– Spodoba ci się, i to bardzo – zapewniłam go niemal bezgłośnie.

Do końca kolacji Jack w przerwach od bawienia rozmową Lou O’Shea i czarowania mojej matki bombardował mnie spojrzeniami pełnymi domysłów.

Wyszliśmy wkrótce po tym, jak pozbierano talerze po deserze. Jack wydawał się rozdarty pomiędzy chęcią porozmawiania z Dillem i Vareną a błyskawicznym zawiezieniem mnie do motelu. Utrudniałam mu ten wybór, jak tylko mogłam. Kiedy staliśmy, rozmawiając z Dillem, ujęłam go za rękę i zaczęłam bardzo delikatnie gładzić jej wnętrze kciukiem, zakreślając kółka.

Po kilku sekundach Jack puścił moją rękę i niemal boleśnie chwycił mnie za ramię.

– Do widzenia państwu – pożegnał się z moimi rodzicami, podziękowawszy najpierw Dillovi za zaproszenie.

Rodzice uśmiechnęli się do niego serdecznie.

– Odwiozę Lily do domu trochę później. Mamy kilka spraw do obgadania.

Zauważyłam, że usta ojca już się otwierają, żeby zapytać, gdzie się będzie odbywało to „obgadywanie”, kiedy łokieć mojej matki naparł na jego żebra, przypominając mu subtelnie, że mam już prawie trzydzieści dwa lata. Tata nie przestał się uśmiechać, ale jego uśmiech trochę przygasł.

Pomachaliśmy wszystkim na pożegnanie, uśmiechając się od ucha do ucha, wyszliśmy z restauracji na lodowate powietrze i pobiegliśmy prosto do samochodu Jacka. Ledwie zatrzasnęły się za nami drzwi, kiedy Jack ujął mnie pod brodę i zwrócił moją twarz ku sobie. Jego usta spadły na moje w długim, zapierającym dech pocałunku. Jego ręce zaczęły sobie przypominać topografię mojego ciała.

– Pozostali goście zaraz tu będą – przypomniałam mu.

Jack zaklął szpetnie i włączył silnik. Do motelu jechaliśmy w milczeniu, Jack trzymał obie ręce na kierownicy i patrzył prosto na drogę.

– To straszna nora – uprzedził mnie, przekręcając klucz w zamku i otwierając drzwi.

Sięgnął za mnie i zapalił światło.

Zaciągnęłam zasłony i odwróciłam się do niego, zrzucając z ramion czarną marynarkę. Owinął się wokół mnie, zanim zdążyłam wyjąć rękę z drugiego rękawa. Rozbieraliśmy się stopniowo, robiąc przerwy na długie i namiętne pocałunki, które Jack uwielbia. Jedną ręką zaczął już szukać w swojej walizce charakterystycznej kwadratowej paczuszki z celofanu, kiedy powiedziałam: – Prezent przedświąteczny.

Uniósł brew.

– Mam wkładkę antykoncepcyjną. Nie musisz niczego zakładać.

– Och, Lily – wyszeptał i zamknął oczy, żeby rozkoszować się tą chwilą.

Wyglądał jak skaut, który właśnie dostał składniki, żeby przypiec sobie na ognisku swój specjał, s'mores. Byłam ciekawa, kiedy uświadomi sobie inne konsekwencje mojego podarunku. Ale wtedy Jack położył mnie na łóżku i przestałam się tym zajmować.

Godzinę później leżeliśmy ciasno przytuleni, zrzuciwszy z łóżka narzutę, koc i prześcieradła. Przynajmniej prześcieradła wyglądały na czyste. Jack przełożył jedną nogę ponad moimi i tulił mnie w takim uścisku.

– Dlaczego przyjechałeś? – zapytałam, kiedy był już w nastroju do rozmowy.

– Lily – powiedział powoli, z wyraźnym zadowoleniem w głosie – zamierzałem tu przyjechać dla ciebie. Sądziłem, że możesz mnie potrzebować, a przynajmniej, że jeśli mnie zobaczysz, będzie ci różniej.

Powiódł palcem wzdłuż mojego kręgosłupa. Leżałam twarzą do niego, wtuliwszy się w zagłębienie u podstawy jego szyi. Ku swemu przerażeniu poczułam, jak zapycha mi się nos, a oczy wzbierają łzami. Nie podniosłam twarzy. Łza stoczyła mi się po policzku, a ponieważ leżałam bokiem, ominęła skrzydełko nosa i spłynęła do środka. Po prostu elegancja–Francja.

– I wtedy zadzwonił do mnie Roy. Pamiętasz Roya?

Skinęłam głową, tak że poczuł mój ruch.

Zapamiętałam Roya Costimiglię jako niskiego, tęgiego mężczyznę z przerzedzającymi się siwymi włosami; dobijał chyba sześćdziesiątki. Można go było sześć razy minąć na ulicy i nie zapamiętać, że się go kiedykolwiek widziało. Roy był detektywem, pod którego kierunkiem Jack odbył dwuletnią praktykę.

– Któregoś razu pod nieobecność żony Roya przegadaliśmy cały wieczór przy kolacji, więc wiedział, że spotykam się z dziewczyną pochodzącą z Bartley. Zadzwonił do mnie, ponieważ dostał do sprawdzenia nowy ślad w sprawie, którą zajmuje się od czterech lat.

Ukradkiem wytarłam twarz skrajem prześcieradła.

– Co to za sprawa? – zapytałam. Głos na szczęście mi się nie łamał.

– Summer Dawn Macklesby. – Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby głos Jacka brzmiał tak twardo i ponuro. – Słyszałaś o dziewczynce porwanej wkrótce po urodzeniu?

Znów zrobiło mi się przeraźliwie zimno.

– Przeczytałam w gazecie fragment artykułu przypominającego jej historię.

– Wiele osób przeczytało ten tekst, a jedna z nich zareagowała dosyć dziwnie. W ostatnim akapicie była wzmianka o tym, że Roy na zlecenie Macklesbych prowadził poszukiwania przez kilka ubiegłych lat. Za jego pośrednictwem sprawdzili każdy trop, zbadali każdą wskazówkę, każdą pogłoskę, które dotarły do nich w ciągu minionych czterech i pół roku... odkąd doszli do wniosku, że policja raczej postawiła kreskę na tej sprawie. Państwo Macklesby mieli nadzieję, że artykuł znajdzie jakiś odzew, dlatego się na niego zgodzili. To bardzo mili ludzie. Miałem okazję ich poznać. Oczywiście, ich życie w pewnym sensie się rozpadło, kiedy ona zniknęła... ich malutka córeczka.

Jack pocałował mnie w policzek i mocniej do siebie przytulił. Wiedział, że płakałam. Nie chciał o tym rozmawiać.

– I jaki był odzew? Ktoś zadzwonił?

– Taki.

Jack usiadł na krawędzi łóżka. Otworzył aktówkę i wyjął z niej dwie kartki papieru. Pierwsza była kopią tego samego artykułu, który widziałam w gazecie, ze smutnym aktualnym zdjęciem państwa Macklesby i starym zdjęciem małej w niemowlęcym foteliku. Rodzice wyglądali na zmaltretowanych psychicznie; szczególnie wymizerowana była Teresa

Macklesby – te oczy widziały piekło. Twarz jej męża Simona była jak skamieniała, a ręka, którą położył na kolanie, zaciśnięta w pięść.

Druga kartka pochodziła z książki pamiątkowej wydanej w ubiegłym roku dla miejscowej szkoły podstawowej; miała nagłówek: *The Bartley Banner*, i datę wydrukowaną u góry strony, strony z numerem 23. Pod nagłówkiem znajdowała się powiększona czarno–biała fotografia trzech dziewczynek bawiących się na zjeździe. Dziewczynką, która właśnie zjeżdżała z rozwianymi długimi włosami, była Eva Osborn. Drugą, która na górze czekała na swoją kolej, była Krista O’Shea, znacznie radośniejsza, niż kiedy ją poznałam. Trzecia wspinała się po drabince i odwróciła się, żeby się uśmiechnąć do obiektywu. Zaparło mi dech w piersiach.

Podpis głosił: *Drugoklasistki cieszą się z nowej atrakcji na placu zabaw, ofiarowanej nam w marcu przez Bartley Tractor and Tire Company oraz Choctaw County Welding.*

– To było przypięte do artykułu z gazety – powiedział Jack. – Przyszło w kopercie ze stemplem pocztowym z Bartley. Ktoś stąd uważa, że jedną z tych dziewczynek jest Summer Dawn Macklesby.

– O nie!

Jego palec musnął buzię trzeciej dziewczynki.

– Czy to córka Dilla? Anna Kingery?

Kiwnęłam głową i ukryłam twarz w dłoniach.

– Kochanie, muszę to zrobić.

– Dlaczego przyjechałeś zamiast Roya?

– Bo Roy dwa dni temu miał zawał. Zadzwoił do mnie ze szpitala.

ROZDZIAŁ 4

– Wyzdrowieje?

– Nie wiem – odparł Jack. Był zasmucony i zły, chociaż nie wiedziałam, co było powodem złości. Być może własna bezradność. – Przez tyle lat fatalnie się odżywiał i w ogóle nie ćwiczył... ale najgorsze i tak jest to, że ma wadę serca.

Ja też usiadłam i objęłam go. Przez chwilę godził się na pocieszenie. Położył głowę na moim ramieniu i przytulił mnie. Zdjęłam gumkę związującą jego koński ogon i jego długie czarne włosy rozsypały się miękko na mojej skórze. Ale Jack zaraz podniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy, trzymając twarz tuż przy mojej twarzy.

– Muszę to zrobić, Lily. Dla Roya. Przyjął mnie i nauczył zawodu. Gdyby poprosił mnie o to ktokolwiek inny, gdyby sprawa nie dotyczyła dziecka, odmówiłbym, bo dotyczy bliskich ci osób. Ale muszę.

Nawet jeśli okaże się, że Anna Kingery to Summer Dawn, nawet jeśli zrukuje to życie Varenie. Spojrzałam na niego. Ból, który poczułam w sercu, był tak złożony, że nie potrafiłam go wyrazić.

– Jeśli to zrobił – powiedział Jack, tak skupiony na mnie, że przejrzał moje myśli – i tak nie powinnaś jej pozwolić za niego wyjść.

Pokiwałam głową, nadal próbując oswoić ten przeszywający ból. Niezależnie od tego, ile lat się nie widziałyśmy i jak bardzo odsunęłyśmy się od siebie, Varena jest moją siostrą. My dwie jesteśmy jedynymi osobami na świecie, które dzieliły i które zapamiętają życie naszej rodziny.

– Trzeba to wyjaśnić przed ślubem – oświadczyłam.

– Zostały dwa dni? Trzy?

Musiałam się zastanowić.

– Trzy.

– Cholera! – zaklął Jack.

– Co już wiesz?

Odsunęłam się od niego, a jego głowa zaczęła ciążyć w stronę moich piersi jak przyciągana magnesem. Złapałam go za uszy.

– Jack, musimy skończyć rozmawiać.

– W takim razie musisz się czymś okryć.

Z szafki wyciągnął swój szlafrok i rzucił mi go. Był to jego szlafrok podróżny, cienki, czerwony, jedwabny; owinęłam się w niego.

– Niewiele lepiej – stwierdził Jack, przyjrzawszy mi się uważnie. – Ale musi wystarczyć.

Sam włożył T-shirt i bokserki. Położył aktówkę na łóżku, a ponieważ w obskurnym pokoju było zimno, na powrót okryliśmy się kocem, usiadłszy z plecami opartymi o ścianę.

Jack założył okulary do czytania, lekkie połówki, w których wygląda jeszcze seksowniej. Nie wiem, od jak dawna ich używa, ale dopiero ostatnio zaczął je nosić przy mnie. To był pierwszy raz, kiedy nie doceniłam efektu.

– Najpierw Roy, żeby się dowiedzieć, kim są te dziewczynki, zatrudnił ciotkę Betty.

– Kogo?

– Jeszcze jej nie poznałaś. Ciotka Betty także jest prywatnym detektywem, mieszka w Little Rock. Jest niesamowita. Po pięćdziesiątce, z włosami ufarbowanymi na średni brąz, od razu budzi szacunek i zaufanie. Wygląda jak ideał ciotki. Naprawdę nazywa się Elizabeth Fry. Ludzie zwierzają się jej z najdziwniejszych rzeczy, ponieważ przypomina im... no właśnie, ich własną ciotkę! A wierz mi, ciotka Betty potrafi słuchać!

– Dlaczego Roy wysłał ją, a nie ciebie?

– To dziwne, ale w niektórych sytuacjach nie wtapiam się w tło tak dobrze jak ciotka Betty. Nadawałem się do zlecenia w Shakespeare, bo wyglądam jak ktoś, kto mógłby pracować w sklepie sportowym, ale nie mam aparycji, która pozwoliłaby mi bezkarnie chodzić po małym miasteczku i wypytywać o imiona małych dziewczynek. Mam rację?

Powściągnęłam uśmiech. Oczywiście miał rację.

– Do tego typu zadań idealna jest ciotka Betty. Dowiedziała się, kto drukuje większość szkolnych ksiąg pamiątkowych w Arkansas, pojechała tam, powiedziała, że jest z prywatnej szkoły i szuka drukarni. Facet dał jej najrozmaitsze próbki, żeby pokazała je radzie rodziców.

Domyśliłam się, że Jack chce, żebym skomplementowała spryt ciotki Betty, więc pokiwałam głową.

– Następnie – ciągnął Jack – Betty przyjechała do Bartley, poszła do dyrektorki szkoły podstawowej, pokazała jej próbki ksiąg pamiątkowych i powiedziała, że pracuje dla drukarni, która może zaoferować bardzo konkurencyjne warunki, jeśli szkoła powierzy jej druk tegorocznej księgi.

– I?

– Spytała, czy może zobaczyć księgę z ubiegłego roku, znalazła zdjęcie dziewczynek na zjeździe i zapytała dyrektorkę o nazwisko fotografa, bo może jej firma miałaby dla niego jakieś dodatkowe zlecenia. Betty uznała, że ujęcie jest na tyle dobre, że usprawiedliwiało kłamstwo.

Pokręciłam głową. Betty jest zapewne niezwykle przekonująca, absolutnie wiarygodna i niewzbudzająca najmniejszych podejrzeń. Beryl Trotter, dyrektorkę szkoły podstawowej, znam od piętnastu lat, nie jest głupia.

– I co wam to dało, że zdobyła całą księgę? – zapytałam.

– W najgorszym wypadku moglibyśmy porównać to zdjęcie z tableau poszczególnych klas i w ten sposób ustalić nazwiska. Albo Betty mogłaby

zadzwoić do fotografa i urabiać go tak długo, aż powiedziała jej, kim są bohaterki jego zdjęcia. Ale zdarzyło się tak, że pani Trotter zaprosiła Betty na kawę i Betty dowiedziała się wszystkiego od niej.

– Imion dziewczynek? Nazwisk ich rodziców? Wszystkiego?

– Tak.

To było trochę przerażające.

– Kiedy mieliśmy już nazwiska rodziców, mogliśmy zacząć zbierać informacje o państwu O’Shea, bo Jess jest pastorem i do jego biogramu można spokojnie dotrzeć drogą oficjalną. Z Dilem też nie było problemu, ponieważ farmaceuci mają ogólnostanowe zezwolenie. Kopalnia informacji. Z Osbornami było dużo gorzej. Ciotka Betty musiała odwiedzić Makepeace Furniture, udawać, że właśnie się przeprowadziła i poszukuje nowego stołu. To było ryzykowne. Ale udało jej się porozmawiać z Emorym, dowiedzieć o nim paru rzeczy i wyjść ze sklepu bez konieczności podawania swojego nowego adresu ani wspomnienia o tutejszych krewnych, z którymi Emory mógłby się kiedykolwiek skontaktować.

– No to poznaliście nazwiska dziewczynek i zdobyliście trochę wiadomości o ich rodzicach.

– Tak. Potem zasiedliśmy do komputerów, a potem zacząłem podróżować.

Poczułam się przytłoczona. Nigdy wcześniej nie rozmawiałam z Jackiem na temat szczegółów jego pracy. Nie zdawałam sobie w pełni sprawy, że skuteczny prywatny detektyw musi umieć przekonująco kłamać na każde zawołanie. Odsunęłam się trochę od niego. Jack wyciągnął z aktówki kolejne papiery.

– To jest komputerowa symulacja portretu Summer Dawn, tak mogłaby teraz wyglądać – powiedział, najwyraźniej nieświadomy moich rozterek. –

Oczywiście mamy tylko jej zdjęcia z okresu niemowlęctwa, więc trudno ocenić, na ile ta symulacja jest trafna.

Spojrzałam na rysunek. Owszem, przedstawiał twarz dziewczynki, ale tak, że mogła ona należeć do każdej z nich trzech. Uznałam, że portret najbardziej przypomina Kristę O'Shea, ponieważ Summer Dawn miała na nim pulchną buzię tak samo jak niemowlę na zdjęciu z gazety.

– Sądziłam, że takie symulacje są bardzo dokładne – stwierdziłam. – Efekt jest taki niekonkretny, bo Summer Dawn była jeszcze malutka, kiedy zniknęła?

– Po części tak. A poza tym tak naprawdę żadna z fotografii Summer Dawn nie nadawała się do przetworzenia. Państwo Macklesby zrobili jej mniej zdjęć niż swoim poprzednim dzieciom, bo urodziła się jako trzecia, a trzeciego dziecka nie obfotografowuje się aż tak jak dziecko numer jeden i dziecko numer dwa. Zdjęcie, które ukazało się w gazecie, było najlepszym, jakie mieli. Umówili się z Summer do fotografa, ale została porwana, zanim doszło do wizyty.

Nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. Przełożyłam portret Summer Dawn na spód i przyjrzałam się pozostałym trzem rysunkom. Na drugim miała identyczną buzię, ale okoloną długimi prostymi włosami. Na trzecim była szczuplejsza, w krótkich lokach. Czwarty portret przedstawiał ją z włosami do ramion i w okularach.

– Jedna z jej siostr jest krótkowidzem – wyjaśnił mi Jack.

Osiem lat.

– To ona ma siostry? – zapytałam.

Staralam się, żeby mój głos brzmiał naturalnie. Przynajmniej próbowałam.

– Dwie. Jedna ma czternaście, a druga szesnaście lat. Nastolatki, na ścianach mają plakaty z muzykami, których nigdy nie słyszałem. Szafy

pełne ciuchów. Chłopcy. W ogóle nie pamiętają swojej młodszej siostry.

– Państwo Macklesby pewnie są bogaci.

Wynajmowanie prywatnego detektywa przez tyle lat z rzędu musiało służyć kosztować, nie wspominając o opłatach za usługi ciotki Betty i Jacka.

– Są zamożni. Simon Macklesby po zaginięciu córki rzucił się w wir pracy. Jest partnerem w przedsiębiorstwie dostarczającym sprzęt dla firm, które kwitnie, odkąd firmy się skomputeryzowały. Niezależnie od tego, ile państwo Macklesby mają pieniędzy, mieli szczęście, że przyszli do Roya, a nie do kogoś, kto by ich puścił z torbami. Były miesiące, kiedy nie miał im nic do pokazania, nic nie zrobił. Są detektywi... i detektywki... którzy posunęliby się do fałszowania danych, żeby tylko wyciągnąć pieniądze od klienta.

Wiadomość, że Roy był tak uczciwym człowiekiem, za którego go miałam, przyjęłam z ulgą, zwłaszcza po tych wszystkich zachwytach Jacka nad kreatywnością kłamstw ciotki Betty. Dzięki Bogu istnieje granica między oszukiwaniem w sprawie służbowej i odnoszeniem się do ludzi w realnym życiu.

– A co już wiesz na pewno? – spytałam. Tym razem w moim głosie wyraźnie było słychać strach.

– Wiem, że Krista O'Shea została adoptowana, tak przynajmniej twierdzą byli sąsiedzi państwa O'Shea z Filadelfii.

Przypomniałam sobie zmianę wyrazu twarzy Jessa O'Shea, kiedy go zapytałam, czy poród w wielkomijskiej klinice różnił się od tego w małym szpitalu w Bartley.

– Byłeś w Pensylwanii?

– Ich sąsiedzi studiowali w seminarium duchownym tak jak Jess, i rozjechali się po całym kraju. Zwróciłem się do znajomych detektywów na Florydzie, w Kentucky i w Indianie. Ludzie, z którymi rozmawialiśmy,

powiedzieli nam, że Lou i Jess zaadoptowali małą córeczkę siostry jednego ze studentów. Wcześniej byli u miejscowego specjalisty od płodności, który nie dał im większych szans na własne potomstwo. Siostra kolegi musiała oddać dziecko, ponieważ była w zaawansowanym stadium AIDS. Jej rodzina nie chciała małej przyjąć, ponieważ sądziła, że dziecko jest nosicielem – nie wierzyła testom, które wypadły negatywnie. Zresztą para z Tennessee, z którą rozmawiałem osobiście, nadal jest przekonana, że dziewczynka „zaraża” AIDS, niezależnie od wyników testów.

Pokręciłam głową.

– Jak ty to robisz, że ludzie mówią ci takie rzeczy?

– Jakbyś nie zauważyła, jestem niezwykle przekonujący.

Przesunął ręką po moim udzie i popatrzył na mnie z pożądaniem. Ale zaraz otrzeźwiał.

– W takim razie dlaczego Lou i Jess nadal są na twojej liście?

– Po pierwsze dlatego, że Krista O’Shea jest na zdjęciu, które dostał Roy. Po drugie, co jeśli ona nie jest tą adoptowaną dziewczynką?

– Nie rozumiem?

– A jeśli testy były błędne? Jeśli mała urodziła się jednak z AIDS albo zmarła z innego powodu? I Lou O’Shea porwała Summer Dawn na jej miejsce? Albo jeśli ona i Jess ją kupili?

– To chyba trochę naciągane. Państwo O’Shea mieszkali w Filadelfii jeszcze przynajmniej kilka miesięcy po tym, jak adoptowali Kristę. A Summer Dawn została porwana w Conway, prawda?

– Tak. Ale mają w tamtej okolicy kuzynostwo, których odwiedzili, kiedy Jess ukończył seminarium. Daty ich wizyty i porwania się pokrywają. Z tego powodu nie mogę ich wykluczyć, jest zbyt dużo poszlak. Jeśli kupili Summer Dawn od kogoś, kto ją porwał, wiedzieli, że to nielegalne. Mogli udawać, że to to samo dziecko, które adoptowali.

– A co z Anną? – zapytałam ostro.

– Judy Kingery, pierwsza żona Dilla, była chora psychicznie.

Odłożyłam portrety. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Jacka.

– Wypadek, w którym zginęła, niemal na pewno był samobójstwem.

Błyszczące brązowe oczy Jacka patrzyły na mnie sponad okularów.

– Biedny Dill!

Nic dziwnego, że nie spieszyl się do ślubu z Vareną. Był szczególnie ostrożny po piekielnym pierwszym małżeństwie, w którym związał się z niezrównoważoną psychicznie kobietą, po tym jak wychowała go kobieta również nie do końca zdrowa na umyśle.

– Nie możemy być pewni, czy jego żona nie zrobiła czegoś szalonego. Może zabiła ich własne dziecko i w zamian uprowadziła Summer Dawn? Judy i Dill mieszkali w Conway, kiedy mała zniknęła. Może Judy Kingery porwała Summer Dawn i opowiedziała Dillovi jakąś bardzo sugestywną bajeczkę.

– Chcesz powiedzieć... że to możliwe, że Dill o tym nie wie?

Jack wzruszył ramionami.

– To możliwe – powiedział bez większego przekonania.

Gwałtownie wypuściłam powietrze z płuc, żeby rozładować napięcie.

– No dobrze, teraz Eva Osborn.

– Osbornowie przeprowadzili się tutaj z niewielkiego miasteczka, które leży przy drodze międzystanowej jakieś piętnaście kilometrów od Conway. On pracuje w sklepach meblowych, odkąd skończył college. Meredith Osborn nie ukończyła nawet pierwszego roku, kiedy za niego wyszła. Emory Ted Osborn... – Jack przebiegł swoje notatki oczyma w okularach. – Emory sprzedaje meble i artykuły gospodarstwa domowego w Makepeace Furniture Center. A, o tym już mówiłem, kiedy opowiadałem ci, że odwiedziła go tam Betty.

Makepeace Furniture Center było chlubą Bartley. Oferowało wyłącznie ekskluzywne meble i sprzęty najwyższej jakości i mieściło się przy głównym placu miasta. Rozrosło się już na dwa czy trzy sąsiednie budynki.

– Czy Emory był kiedykolwiek notowany?

Jack pokręcił głową.

– Nikt z nich nie był.

– Na pewno jest coś, co wyklucza Evę?

– Znasz ją?

– Owszem, znam. Osbornowie są właścicielami domku, który wynajmuje moja siostra. Stoi na tyłach domu, w którym sami mieszkają.

– Przejeżdżałem obok. Nie wiedziałem, że Varena wynajmuje ten domek.

– A wiedziałeś, że Meredith Osborn od czasu do czasu opiekuje się i Anną, i Kristą? Spotkałam ją i małą Evę, kiedy byłam wczoraj u Vareny.

– I czego się dowiedziałaś?

– Mają malutkie dziecko, dziewczynkę. Pani Osborn posturą przypomina dwunastolatkę i jest dość sympatyczna. Eva jest... no cóż, jest małą dziewczynką, może trochę nieśmiałą. Jest bardzo chuda, tak jak jej matka. Emory'ego nie spotkałam.

– On też jest drobny, to niski, chudy blondyn. Ma wyjątkowo jasną karnację, bładoniebieskie oczy, prawie niewidoczne rzęsy. Wygląda, jakby nie musiał się jeszcze golić. Jest bardzo skryty. Często się uśmiecha.

– Gdzie urodziła się Eva?

– Właśnie z tego powodu nie mogę jej wykluczyć. Eva urodziła się w domu – powiedział Jack, unosząc brwi tak wysoko, że wyżej już nie można.

– Poród odebrał Emory. Ma uprawnienia ratownika medycznego. Dziecko najwyraźniej przyszło na świat tak szybko, że nie zdążyli do szpitala.

– Meredith urodziła w domu?

Chociaż wiedziałam, że z historycznego punktu widzenia kobiety znacznie dłużej, wręcz od zawsze, rodziły w domu, a nie w szpitalu, ta wiadomość była dla mnie szokiem.

– Tak.

Twarz Jacka wyrażała takie obrzydzenie, że miałam nadzieję, że nigdy nie znajdzie się z ciężarną w windzie, która utknęła między piętrami.

Jeszcze chwilę siedzieliśmy przytuleni w łóżku, grzejąc się jedno od drugiego i rozmawiając, ale nie posunęliśmy się ani o krok naprzód. Nie mogłam tego tak zostawić i nie mogłam powstrzymać Jacka od dalszego prowadzenia tej sprawy, nawet gdybym uważała, że to słuszne... A nie uważałam. Było mi nieopisanie żal udręczonych rodziców, którzy od tylu lat tęsknili za swoim dzieckiem, i było mi żal mojej siostry, której szczęście mogło lec w gruzach na trzy dni przed ślubem. Nie miałam pojęcia, co mogłabym zrobić, żeby wpłynąć na wynik dochodzenia Jacka.

To był długi dzień.

Pomyślałam o scenie w gabinecie doktora, okrutnym końcu, jaki spotkał dwoje starzejących się ludzi oddanych swojej pracy w poradni, w której leczyli razem od lat.

Otoczyłam kolana ramionami i opowiedziałam Jackowi o doktorze LeMayu i pani Armstrong. Wysłuchał mnie bardzo uważnie i zadał mi sporo pytań; na niektóre nie umiałam odpowiedzieć.

– Myślisz, że to może być powiązane z twoim śledztwem? – zapytałam.

– Nie wiem jak. – Jack zdjął okulary i odłożył je na nocny stolik. – Ale to dość szczególne, że zostali zabici akurat w tygodniu, kiedy się tu pojawiłem, krótko po tym, jak znalazł się nowy ślad w sprawie Macklesby. Starłem się być bardzo ostrożny, ale w miasteczku takim jak to prędzej czy później wyjdzie na jaw, czego szukam. Jesteś dla mnie doskonałą przykrywką, ale to nie potrwa długo, jeśli będę zadawać złe pytania.

Spojrzałam na zegarek Jacka i wyślizgnęłam się z łóżka. Rozgrzana jego ciepłem, poczułam tym dotkliwszy chłód. Bardzo chciałam zostać przy nim tej nocy, ale nie mogłam tego zrobić.

– Muszę wracać – powiedziałam, wkładając na siebie ubranie i starając się je przywrócić do schludnego stanu sprzed.

Jack też wyszedł z łóżka, chociaż nie tak szybko.

– Chyba tak – powiedział bez entuzjazmu.

– Przecież wiesz, że muszę wrócić do domu rodziców – stwierdziłam, ale bez surowości w głosie.

Jack zdążył już włożyć spodnie. Wkładałam marynarkę, kiedy znów zaczął mnie całować. Przy pierwszej próbie starałam się go odepchnąć, a potem go przytuliłam.

– Wiem, że skoro masz wkładkę, a ja nie używam prezerwatyw, to oznacza, że wiesz, że nie sypiam z nikim innym – powiedział.

To znaczyło coś jeszcze.

– I że ja też nie sypiam z nikim innym – przypomniałam mu.

Po sekundzie brzemiennej ciszy przycisnął mnie do siebie tak mocno, że nie mogłam oddychać, i jęknął. Nagle uświadomiłam sobie, że oboje czujemy dokładnie to samo – to był błysk, trwało to może sekundę, ale ten błysk był tak jasny, że mnie oślepił.

Zaraz potem, przestraszeni tą intymnością, musieliśmy się rozdzielić. Jack odwrócił się, żeby włożyć koszulę, a ja usiadłam, żeby wsunąć buty. Przeczesałam włosy palcami i zapięłam zapomniany guzik.

Milczeliśmy przez całą drogę do mojego domu; przeraźliwy ziąb dawał się we znaki. Kiedy zatrzymaliśmy się na podjeździe, zobaczyłam, że w salonie pali się jedna, maksymalnie przygaszona lampka. Jack pochylił się, żeby dać mi całusa na pożegnanie, szybko wysiadłam z samochodu i przebiegłam po oszronionym trawniku do drzwi.

Zaryglowałam je za sobą i podeszłam do okna panoramicznego. Przez niewielki trójkąt szyby niezastłonięty przez choinkę zobaczyłam, jak samochód Jacka wyjeżdża tyłem na ulicę i rusza w kierunku motelu. Pościel w łóżku Jacka będzie pachniała mną.

W moim pokoju matka zostawiła zapaloną lampę. Rozebrałam się powoli. Było już za późno na kąpiel, mogłabym obudzić rodziców, o ile nie leżeli bezsennie w swoim pokoju, żeby się upewnić, że bezpiecznie wróciłam do domu, tak jak to robili, gdy byłam nastolatką. Kto zliczy wszystkie nieprzespane noce, które im zafundowałam.

Przelotnie pomyślałam o Teresie i Simonie Macklesbych. Ile nocy udało im się spokojnie przespać w ciągu ośmiu lat od zniknięcia ich córeczki?

Morderstwo lekarza i pielęgniarki, stres związany z próbą ślubu i szok wywołany opowieściami Jacka powinny były skutecznie odpędzać sen. Ale wieczór w jego obecności usunął całe napięcie. Pomyślałam z niejakim zdziwieniem, że nawet gdybyśmy się nie kochali, i tak poczułabym się lepiej. Weszłam do łóżka, ułożyłam się na ulubionym boku, wsunęłam rękę pod poduszkę i natychmiast zasnęłam.

Następnego dnia rano wzięłam prysznic i ubrałam się przed zejściem na kawę i śniadanie. Zrobiłam też serię brzuszaków i unoszeń nóg, żeby przez cały dzień nie czuć się jak galareta. Rodzice siedzieli przy stole, każde nad swoją częścią gazety. Wyjęłam sobie kubek z szafki.

– Dzień dobry – powiedziała z uśmiechem moja matka.

Ojciec tylko mruknął i kiwnął głową.

– Jak się udała randka? – zaryzykowała pytanie matka, kiedy się do nich dosiadłam.

– W porządku – odparłam.

Mój tost wyskoczył z tosteru; położyłam go na talerzu.

Tata popatrzył na mnie przez szkła okularów.

– Późno wróciłaś – stwierdził.

– Tak.

– Od jak dawna spotykasz się z tym mężczyzną? Twoja matka mówi, że powiedziałaś jej, że to prywatny detektyw? Czy to nie jest trochę niebezpieczne?

Odpowiedziałam na najbezpieczniejsze z tych pytań.

– Widujemy się od kilku tygodni.

– Myślisz, że on ma wobec ciebie poważne zamiary?

– Czasami.

Ojciec spojrzał na mnie z irytacją.

– Co to ma znaczyć?

– Myślę, że to znaczy, że ona nie chce odpowiadać na twoje kolejne pytania, Geraldzie – powiedziała matka.

Kciukiem i palcem wskazującym potarła grzbiet nosa, ukrywając uśmiech.

– Ojciec musi wiedzieć o mężczyznach, którzy spotykają się z jego córką – oświadczył ojciec.

– Jego córka ma prawie trzydzieści dwa lata – przypomniałam mu, starając się, żeby to zabrzmiało łagodnie.

Pokręcił głową.

– Nie do wiary! To znaczy, że sam jestem już strasznie starym grzybem, a niech to wszyscy święci!

Roześmialiśmy się i moment napięcia minął.

Tata wstał od stołu i zgodnie ze swoim niemal niezmiennym porządkiem poranka poszedł się ogolić. Cofnął się jednak i zajrzał przez drzwi do kuchni dokładnie w chwili, kiedy wgryzłam się w swój tost.

– Czy z pracy detektywa w ogóle można wyżyć? – zapytał i uciekł, zanim zdążyłam się roześmiać albo rzucić w niego tostem.

– W gazecie piszą – zaczęła moja matka, kiedy dopiłam kawę – że Dave LeMay i Binnie Armstrong zostali zabici na chwilę przedtem, nim ty i Varena ich znalazłyście.

– Tak też sądziłam – powiedziałam po chwili milczenia.

– Dotykałaś ich?

– Ja nie, Varena. Jest pielęgniarką – odparłam, przypominając matce, że nie byłam sama, kiedy ta tragedia się wydarzyła.

– To prawda – powiedziała wolno matka, głosem kogoś, kto właśnie dokonał odkrycia, które go jednocześnie napawa dumą i przeraża. – Musi sobie radzić z takimi rzeczami przez cały czas.

– Z takimi albo nawet gorszymi.

Kiedyś Varena opowiedziała mi ze szczegółami o przypadku motocyklisty, który w złym momencie wystawił rękę i wylądował w szpitalu bez niej. Jakiś przechodzień miał na tyle przytomności umysłu, żeby rękę zawinąć w koc, na którym jego pies jeździł zwykle w samochodzie, i zawieźć ją do szpitala. Widziałam już w życiu różne okropieństwa... może równie okropne... ale chyba nie zdobyłabym się na to, żeby opowiadać o nich z zimną krwią. A Varena była podekscytowana – nie samym wypadkiem, ale błyskawiczną reakcją zespołu, w którym pracowała, dzięki czemu operacja się powiodła.

O niektórych aspektach swojego zawodu najwyraźniej nie wspominała naszej matce.

– Nigdy nie myślałam o jej pracy w ten sposób. – Matka się zamyśliła, tak jakby nagle zobaczyła swoją młodszą córkę w innym świetle.

Przez minutę czy dwie czytałam komiks, porady Ann Landers, horoskopy, kalambury i porównywałam dwa rysunki („znajdź różnice”). W domu nigdy nie mam na to czasu. I dzięki Bogu.

– Co mamy dzisiaj w planie? – zapytałam, nie spodziewając się niczego przyjemnego.

Radość z przyjazdu Jacka przybladła i zastąpił ją nurtujący niepokój związany z jego podejrzeniami.

– Po południu będzie babskie przyjęcie u Grace, ale najpierw musimy pojechać do Corbetta, dzwonili, żeby odebrać kilka rzeczy.

Sklep Corbetta jest najlepszym salonem z prezentami w mieście. Każda panna młoda mająca pretensje do elegancji udaje się do Corbetta, żeby zgłosić wybrane przez siebie wzory porcelany i sreber, a także wskazać zakres akceptowalnych kolorów, które będą dobrze wyglądały w jej przyszłej kuchni i łazience. Corbett oferuje także drobne sprzęty domowe, drogie przybory kuchenne, pościele i obrusy. Wiele panien młodych zostawia tam całe listy prezentów ślubnych. Varena i ja zawsze nazywałyśmy je „listami pobożnych życzeń”.

Dwie godziny później – dwie nudne, niemiłosiernie się dłużące godziny później – stałyśmy przed samochodem Vareny, zaparkowanym równolegle do krawężnika przy głównym placu w Bartley. Po jednej stronie placu stary budynek poczty chylił się ku upadkowi, podczas gdy gmach sądu, wznoszący się pośrodku wymuskanego trawnika, tonął w świątecznych dekoracjach. Inaczej niż Shakespeare, Bartley opowiedziało się za żółbkim, chociaż plastikowe figurki w drewnianej szopie nigdy specjalnie nie przemawiały do mojej duchowości. Z głośników umieszczonych wokół placu bez przerwy grzmiały kolędy, a wszyscy właściciele sklepów obwiedli swoje witryny sznurami migających kolorowych światełek i spryskali je sztucznym śniegiem.

Jeśli Boże Narodzenie naprawdę wiąże się z uczuciami religijnymi, byłam zbyt znieczulona całym tym biciem piany, żeby to poczuć w ciągu ostatnich trzech lat.

Ucieszyłam się, kiedy Varena wyjęła klucze i nacisnęła przycisk otwierający centralny zamek, na co jej samochód zareagował cichym piknięciem. Oczywiście wszystkie spojrzałyśmy w stronę samochodu, który wydał dźwięk, to bezmyślna, ale naturalna reakcja, i przez to omal nie zauważyłam nadbiegającego mężczyzny o ułamek sekundy za późno.

Pojawił się dosłownie znikąd i zdążył już wyciągnąć rękę, żeby wyrwać mojej matce torebkę, którą trzymała luźno pod prawym ramieniem.

Z uczuciem czystej przyjemności stanęłam pewnie na lewej nodze, podniosłam lewe kolano i wymierzyłam mu kopniaka prosto w szczękę. W realnym życiu (inaczej niż w filmach) wysokie kopnięcia są ryzykowne i wymagają sporo energii; dużo dogodniejszymi celami są kolana i krocze. Ale akurat miałam okazję zastosować wysokie kopnięcie – i wykorzystałam ją. Dzięki długim godzinom ćwiczeń moje podbicie trafiło napastnika prosto w szczękę. Zachwiał się na nogach. Kopnęłam go jeszcze raz, kiedy już padał, chociaż już nie tak modelowo. Ten kopniak raczej przyspieszył upadek, niż zabolął.

Mężczyzna zdołał wylądować na kolanach; chwyciłam go za prawą rękę i mocno ją wykręciłam za jego plecami. Wrzasnął i upadł płasko na chodnik. Jego ramię trzymałam z tyłu pod takim kątem, o którym wiedziałam, że jest wyjątkowo bolesny. Klęczałam po jego prawej stronie, poza zasięgiem jego lewej ręki, na wypadek gdyby zdołał się podnieść i próbował złapać mnie za kostkę.

– Jeśli się ruszysz, złamię ci rękę – zapowiedziałam mu bez ogródek.

Uwierzył. Leżał na chodniku i walczył o oddech – a raczej o niego żebrał.

Podniosłam oczy i zobaczyłam, że moja matka i siostra gapią się nie na napastnika, tylko na mnie, z bezbrzeżnym zdumieniem, które nadawało tępy wyraz ich twarzom.

– Dzwońcie po policję! – podpowiedziałam im, co mają zrobić.

Varena aż podskoczyła i pędem wróciła do sklepu. Ostatnio często dzwoni na policję. Siostry Bard znowu w akcji.

Mężczyzna, którego powaliłam na ziemię, był niski, tęgi i czarnoskóry. Miał na sobie złachany płaszcz i śmierdział. Domyśliłam się, że to pewnie ten sam facet, który parę dni temu wyrwał torebkę Diane Dykeman.

– Puść mnie, suko! – wydyszał, nabrawszy akurat tyle powietrza, żeby mówić.

– Leż grzecznie – powiedziałam ostrym głosem.

Szarpnęłam jego ramię do góry, aż zawył.

– Och, Lily! – wykrztusiła moja matka. – Och, kochanie! Czy ty naprawdę musisz...? – Zamilkła, kiedy podniosłam wzrok, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Tak, mamó – powiedziałam. – Naprawdę muszę.

Tuż za mną zawyła syrena. Patrolujący tę okolicę policjant musiał być dosłownie dwie ulice stąd i włączył syrenę, kiedy tylko dostał wezwanie od dyspozytora. Omal nie rozluźniłam chwytu. Radiowóz miał napis: *Departament Policji w Bartley*, wymalowany łukowato ponad herbem miasta, jakimś graficznym miszmaszem z motywem owoców bawełny i traktorów. Pod herbem widniał wyśrodkowany napis: *Komendant*, złożony wielkimi literami.

– Co my tu mamy? – zawołał mężczyzna w mundurze, wyskoczywszy z samochodu.

Miał brązowe włosy i starannie przystrzyżone wąsy. Był szczupły, wyjąwszy zabawny brzuszec, dzięki któremu wyglądał, jakby był w piątym miesiącu ciąży. Spojrzał na faceta na chodniku i na mój chwyt.

– Cześć, Lily – powiedział, kiedy już ocenił sytuację. – Kogo tam masz?

– Chandler? – zdziwiłam się, patrząc na jego twarz. – Chandler McAdoo?

– We własnej osobie – potwierdził, przeciągając samogłoski. – Złapałaś sobie złodzieja?

– Na to wygląda.

– Dzień dobry, pani Bard.

Chandler ukłonił się mojej matce, która mechanicznie się odkłoniła. Spojrzałam na jej zszokowaną twarz i uznałam, że przez najbliższą chwilę nic jej nie pomoże. Znalezienie się w roli ofiary przypadkowego przestępstwa to wstrząsające doświadczenie.

Chandler McAdoo przez jeden pamiętny semestr szkoły średniej był moim partnerem w laboratorium. Wspólnie przeprowadziliśmy sekcję żabich zwłok. Trzymałam w ręce nóż – a może to był skalpel? nie pamiętam – i już miałam zacząć po babsku histeryzować, kiedy Chandler spojrzał mi prosto w oczy i powiedział, że jestem beznadziejnym mięczakiem, skoro nie umiem zrobić dziury w skórze martwej żaby.

Ma rację – pomyślałam – i ciachnęłam.

To nie była jedyna rzecz, do której zrobienia prowokował mnie Chandler McAdoo, ale jedyna, do której dałam się sprowokować.

Chandler z kajdankami w ręku pochylił się nad mężczyzną i zanim ten zauważył, co się dzieje, skuł go jednym wyćwiczonym ruchem. Podniosłam się z kolan, przyjąwszy grzeczną pomoc komendanta Chandlera, i podczas gdy opowiadałam mu, co się wydarzyło, on zmusił skutego mężczyznę do powstania i zapakował go do radiowozu.

Wysłuchał mnie i nadał komunikat przez policyjne radio.

Śledziłam każdy jego ruch, nie mogąc sobie myślowo uspołnić tego mężczyzny, krótko, ascetycznie wręcz ostrzyżonego komendanta policji o zimnym spojrzeniu, z chłopakiem, który się ze mną upijał w Rebel Yell.

– Jak myślisz, skąd on nadbiegł? – zapytał Chandler takim tonem, jakby to nie było szczególnie istotne.

Varena i ekspedientki nakłoniły matkę do powrotu do sklepu.

– Chyba stamtąd – zdecydowałam, pokazując mu uliczkę pomiędzy sklepem Corbetta a salonem meblowym. – Tylko tam mógł się czaić niezauważony.

Uliczka była wąska, wystarczyło, żeby napastnik stanął o kilka metrów od rogu i już był niewidoczny.

– Gdzie była Diane Dykeman, kiedy wyrwano jej torebkę?

Chandler rzucił mi baczne spojrzenie.

– Przy aptece Dilla, dwie przecznice stąd – powiedział. – Złodziej pobiegł z powrotem w zaułek i nie udało się nam go znaleźć. Nie mam pojęcia, jak mogliśmy go przeoczyć; podejrzewam, że ukrywał się tak długo, aż zakończyliśmy poszukiwania. W starszej części miasta jest więcej kryjówek i zakamarków, niż bylibyśmy w stanie przeczesać.

Kiwnęłam głową. Wierzyłam mu na słowo: najstarsza część Bartley miała ponad sto pięćdziesiąt lat, a w tym czasie firmy mieszczące się przy głównym placu wielokrotnie rozrastały się i plajtowały.

– Nie ruszaj się stąd – zakomenderował Chandler i ruszył w stronę uliczki.

Westchnęłam i nie ruszyłam się. Raz czy dwa razy zerknęłam na zegarek. Nie było go przez siedem minut.

– Wydaje mi się, że facet tutaj śpi – Chandler wynurzył się z uliczki.

Nagle zobaczyłam przed sobą dawnego dobrego kumpla ze szkoły średniej; nie było już w nim nic z ospałości małomiasteczkowego gliniarza.

– Nie znalazłem co prawda torebki Diane, ale jest tam karton po lodówce i kłęb szmat.

Darował sobie puentę. Pochylił się do wnętrza samochodu i znów powiedział coś przez radio.

– Dałem znać Brainerdowi, temu, który przyjechał wczoraj w sprawie morderstw – wyjaśnił mi, kiedy się wyprostował. – Chodź zobaczyć.

Weszłam za Chandlerem w wąską uliczkę. Doszliśmy do małego skrzyżowania, gdzie uliczka łączyła się z większą, biegnącą za budynkami po zachodniej stronie placu. W zagłębieniu muru, przysłonięty krzakami, które wyrosły niepewnie w pęknięciach nierównego chodnika, stał karton po lodówce. Chandler na coś wskazał; spojrzałam za jego palcem i zobaczyłam zardzewiałą rurkę znajdującą się w pobliżu kartonu, ale z niego, jak uznałam, niewidoczną. Rurka była wetknięta za złamaną rynnę, która dawniej odprowadzała wodę z płaskiego dachu salonu meblowego do rynsztoka; umieszczono ją tam tak, że zupełnie nie byłoby jej widać, gdyby nie to, że z jednego końca była poplamiona. Rurka miała trochę ponad pół metra długości i około pięciu centymetrów średnicy, jeden jej koniec był ciemniejszy niż drugi.

– Plamy krwi? – powiedział Chandler. – Myślę, że Dave’a LeMaya.

Spojrzałam na rurkę i zrozumiałam.

Ten sam mężczyzna, który najprawdopodobniej zmasakrował na śmierć lekarza i pielęgniarkę, znalazł się tak blisko mojej matki! Przez rozjuszoną sekundę żałowałam, że nie kopałam go mocniej i dłużej. Kiedy przewróciłam go na chodnik, mogłam była z łatwością zgruchotać mu ramię albo czaszkę. Popatrzyłam ku wylotowi uliczki. Dostrzegłam profil napastnika, który siedział skuty w radiowozie Chandlera. Jego twarz była zupełnie pusta. Nieskalana jedną myślą.

– Lepiej idź już do sklepu, Lily – powiedział Chandler; może wyczytał wszystko z mojej twarzy. – Twoja mama cię potrzebuje, Varena też. Później pogadamy.

Odwróciłam się na pięcie, wymaszerowałam z uliczki na ulicę i szklanymi drzwiami weszłam do sklepu Corbetta. Dzwoneczek przymocowany do drzwi zadźwięczał i tłumek zgromadzony wokół mojej matki rozstał się, żeby mnie wchłonąć.

Naprzeciw działu „Dla panny młodej”, gdzie wyeksponowano wszystkie wzory ślubnej porcelany i sztućców, stała kanapa. Siedziała na niej moja matka, a Varena u jej boku tłumaczyła jej, co się stało.

Przed sklepem zatrzymał się kolejny radiowóz i zrobiło się jeszcze bardziej tłoczno i nerwowo. Wśród tego zgiełku, dzwoniących telefonów i zmartwionych kobiecych twarzy moja matka stopniowo odzyskała kolory i opanowanie. Ocenivszy, że mama czuje się już lepiej, Varena wzięła mnie na stronę i poklepała po ramieniu.

– Dobra robota, siostrzyczko – powiedziała.

Wzruszyłam ramionami.

– Załatwiłaś go na cacy! – pochwaliła mnie.

Omam nie wzruszyłam ramionami po raz drugi i nie uciekłam wzrokiem. Ale zamiast tego zdobyłam się na uśmiech.

A Varena go odwzajemniła.

– Głupio mi przerywać tę siostrzaną rozmowę, ale muszę spisać zeznania wszystkich trzech pań – powiedział Chandler, wetknąwszy głowę przez drzwi sklepu.

Pojechaliśmy więc na lokalny malutki komisariat, raptem przecnicę dalej, żeby złożyć zeznania. Ponieważ wypadki potoczyły się błyskawicznie – rozegrały się raptem w kilka sekund i nie nastęrczały wątpliwości – składanie zeznań nie trwało długo. Kiedy wychodziłyśmy, Chandler przypomniał nam, że następnego dnia mamy wpaść, żeby podpisać nasze zeznania.

Gestem dał mi do zrozumienia, żebym zaczekała. Posłusznie zostałam w tyle. Spojrzałam na niego z ciekawością. Nie patrzył mi w oczy.

– Złapali ich, Lily?

Kark mi zesztynniał i zaczął szczypać.

– Nie – odparłam.

– Cholera jasna.

I wrócił do swojego małego biura. Gadżety przy jego pasku każdy jego energiczny krok zmieniały w deklarację pewności. Wzięłam głęboki oddech i pobiegłam za mamą i Vareną.

Musiałśmy jeszcze raz wejść do sklepu Corbetta. Kobiety z mojej rodziny nie pozwolą, żeby taki drobiazg jak udaremniiony napad zburzył ich misterny plan działania. Wróciłyśmy więc do rytmu przedślubnych przygotowań. Varena odebrała cały kosz prezentów, po który przyjechałyśmy, nasza matka przyjęła gratulacje z powodu zbliżającego się ślubu córki, a mnie poklepano po plecach (choć dość ostrożnie) w uznaniu zasług za złapanie złodzieja torebek. A kiedy w końcu opadł mi poziom adrenaliny... znów zaczęłam się nudzić.

Pojechaliśmy do domu, żeby otworzyć i skatalogować prezenty. Podczas gdy matka i Varena opowiadały tacie o naszej pełnej nadspodziewanie mocnych wrażeń wyprawie do sklepu, ja poszłam do salonu i wyjrzałam przez okno od frontu. Włączyłam lampki na choince, odkryłam, że migają, i wyłączyłam je z kontaktu.

Byłam ciekawa, co robi Jack.

Moje myśli podryfowały w stronę bezdomnego, którego znokautowałam. Miał zaczerwienione oczy i wielodniowy zarost, był zapuszczony i śmierdział. Czy doktor LeMay pozostałby na fotelu za biurkiem, gdyby ktoś taki wszedł do jego gabinetu? Mało prawdopodobne.

A to zapewne doktor zginął pierwszy. Gdyby usłyszał, że Binnie Armstrong rozmawia z nieznanym mężczyzną, że ten mężczyzna ją atakuje, w żadnym razie nie zostałby przez niego zaskoczony na siedząco. Zerwałby się i pobiegł jej na pomoc, walczyłby mimo swoich lat. Doktor LeMay był dumnym mężczyzną, prawdziwie męskim.

Gdyby ten żałosny osobnik dostał się do jego gabinetu w czasie, w którym poradnia była oficjalnie zamknięta, doktor LeMay pokazałby mu drzwi albo poleciłby mu umówić się na wizytę w innym terminie, albo wezwałby policję, albo odesłałby go na pogotowie, gdzie przyjmuje lekarz dojeżdżający codziennie z Pine Bluff. Znalazłby sposób, żeby sobie z nim poradzić.

Ale na pewno nie pozostałby za biurkiem.

Intruz miał w dłoniach rurkę. Nie znalazł przecież zardzewiałej rury w poradni lekarskiej. A skoro z nią przyszedł, zaplanował morderstwo doktora LeMaya i pani Armstrong.

Nadal wyglądałam przez okno salonu. Pokręciłam głową. Nie jestem oficerem policji ani detektywem, ale w scenariuszu zakładającym, że mordercą jest ten bezdomny, parę rzeczy mi się nie zgadzało. A im dłużej nad tym rozmyślałam, tym bardziej podejrzana wydawała mi się ta wersja wydarzeń. Jeśli ten kloszard zabił lekarza i pielęgniarkę, dlaczego nie obrabował poradni? Czy to możliwe, że uświadomił sobie okropieństwo czynu i uciekł, zanim zrealizował swój zamiar?

A jeśli był niewinny, w jaki sposób narzędzie zbrodni – to, co Chandler McAdoo był skłonny uznać za narzędzie zbrodni – znalazło się w tamtej uliczce? Skoro ten facet był na tyle sprytny, żeby ukryć torebkę Diane Dykeman, którą ukradł niemal na pewno, dlaczego nie był dość przewidujący, żeby się pozbyć dowodu znacznie poważniejszego przestępstwa?

Wiem, co ja bym zrobiła, pomyślałam. Gdybym chciała popełnić morderstwo i zrzucić winę na kogoś innego, zostawiłabym narzędzie zbrodni przy jakimś bezdomnym, najlepiej czarnoskórym... Przy kimś, kto nie miałby w tej okolicy żadnej rodziny i znajomych, żadnego wiarygodnego alibi, a przy tym był już raz notowany za kradzież.

Tak bym to rozegrała.

Tylne drzwi do poradni doktora były zamknięte na klucz – przypomniałam sobie. To znaczy, że morderca musiał wejść głównym wejściem, tak samo jak Varena i ja. Przeszedł pod drzwiami laboratorium, w którym pracowała pani Armstrong, a ona nie poczuła się zagrożona. Binnie Armstrong leżała w progu, co znaczy, że jeszcze przez chwilę po jego wejściu spokojnie zajmowała się swoją pracą.

A zatem: morderca – dzierżąc rurkę – wchodzi do poradni, która jest oficjalnie zamknięta. Mija Binnie Armstrong, która nie podnosi się z miejsca. Wchodzi do gabinetu doktora LeMaya, patrzy na starca po drugiej stronie zasłanego papierami biurka, rozmawia z nim. Morderca trzyma w ręce długą metalową rurkę, a lekarz mimo to nie czuje się zagrożony.

Poczułam na ramionach gęsią skórę. Bez uprzedzenia – bo doktor LeMay nadal siedzi na fotelu przysuniętym do biurka – podnosi rurkę i zadaje nią lekarzowi pierwszy cios w głowę. Bije dalej, aż czaszka zmienia się w bezkształtną masę. Następnie wychodzi na korytarz, w progu laboratorium spotyka Binnie, która biegnie sprawdzić, co znaczą te straszne dźwięki, które usłyszała. Uderza ją... i bije tak długo, aż Binnie jest bliska śmierci.

Morderca wychodzi głównym wyjściem i wsiada do samochodu... musi być przecież cały zachlapany krwią...?

Zmarszczyłam brwi. W tym sęk. Nawet biały mężczyzna o najbardziej anielskim wyglądzie nie mógł wyjść w środku dnia z poradni lekarskiej w

zbroczonym krwią ubraniu i z zakrwawioną rurką w ręce.

– Lily? – usłyszałam głos matki. – Lily?

– Tak?

– Pomyślałam, że moglibyśmy zjeść wczesny lunch, bo po południu idziemy na przyjęcie.

– Dobrze. – Na myśl o jedzeniu żołądek podszedł mi do gardła; ledwie opanowałam ten odruch.

– Jest już na stole. Wołałam cię dwa razy.

– Ojej. Przepraszam.

Niechętnie zanurzyłam łyżkę w domowym rosole z wołowiny, przyrządzonym przez moją matkę, i próbowałam zawrócić moje myśli na poprzedni tor, ale uparcie nie chciały ruszyć się z bocznicą.

I znów siedzieliśmy wszyscy razem, we czwórkę, przy kuchennym stole, tak samo jak za dawnych czasów.

Nagle ta scena wydała mi się przytłaczająco ponura. I znów siedzieliśmy wszyscy razem, we czwórkę.

– Przepraszam, muszę się przejść – powiedziałam i wstałam od stołu.

Trzy pary oczu spojrzały na mnie ze znajomym wyrazem konsternacji, ale czułam tak silny wewnętrzny przymus, że nie byłam w stanie grać mojej roli dłużej.

Wyszłam z domu, po drodze wkładając płaszcz i rękawiczki.

Mijając pierwszą przecnicę, pławiłam się w uczuciu błogości. Chociaż na przenikliwym zimnie i z twarzą wystawioną na ostry wiatr, byłam nareszcie sama. Przynajmniej słońce świeciło swoim rozwodnionym, zimowym blaskiem, a żywe kolory sosen i ostrokrzewów na tle bladobłękitnego nieba sprawiały, że mrużyłam oczy z rozkoszy. Gałęzie drzew wyglądały jak negatyw koronki. Duży brązowy pies sąsiadów gonił za mną, ujadając, aż do granicy ich działki, ale tam się zatrzymał i dał mi

spokój. Przypomniałam sobie o tym, żeby kłaniać się przejeżdżającym samochodami mieszkańcom, lecz ruch w Bartley nigdy nie był duży, nawet w porze lunchu.

Skręciłam za róg, żeby tak na mnie nie wiało, i wkrótce minęłam kościół prezbiteriański oraz pastorówkę, w której mieszkali państwo O'Shea. Zaczęłam się zastanawiać, czy mały Luke pozwala już Lou spać po nocach. Nie potrafiłam jednak myśleć o tej rodzinie, nie pamiętając o zdjęciu, które otrzymał pocztą Roy Costimiglia.

Ten, kto wysłał zdjęcie, z pewnością wiedział, która z dziewczynek jest uprowadzoną Summer Dawn Macklesby. To właśnie zdjęcie, przyklejone do artykułu, miało doprowadzić detektywa zatrudnionego przez Macklesbych do jednoznacznych wniosków. Ale dlaczego anonimowy nadawca nie posunął się o krok dalej i nie zakreślił twarzy dziewczynki? Po co ta niejednoznaczność?

To była prawdziwa zagadka.

Naturalnie, gdyby udało się ustalić, kto wysłał zdjęcie... stałoby się też jasne dlaczego. Zapewne. Błyskotliwe spostrzeżenie, Lily, pomyślałam z pogardą i jeszcze przyspieszyłam kroku. Zwykła brązowa koperta, jaką można kupić w każdym WalMarcie, i zdjęcie z książki pamiątkowej, którą zakupiły setki uczniów. Ale owszem, jedna z nich będzie teraz pozbawiona tej strony. Strony numer 23, co zapamiętałam, bo przyjrzałam się jej bardzo dokładnie u Jacka. Cała ta sprawa to oczywiście jego, a nie mój problem. Co więcej, za rozwiązanie mu płacą.

Musiałam jednak poznać odpowiedź, zanim Varena wyjdzie za Dilla Kingery. A nie ulegało wątpliwości, że chociaż to Jack jest zawodowym i zawziętym detektywem, ja znałam Bartley od podszewki. Starłam się więc wpaść na jakiś sposób, żeby pomóc Jackowi, na jakąś informację, którą mogłabym mu podsunąć.

Kompletnie nic nie przychodziło mi do głowy.

Ale może jeszcze przyjdzie.

Im szybciej i dłużej chodziłam, tym lepiej się czułam. I lżej oddychałam – klaustrofobia wywołana bliskością rodziny powoli rozluźniała więzy.

Zerknęłam na zegarek i zatrzymałam się w pół kroku.

Przyjęcie na cześć Vareny miało się zacząć lada moment.

Na szczęście przez cały czas krążyłam w sąsiedztwie, więc byłam zaledwie cztery przecznice od domu. Zerwałam się do biegu i kilka minut później byłam już pod drzwiami. Z ulgą odkryłam, że zostawili je otwarte. Pobiełam do swojego pokoju, wyskoczyłam z džinsów i swetra i wrzuciłam na siebie zestaw: czarne spodnie – niebieska bluzka – czarna marynarka. Przemknęłam przez łazienkę i wypadłam z domu.

Spóźniłam się tylko dziesięć minut.

Dzisiejsze babskie przyjęcie na cześć Vareny wydawała najlepsza przyjaciółka matki, Grace Parks. Grace mieszkała przy ulicy pełnej wielkich domów, a jej własny należał do największych. Zatrudniała gosposię, przypomniałam sobie i zaraz po wejściu obrzuciłam dom okiem profesjonalisty.

Nikt postronny nie powiedziałaby, że Grace poczuła ulgę na mój widok, a jednak bruzdy ujmujące w nawias jej wydatne usta trochę się spłyciły, kiedy weszłam. Uściskała mnie ceremonialnie i trochę za mocno poklepała po ramieniu ze słowami, że moja matka i siostra czekają w salonie. Zawsze lubiłam Grace, która do samej śmierci pozostanie blondynką. Grace wydaje się niezniszczalna. Brązowe oczy ma zawsze umalowane, kształtną figurę niezmiennie bez zarzutu (przynajmniej z wierzchu) i praktycznie na co dzień nosi wspaniałą biżuterię.

Grace posadziła mnie na krześle, które zarezerwowała obok mojej matki, i odpowiadając na pytanie jednej z zaproszonych pań, wsunęła mi do rąk

notatnik i ołówek. Popatrzyłam na nie tępo i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że przydzielono mi zadanie spisywania prezentów i ofiarodawczyń.

Uśmiechnęłam się ostrożnie do mamy, a ona odpowiedziała mi też ostrożnym uśmiechem. Varena rzuciła mi spojrzenie, w którym irytacja i ulga mieszały się w równych proporcjach.

– Przepraszam – powiedziałam cicho.

– Zdążyłaś – stwierdziła moja matka łagodnie i rzeczowo.

Skinęłam głową w stronę kręgu kobiet, które siedziały w olbrzymim salonie Grace. Większość z nich spotkałam na przyjęciu dwa dni temu. Kiedy ten ślub wreszcie się przetoczy, wszystkie one na równi z Vareną poczują ulgę. Impreza u Grace wyglądała na liczniejszą; może dlatego, że jej dom jest tak ogromny, Grace poleciła Varenie rozszerzyć listę gości.

Zwróciłam uwagę na Meredith Osborn i Lou O’Shea, ponieważ dopiero co myślałam o ich córkach. Pani Kingery siedziała na szczęście po drugiej stronie Vareny. Przemknęło mi przez głowę, że to niesprawiedliwe, że Dill ma taką działającą na nerwy matkę – jakby nie dość, że jego chora nerwowo żona popełniła samobójstwo. Teraz rozumiem, dlaczego pociąga go Varena, która zawsze należała do najbardziej opanowanych i psychicznie zrównoważonych osób, jakie znam.

Dopiero wówczas to sobie uświadomiłam. Zabawne, że można kogoś znać przez całe życie, a mimo to nie uzmysławiać sobie jego mocnych i słabych stron.

Motywnym przewodnim tego przyjęcia była kuchnia. Wszyscy goście zostali poproszeni o dołączenie do podarunku swojego ulubionego przepisu kulinarnego. Zaczęło się wielkie otwieranie; musiałam się zwijać jak w ukropie. Mój charakter pisma nie jest elegancki, ale piszę wyraźnie i starałam się rzetelnie wywiązać z mojego zadania. Niektóre pudełka zawierały kilka drobnych rzeczy zamiast jednego prezentu, na przykład

komplet ścierek kuchennych. Diane Dykeman (ta od skradzionej torebki) podarowała Varenie zestaw miarek – łyżek i pojemników – a także małą wagę kuchenną i tabelę z przelicznikami jednostek wagi; musiałam pisać mikroskopijnymi literkami, żeby to wszystko zmieścić.

Uznałam, że to naprawdę świetna fucha, bo nie musiałam z nikim rozmawiać. Opowieść o tym, jak jednym kopnięciem powaliłam złodzieja torebek, nie obiegła jeszcze miasta, a matka i Varena unikały tego tematu, byłam jednak pewna, że on wypłynie, gdy przyjdzie czas na poczęstunek.

Kiedy ten moment nadszedł – wszystkie prezenty zostały rozpakowane, a gospodyni przyjęcia zniknęła na dłuższy czas – zjawiała się przy mnie Grace i poprosiła, żebym nalewała poncz.

Doszłam do wniosku, że Grace świetnie mnie rozumie. Spojrzałam na nią z wdzięcznością, zajmwszy miejsce u końca jej wypolerowanego do połysku, masywnego owalnego stołu, przedzielonego na pół świątecznym bieżnikiem i zastawionego tradycyjnymi na takich przyjęciach przekąskami: orzeszkami, ciastem, drobnymi kanapkami, miętówkami, słonymi ciasteczkami.

– Jesteś podobna do mnie – powiedziała Grace. Popatrzyła mi prosto w oczy. – Wolisz się czymś zająć, niż tylko siedzieć i słuchać.

Nigdy mi przez myśl nie przeszło, że mogłabym w czymkolwiek przypominać elegancką Grace Parks. Skinęłam jej głową i napełniłam chochlę, żeby nalać ponczu najważniejszej osobie przy stole – Varenie, honorowemu gościowi, oczywiście.

Odtąd musiałam już tylko pytać: „Ponczu?”, uśmiechać się i kiwać głową.

Po pewnym czasie było po wszystkim; po raz kolejny zapakowałyśmy prezenty do samochodu, wylewnie podziękowałyśmy Grace i wróciłyśmy do domu, żeby je rozpakować.

Kiedy już się przebrałam w dżinsy i sweter, Varena zapytała, czy nie pojechałabym z nią do jej domku, żeby pomóc jej się pakować. Przez cały ostatni miesiąc powoli przewoziła swoje rzeczy do domu Dilla, zaczynając od tych, które były jej najmniej potrzebne.

Zgodziłam się, oczywiście, bardzo zadowolona z tego, że będę zajęta i że na coś się przydam. Szybko zjadłyśmy po kanapce i pojechałyśmy do niej, kilkakrotnie zatrzymując się po drodze. Varena powiedziała mi, że Dill specjalnie spędza ten wieczór z Anną, która zaczyna być już trochę przytłoczona całym tym przedślubnym zamieszaniem.

– Doszłam do punktu, w którym u siebie mogę już tylko spać – stwierdziła, przebrawszy się w dres – ale wynajmuję ten dom do końca grudnia, bo naprawdę nie miałam ochoty wprowadzać się z powrotem do rodziców.

Pokiwałam głową. Wiedziałam, że gdyby to zrobiła, ona i Dill nie mieliby żadnej prywatności. A może swoją decyzją chciała tylko podkreślić, że oderwała się już od rodziców?

– Co ci zostało do spakowania?

Varena zaczęła otwierać różne szafki i pokazywać mi, z czym jeszcze nie zdążyła się uporać. Jadąc do niej, wstąpiłyśmy do kilku sklepów po kartony. Większość firm była już zamknięta, a śródmieście było wyludnione. O tej porze roku o szóstej jest już zupełnie ciemno, a dzisiejszy wieczór był bardzo zimny. W porównaniu z ciemnością na zewnątrz domek Vareny wydawał się ciepły i przytulny.

Otrzymałam zadanie spakowania rzeczy z małej szafki przy drzwiach wejściowych, która zawierała zapasowe żarówki, przedłużacze, baterie i odkurzacz. Podczas gdy zaczęłam je układać w solidnym pudle, Varena zajęła się owijaniem w gazety garnków i patelni. Przez pewien czas pracowałyśmy w przyjemnej ciszy.

Varena właśnie zapytała, czy mam ochotę na gorącą czekoladę z proszku, kiedy przed domem usłyszałyśmy czyjeś kroki.

Szok, jaki przeżyłyśmy dzisiaj rano, wytrącił nas z równowagi. Obie czujnie podniosłyśmy głowy, jak zwierzyna na skrzyp butów myśliwego. Machinalnie odnotowałam, że Varena patrzy pytająco na mnie; delikatnie pokręciłam głową, żeby się nie odzywała.

Wtedy ktoś kopnął w drzwi.

Varena przeraźliwie wrzasnęła.

– Kto tam? – zawołałam, ustawivszy się obok drzwi.

– Jack! – ryknął głos za drzwiami. – Wpuść mnie!

Wzięłam urywany oddech, wystraszona i wściekła z tego powodu. Otworzyłam drzwi na oścież, żeby mu powiedzieć, co myślę o takich dowcipach. Słowa uwięzły mi w gardle, kiedy ich zobaczyłam. Jack niósł na rękach Meredith Osborn. Była zalana krwią.

Usłyszałam, jak za moimi plecami Varena podnosi słuchawkę i wybiera 911. Zwięźle przedstawiła sytuację komuś, kto odebrał.

Jack wyglądał strasznie i był w szoku. Był wymazany krwią Meredith. Nierówno oddychał. Mimo że Meredith jest bardzo drobna, trzymał ją jak jakiś wielki ciężar.

Varena chwyciła prześcieradło, które właśnie zdążyła poskładać, i jednym ruchem rozłożyła je na kanapie. Jack z wdzięcznością położył na niej filigranową kobietę. Kiedy pozbył się ciężaru, jeszcze przez chwilę stał ze zgiętymi rękoma. Wreszcie wyprostował je ze stęknieniem, a jego ramiona mimowolnie zadrgały – naciągnięte mięśnie próbowały się rozluźnić.

Varena klęczała już przy kanapie, trzymając ranną za nadgarstek. Pokręciła głową.

– Wyczuwam puls, ale... – Ponownie pokręciła głową. – Leżała na zewnątrz.

Twarz umierającej kobiety była biała jak śnieg, a jej drobne ciało oddawało zimno, które falowało w ciepłe pokoju.

W oddali usłyszeliśmy sygnał karetki pogotowia.

Meredith Osborn otworzyła oczy. Utkwiła je we mnie.

Ktoś uderzył ją prosto w twarz, miała pęknięte wargi, które krwawiły. Pod warstwą krwi miały niebieski odcień, podobnie jak jej paznokcie.

Otworzyła usta.

– Dzieci – wyszeptała.

– Nic się nie martw – powiedziała natychmiast Varena. – Są bezpieczne.

Meredith Osborn przeniosła wzrok z mojej twarzy na twarz Vareny. Jej usta znowu się poruszyły. Usilnie starała się jej coś powiedzieć.

I właśnie wtedy zmarła.

ROZDZIAŁ 5

Mocno przytuliłam się do Jacka. On mocno przytulił się do mnie. Oboje widzieliśmy już, jak umierają ludzie – źli ludzie, agresywni ludzie, ludzie, którzy na swoje nieszczęście znaleźli się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. Ale śmierć tej młodej kobiety, od niedawna matki dwojga dzieci, którą ktoś skatował i zostawił na mrozie, to było coś zupełnie innego.

To Varena pobiegła do domu Osbornów, żeby sprawdzić, czy nie zostały w nim dzieci; to ona odkryła, że dom jest pusty i cichy. I to Varena dwadzieścia minut później zobaczyła, jak Emory Osborn z Evą i malutką Jane wjeżdża na podjazd, żeby dowiedzieć się czegoś, co zmieni ich życie na zawsze.

Tyczkowaty detektyw Brainerd znów był na służbie, a może jeszcze wciąż był na służbie, i patrzył na mnie podejrzliwie, nawet wtedy, kiedy wyjaśniliśmy mu, co się stało.

– Co pan tu robi? – zapytał Jacka wprost. – Nie wydaje mi się, żeby był pan stąd.

– Nie, proszę pana, nie jestem stąd. Przyjechałem odwiedzić Lily, zatrzymałem się w motelu Delta.

Jack wypuścił mnie z ramion i podszedł do Brainerda.

Wbiłam wzrok w podłogę. Nie byłam pewna, czy Jack dobrze robi, zatajając swoje dochodzenie.

– A skąd pan wiedział, że panna Bard tu jest?

– Jej samochód stoi przed domem – odparł Jack.

To była prawda, przyjechałyśmy moim samochodem. Mama zabrała Varenę na przyjęcie, a ja odwiozłam ją do jej domu.

Po ostatnim wybuchu energii Varena opadła na fotel i zaczęła gapić się w przestrzeń.

– Tak więc zatrzymał się pan tutaj, żeby zobaczyć pannę Bard...?

– A kiedy wysiadłem z samochodu, wydawało mi się, że za dużym domem usłyszałem jakiś hałas – powiedział spokojnie Jack. – Pomyślałem, że sam to sprawdzę, żeby nie niepokoić Lily i Vareny.

– I znalazł pan panią Osborn.

– Tak. Leżała między domem a garażem.

– Coś do pana powiedziała?

– Nie.

– Nic nie mówiła?

– Nie. Chyba w ogóle nie była świadoma, że ją podniosłem.

– Ale powiedziała coś, kiedy położyli ją państwo na kanapie?

– Tak.

Jack i detektyw Brainerd odwrócili się do mnie jednocześnie.

– Co takiego mówiła? – zapytał policjant.

– Powiedziała: „Dzieci”.

– I to wszystko?

– Tak.

Brainerd zamyślił się, a może tylko udawał.

Co chciała nam przekazać Meredith Osborn? Czy ostatnie myśli umierającej kobiety po prostu krążyły wokół dzieci, które zostawiała? Czy też chodziło o coś więcej? Jej dziewczynki były w niebezpieczeństwie? A może myślała o trzech dziewczynkach ze zdjęcia?

Ktokolwiek przysłał to zdjęcie do Roya, zapoczątkował serię straszliwych zdarzeń.

Kiedy karetka zabrała ciało Meredith, wyjrzałam przez boczne okno domku Vareny, żeby zobaczyć, jak policja przeszukuje ogród, w którym

Meredith wykrwawiała się i wychładzała na śmierć.

Przepęłniała mnie złość.

Meredith Osborn poskąpiono nawet łaski szybkiej śmierci. Dave LeMay i Binnie Armstrong mieli tylko chwilę, żeby bać się śmierci – i była to chwila straszna, potrafiłam to sobie wyobrazić aż za dobrze. Ale leżeć we własnym ogrodzie bez sił, by wezwać pomoc, i czuć, że śmierć jest coraz bliżej... Zamknęłam oczy i wzdrygnęłam się. Wiedziałam coś o godzinach grozy, spędzonych w przekonaniu, że śmierć jest bliska i nieodwołalna. Ale mnie jednak jej oszczędzono. A Meredith Osborn nie.

Jack objął mnie za ramiona.

– Chcę stąd wyjść – wyszeptałam.

Nie mogłam tego zrobić, wiedzieliśmy o tym oboje.

– Przepraszam – powiedziałam tak, żeby zostać usłyszaną przez wszystkich; głos miałam lodowaty – robi mi się słabo.

Jack westchnął.

– Sam chętnie bym stąd poszedł.

– Co ją zabiło?

– Nie zginęła od kuli. To raczej rany zadane nożem.

Zadygotałam. Nienawidzę noży.

– Czyśmy przywieźli to ze sobą, Jack? – zapytałam szeptem.

– Nie – odpowiedział. – To już tutaj było, zanim przyjechaliśmy. Ale zniknie, zanim stąd wyjadę.

Kiedy Jack się czegoś uczepli, nie odpuszcza nigdy, nawet jeśli trzyma rzecz z niewłaściwego końca.

– Jutro – powiedziałam do niego cicho. – Jutro porozmawiamy.

– Dobrze.

Zabierałam Varenę na noc do rodziców. Nie mogła zostać w tym domu. Była już spakowana i czekała przy bocznym oknie, patrząc na jasno

oświetlony ogród, po którym uwijały się postacie policjantów. Odwróciłam się więc w stronę wyjścia, ale ledwie odeszłam na krok od Jacka, cofnęłam się i złapałam go za nadgarstek. Nie potrafiłam tak po prostu wyjść. Wbiłam wzrok w stopy i zmagalam się z sobą.

– Lily? – Pod pytającą intonacją jego głos brzmiał chrapliwie.

Mocno zagryzłam wargi.

– Już idę – powiedziałam i puściłam go. – Do zobaczenia jutro rano, o ósmej. W twoim motelu.

Spojrzałam na jego twarz.

Skinął głową.

– Zamknij dom na klucz, kiedy policja pozwoli ci wyjść, dobrze?

Varena chyba nas nie słyszała. Stała jak posąg przy oknie, a torba z jej rzeczami leżała obok na podłodze.

– Jasne – odparł, nie spuszczać ze mnie oka.

– To do jutra – powiedziałam, odwróciłam się do niego plecami i wyszłam, przynaglając Varenę, żeby poszła za mną.

Podjęłam już w życiu wiele trudnych decyzji, ale ta należała do najtrudniejszych.

Kiedy przyjechałyśmy do domu rodziców, była zaledwie dziewiąta, chociaż czułam się tak, jakby była północ. Nie miałam ochoty nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać, ale ktoś musiał powiedzieć rodzicom, ktoś musiał z nimi pomówić. Na szczęście Varena wzięła się w garść, zanim stanęła przed moją matką, i chociaż trochę popłakała, zdołała opowiedzieć o okropnej śmierci Meredith Osborn.

– Mam odwołać ślub? – zapytała ze łzami.

Wiedziałam, że matka jej to wyperswaduje. Naprawdę nie byłam w stanie znieść dłużej niczyjego towarzystwa. Poszłam do swojego pokoju i

stanowczo zamknęłam za sobą drzwi. Na korytarzu pod nimi stanął ojciec; poznałam go po krokach.

– Dobrze się czujesz, kurczaku? – zapytał.

– Tak.

– Chcesz zostać sama?

Zacisnęłam pięści tak mocno, że moje krótkie paznokcie zdołały mi się wbić w wewnętrzną stronę dłoni.

– Tak, wolałabym.

– W porządku.

I poszedł sobie, niech mu Bóg wynagrodzi.

Leżałam na twardym łóżku z rękoma splecionymi na brzuchu i myślałam. Nie miałam pomysłu na to, w jaki sposób mogłabym zebrać więcej informacji o trzech dziewczynkach, z których jedna była zapewne Summer Dawn. Byłam jednak przekonana, że Meredith Osborn zginęła, ponieważ wiedziała, która z nich nie jest tą, za którą ją uważamy. Próbowałam sobie wyobrazić, jak Lou O’Shea albo pastor atakują Meredith w jej ogródku na mrozie, ale po prostu nie potrafiłam. Tym bardziej nie mogłam sobie przedstawić łagodnego Dilla Kingery w roli nożownika. Matka Dilla z pewnością była niezrównowazona, ale nie zauważyłam u niej skłonności do okrucieństwa. Wydawała się co najwyżej ocieężała umysłowo.

Pomyślałam o tym, że Meredith Osborn opiekowała się Kristą O’Shea i Anną Kingery. Co takiego zobaczyła – albo usłyszała – że doszła do wniosku, iż jedna z nich urodziła się jako ktoś inny?

Nigdy nie miałam dziecka, toteż nie wiem, jak wyglądają kwestie formalne po porodzie. Wiem, że niektóre szpitale pobierają od noworodków odciski stópki – widziałam je oprawione w ramki na ścianach domu Althausów, kiedy u nich sprzątałam. Dostaje się też oczywiście akt urodzenia. I zdjęcia. Wiele szpitali robi zdjęcia specjalnie dla rodziców.

Moim zdaniem wszystkie noworodki wyglądają z grubsza tak samo, są czerwone i pomarszczone albo brązowe i pomarszczone. Dla mnie jedyną zasadniczą różnicą jest to, że jedne mają włosy, a inne nie.

Od Carol Althaus, która skądinąd sama przeszła wiele porodów, dowiedziałam się, że odciski palców pobierane przez policję na przykład w supermarketach nie są szczególnie pomocne, ponieważ są kiepskiej jakości. Nie wiem, czy to prawda, ale zabrzmiało przekonująco. Byłam gotowa się założyć, że odciski stóp Summer Dawn, jeśli w ogóle istnieją, będą nieprzydatne z tych samych powodów.

A więc odciski palców i stóp to ślepa uliczka. Badanie DNA na pewno potwierdziłoby tożsamość Summer Dawn, ale trzeba by najpierw wiedzieć, kogo mu poddać. Jack nie mógłby żądać, żeby wszystkie trzy dziewczynki przeszły badania DNA. To znaczy zażądać mógłby, ale wszyscy rodzice z pewnością by mu odmówili.

Gapiałam się w sufit, dopóki nie uświadomiłam sobie, że mój umysł w kółko przetwarza ten sam ciąg myśli i nie jest to ani trochę bardziej owocne niż za pierwszym razem.

Kiedy się rozbierałam i wkładałam nocną koszulę, przypomniałam sobie, że gdy Jack po raz pierwszy został u mnie na noc, następnego ranka obiecałam sobie, że nigdy go o nic nie poproszę.

Dotrzymanie tej obietnicy sporo mnie kosztowało.

A kiedy się ponownie kładłam do swojego panińskiego łóżka, musiałam sobie kilkakrotnie powtórzyć, że ta obietnica miała pewien aneks: i nie ofiaruję mu niczego, o co sama nie zostanę poproszona.

Za ścianą usłyszałam, że moja siostra w swoim dawnym pokoju podobnie jak ja szykuje się do snu. Wiedziałam, że Varena cierpi, że cierpi podwójnie, ponieważ wszystkie te okropieństwa dzieją się akurat w czasie, który powinien być najszczęśliwszym w jej życiu.

Czułam się bezradna.

To najbardziej frustrujące uczucie, jakie istnieje.

Następnego ranka wstałam i wyszłam z domu, zanim jeszcze rodzice zaczęli się po nim krzątać. Nie mogłam się doczekać ósmej. Wskoczyłam z łóżka, wzięłam szybki prysznic i wrzuciłam na siebie zwykłe ciuchy, nie deliberując nad nimi zbyt długo, byle były ciepłe.

Z pewnym trudem odpaliłam samochód i ruszyłam białymi od mrozu ulicami. Przed motelem stało kilka samochodów, więc do drzwi Jacka zastukałam cicho.

Otworzył mi po sekundzie i wpuścił mnie do środka. Pospiesznie zamknął drzwi; był bez koszulki i wzdrygnął się od chłodu, który ze mną wpuścił.

Mój plan zakładał, że usiądę na jednym z wygodnych plastikowych krzeseł, a Jack na drugim, i przedyskutujemy jego plany oraz sposób, w jaki mogłabym mu pomóc.

Przebieg wypadków był jednak taki, że natychmiast po zamknięciu drzwi rzuciliśmy się na siebie jak wygłodniałe wilki. Z chwilą kiedy go dotknęłam, moje ręce zaczęły się rozkoszować każdym swoim ruchem. Z chwilą gdy go pocałowałam, zapragnęłam go natychmiast. Dosłownie dygotałam z pożądania i nie byłam w stanie sama się rozebrać; Jack ściągnął mi sweter przez głowę, zsunął dżinsy i bieliznę, pomógł wyjąć z nich nogi i zaciągnął mnie do łóżka, które było jeszcze ciepłe od jego ciała.

Potem leżeliśmy ciasno objęci. Nie przejmowałam się tym, że lewe ramię mi ścierpnie, a Jackowi najwyraźniej nie przeszkadzało, że przygniatał mu lewą nogę.

Szeptał mi do ucha moje imię. Delikatnie odgarnęłam rozpuszczone, splecione włosy z jego twarzy. Przesunęłam palcami po zarostie na jego podbródku. Na końcu języka miałam słowa, których nie chciałam

wypowiedzieć. Zacisnęłam zęby i dalej go dotykałam. Musiałam postawić tamę tej niedorzecznej, rozkołysanej fali, która wzbierała w moim sercu.

Ręce Jacka też były zajęte i po kilku minutach znowu zaczęliśmy się kochać, już nie tak gorączkowo. Niczego nie pragnęłam bardziej, niż zostać w tym nędznym motelowym łóżku, byle razem z nim.

Po kolejnym szybkim prysznicu znowu się ubrałam.

– Co teraz zamierzasz? – zapytałam i usłyszałam niechęć w swoim głosie.

– Sprawdzić, która z dziewczynek była ostatnio u doktora LeMaya.

– Domyśliłam się, że te sprawy mają ze sobą coś wspólnego. Poza tym ten kloszard był w więzieniu, kiedy ktoś zabił Meredith Osborn.

– Meredith nie zmarła w wyniku pobicia tak jak lekarz i pielęgniarka.

Jack z powrotem ściągnął włosy w koński ogon. Popatrzył na mnie jakoś dziwnie. Włożył koszulkę polo z długim rękawem w rdzawo-brązowe paski; blizna na jego policzku przez kontrast wydawała się jaśniejsza. Przewłókł pasek przez szlufki beżowych spodni.

– To mógł być inny morderca.

– No jasne – stwierdziłam sceptycznie. – Nagle okazuje się, że Bartley jest pełne brutalnych morderców. A ty próbujesz odnaleźć zaginione dziecko. Czysty przypadek.

Rzucił mi spojrzenie, które, jak z doświadczenia wiedziałam, znaczyło, że Jack coś knuje: błyskawiczne spojrzenie z ukosa, sondujące mój nastrój.

– Bezdomny nazywa się Christopher Darby Sims.

– Punkt dla ciebie. Skąd to wiesz?

– Mam swoje doświadczenia w tutejszej policji.

Zaczęłam się niespokojnie zastanawiać, czy Jack odświeżył starą dobrą znajomość, czy może przekupił policjanta. Czy obie te rzeczy naraz.

– A twoje doświadczenia nie może przejrzeć terminarza doktora LeMaya?

– Nie, o to już prosić nie mogę. Trzeba znać umiar. Nadal tak się boisz żab? – zapytał Jack, a kąciki jego warg uniosły się w lekkim uśmiechu.

– Chandler McAdoo!

Jack podniósł róg zasłony i wyjrzał na zewnątrz, na ponury dzień i przygnębiający dziedziniec motelu.

– Wpadłem wczoraj na komisariat. Kiedy wymieniłem twoje imię i zrobiłem dość czytelną aluzję, że jesteśmy blisko, Chandler zaczął ze mną rozmawiać. Opowiedział mi kilka fascynujących historii o twoich szkolnych latach.

Próbował nie uśmiechać się zbyt szeroko.

Przestałby, gdyby Chandler opowiedział mu o latach późniejszych.

– Zupełnie nie pamiętam, jaka wtedy byłem – powiedziałam. I była to szczerza prawda. – Pamiętam wprawdzie kilka naszych wybryków – dodałam z niepewnym uśmiechem – ale za nic nie mogę sobie przypomnieć, co wtedy czułam. Chyba za dużo wody w rzece upłynęło.

Czułam się tak, jakbym miała oglądać niemy film o swoim dawnym życiu, bez jednego dźwięku, bez żadnych emocji. Wzruszyłam ramionami. Było, minęło.

– Pewne rzeczy zapamiętałam – ostrzegł mnie Jack. – I kiedy będziesz się tego najmniej spodziewać...

Z uśmiechem zawiązałam mocniej sznurowadła i pocałowałam Jacka na pożegnanie.

– Zadzwoń do mnie, jak się czegoś dowiesz albo jak będziesz czegoś ode mnie potrzebował – powiedziałam. Poczułam, jak uśmiech znika z mojej twarzy. – Chciałabym, żeby już było po wszystkim.

Jack pokiwał głową.

– Ja też – powiedział spokojnie. – A potem nie chcę widzieć Teresy i Simona Macklesbych już nigdy więcej.

Podniosłam na niego oczy i wpatrzyłam się w jego twarz. Dotknęłam jego policzka.

– Poradzisz sobie – oświadczyłam.

– Tak, chyba tak – odparł ponurym, głuchym głosem.

– Jakie masz plany na przedpołudnie? – zapytałam.

– Pomagam Dillowi kłaść podłogę na strychu.

– Co takiego?

– Wczoraj po południu wstąpiłem do apteki, pogadaliśmy chwilę i Dill powiedział mi, że bez względu na pogodę zamierza się tym zająć dzisiaj rano. Koniecznie chce zdążyć przed ślubem. No to mu powiedziałem, że ponieważ nie mam nic szczególnego do roboty, bo ty jesteś zajęta przygotowaniami do ślubu, chętnie mu pomogę.

– I przy okazji zadasz mu kilka pytań?

– Być może. – Jack uśmiechnął się do mnie tym czarującym uśmiechem, którym wyciągnął już od mieszkańców Bartley tyle informacji.

Wróciłam do domu, próbując odnaleźć jakąś drogę w tym labiryncie danych.

Wszyscy już wstali; Varena była trochę podenerwowana, ale czuła się znacznie lepiej. Podczas mojej nieobecności odbyła się narada rodzinna, na której zdecydowano, że niezależnie od wszystkiego ślub się odbędzie. Cieszyłam się, że mnie to ominęło, że decyzja zapadła beze mnie. Gdyby Varena odłożyła ślub, mielibyśmy więcej czasu na śledztwo, ale żywiłam też pewne obawy, którymi nie podzieliłam się z Jackiem.

Bałam się, że morderca – jeżeli ten, kto zabił doktora LeMaya, Binnie Armstrong i Meredith Osborn, był tą samą osobą – wpadnie w szal. A ktoś, kto szaleńczo próbuje ukryć zbrodnię, zwykle zabija najmocniejsze ogniwo, które go z nią łączy.

W tym wypadku byłaby nim Summer Dawn Macklesby.

Z jednej strony, wydawało się mało prawdopodobne, żeby ktoś, kto zadał sobie tyle trudu, by ukryć pierwotne przestępstwo – porwanie – w ogóle mógł rozważać zabicie dziewczynki. Z drugiej – to było całkiem prawdopodobne, nawet oczywiste.

Nie wiedziałam nic, co mogłoby pomóc rozwikłać tę sprawę. Nie znam się na tym. A na czym się znam? Umiem sprzątać, umiem też walczyć.

Wiem ponadto, gdzie ludzie zwykle chowają różne rzeczy. Nauczyłam się tego, właśnie sprzątając. Przedmiot zagubiony może się znajdować dosłownie wszędzie (choć miałam w pamięci listę miejsc, które sprawdzałam najpierw, kiedy moi pracodawcy prosili, żebym zwróciła uwagę, czy dana rzecz gdzieś nie leży), ale przedmiot ukryty... to już zupełnie inna historia.

No i co? – zapytałam sarkastycznie sama siebie. I w czym to ma niby pomóc?

– Będiesz tak dobra, kochanie? – odezwała się moja matka.

– Co? – zapytałam gwałtownie i ostro. Zaskoczyła mnie.

– Przepraszam – powiedziała matka tonem mającym dać mi do zrozumienia, że to ja powinnam ją przeprosić. – Pytałam, czy byłabyś tak dobra i pojechała do domu Vareny, żeby dokończyć pakowanie?

Nie byłam pewna, dlaczego mnie o to poprosiła. Czyżby Varena była zbyt wystraszona, żeby pojechać tam sama? A mnie takie rzeczy rzekomo nie ruszają? Może wyjaśnili powody, kiedy byłam zatopiona w swoich myślach.

Varena rzeczywiście wyglądała, jakby potrzebowała snu i wypoczynku. A teraz jeszcze to, tuż przed najważniejszym wydarzeniem w jej życiu.

– Oczywiście – powiedziałam. – A co z suknią ślubną?

– O mój Boże! – wykrzyknęła matka. – Musimy ją stamtąd natychmiast zabrać!

Na jej bladej twarzy wystąpiły rumieńce. Z niewyjaśnionych przyczyn suknia ślubna nie była bezpieczna w tamtym domu. Zelektryzowana tym faktem matka zagnała mnie do mojego samochodu i sama w rekordowo krótkim czasie przygotowała się do wyjazdu.

Pojechała za mną do Vareny, przeniosła suknię do swojego samochodu tak, jakby to były klejnoty koronne, i osobiście odwiozła ją do domu.

Zostałam sama w domku Vareny i poczułam się dziwnie niekomfortowo. Tak, jakbym po kryjomu myszkowała w jej szufladach. Wzruszyłam ramionami. Miałam zadanie do wykonania. Ta myśl była bardzo konkretna i uspokajająca, zwłaszcza po tym, co przeżyliśmy ostatnio.

Przeliczyłam kartony i te, które były pełne, zaniosałam do bagażnika, opisawszy je wcześniej czarnym markerem Vareny.

– Od dzisiaj mówcie mi „Martho Stewart” – wymruczałam, otworzyłam następny pusty karton i ustawiłam go przy najbliższej szafce w niewielkim przedpokoju Vareny.

Była to podwójna szafka z przesuwanymi drzwiami. Zawierała tylko kilka prześcieradeł i ręczników. Domyśliłam się, że Varena zdążyła już zabrać resztę.

Dokładnie w chwili, kiedy zdjęłam z półki pierwszą partię prześcieradeł, powstrzymując się przed tym, żeby je rozłożyć i poskładać na nowo, rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzałam przez wizjer. Przed drzwiami stał mężczyzna o jasnych włosach, niski, bladej skóry, z niebieskimi oczyma w czerwonych obwódkach. Wyglądał na niegroźnego i pogrążonego w smutku. Byłam pewna, że wiem, kto to jest.

– Emory Osborn – przedstawił się, kiedy otworzyłam drzwi.

Uścisnęłam mu rękę. Odwzajemnił uścisk miękko i bezkostnie, w sposób, w jaki niektórzy mężczyźni ściskają dłoń kobietom, bojąc się, że jeśli włożą w to więcej siły, zmiażdżą im delikatne paluszki. Zupełnie jakby

miał rękę z ciasta. To była cecha, którą Emory Osborn dzielił z Jessem O'Shea.

– Proszę, niech pan wejdzie – zaprosiłam go do środka.

Ostatecznie to był jego dom.

Emory Osborn przekroczył próg. Miał niespełna metr siedemdziesiąt wzrostu, niewiele więcej niż ja, bardzo jasną karnację i niebieskie oczy. Był na swój sposób przystojny, a tak nieskazitelnej cery jeszcze u mężczyzny nie widziałam. W tym momencie była zaróżowiona z zimna.

– Proszę przyjąć kondolencje – powiedziałam.

Po takim postawieniu sprawy spojrział mi prosto w oczy.

– Była pani tutaj wczoraj wieczorem?

– Tak.

– Widziała ją pani?

– Tak.

– Jeszcze żyła.

Niepewnie odsunęłam się na bok.

– Tak – potwierdziłam z ociąganiem.

– Mówiła coś?

– Zapytała o dzieci.

– O dzieci?

– Tak, i to wszystko.

Zamknął oczy i przez jeden straszny moment myślałam, że się rozpłaczę.

– Proszę usiąść – powiedziałam raptownie.

Nakłoniłam go do zajęcia najbliższego miejsca; sądząc po ustawieniu, był to ulubiony fotel Vareny.

– Zaraz zrobię panu gorącą czekoladę – poszłam do kuchni, nie czekając na komentarz.

Wiedziałam, że w domu musi być czekolada, bo Varena chciała mnie nią poczęstować poprzedniego wieczoru. I była, stała na blacie, tam, gdzie Varena ją postawiła, obok dwóch kubków. Na szczęście kuchenka mikrofalowa była wbudowana w szafkę, tak że miałam w czym zagotować wodę. Do wrzątku wmieszałam proszek. Efekt nie był szczególnie smaczny, ale gorący i słodki, a Emory Osborn wyglądał, jakby mu brakowało ciepła i słodyczy.

– Gdzie są dzieci? – zapytałam, postawiwszy jego kubek na dębowym stolyczku obok fotela.

– Są z paniami z naszej kongregacji – powiedział.

Głos miał dźwięczny, ale dosyć cichy.

– Co mogę dla pana zrobić?

Nie zanosilo się na to, że dowiem się od niego czegokolwiek, jeśli go wprost nie zapytam.

– Chciałem zobaczyć, gdzie umarła.

To było dosyć ekscentryczne żądanie.

– Tutaj, na kanapie – odpowiedziałam szorstko.

Spojrzał.

– Nie ma na niej żadnych plam – zauważył.

– Varena narzuciła na nią prześcieradło.

Jego zachowanie było nad wyraz dziwne. Zaczął mnie szczypać kark. Nie zamierzałam dłużej siedzieć naprzeciw niego – przysiadłam na brzegu podnóżka obitego tym samym materiałem co fotel – i pokazywać mu, gdzie leżała głowa Meredith, a gdzie jej nogi.

– Zanim jeszcze pani przyjaciel położył na niej Meredith, tak?

– Tak.

Zerwałam się z podnóżka i wyjęłam z szafy kolejne prześcieradło z gumką. Folgując niedającej się opanować wewnętrznej potrzebie,

rozwinęłam je i poskładałam na nowo, wiedząc, że zaraz zrobię to samo z pozostałymi. Do diabła z uczuciami Vareny.

– A on jest...?

– Moim przyjacielem. – Usłyszałam, że mój głos staje się coraz bardziej oschły i twardy.

– Chyba jest pani na mnie zła – powiedział ze znużeniem.

I oczywiście zaczął płakać, łzy popłynęły mu po policzkach. Ocierał je machinalnie mocno przybrudzoną chusteczką.

– Nie powinien był pan fundować sobie teraz takich scen. – Nadal nie mówiłam do niego tonem, jakim miła kobieta zwróciłaby się do wdowca. Miałam na myśli to, że nie powinien był fundować ich mnie.

– Czuję, że Bóg odwrócił się ode mnie i od dzieci. Pękło mi serce. – Uświadomiłam sobie, że jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś przyznał się do tego głośno. – I moja wiara mnie opuściła – dokończył jednym tchem. Ukrył twarz w dłoniach.

O rany. Nie chciałam tego wysłuchiwać. Nie chciałam tutaj być.

Przez odsłonięte okno zobaczyłam, że na wąskim podjeździe pod domkiem Vareny za moim samochodem zatrzymuje się kolejny. Wysiadł z niego Jess O'Shea i z pochyloną głową ruszył w stronę drzwi. Pastor – idealna osoba, która zmierzy się z kryzysem wiary i świeżą żałobą. Otworzyłam mu drzwi, zanim zdążył zapukać.

– Witaj, Jess – powiedziałam. Nawet ja słyszałam nieskrywaną ulgę w moim głosie. – Przyszedł Emory Osborn i jest naprawdę, naprawdę...

Stałam, znacząco kiwając głową, i nie potrafiłam znaleźć słów, żeby określić, w jakim naprawdę stanie jest Emory Osborn.

Jess O'Shea najwyraźniej zrozumiał, o co mi chodzi. Wyminął mnie, podszedł do niższego mężczyzny i zajął moje miejsce na podnóżku. Ujął rękę Emory'ego w swoje.

Kontynuowałam pakowanie, starając się odciąć od głosów obu mężczyzn. Czułam, że na czas rozmowy Emory'ego z pastorem powinnam była wyjść, ale z drugiej strony Emory mógł się przenieść do własnego domu, gdyby mu zależało na poszanowaniu jego prywatności. Jeśliby spojrzeć na to trzeźwo, wiedział przecież, że jestem u Vareny, a mimo to przyszedł...

Jess i Emory zaczęli się modlić; ze swojego miejsca widziałam tylko żarliwość malującą się na twarzy Emory'ego. Jess miał pochylone plecy i ręce splecione tuż przy twarzy. Dwie jasne głowy, jedna przy drugiej.

Wtedy nadszedł Dill i zobaczył dwóch modlących się mężczyzn i mnie walczącą z prześcieradłami i starającą się ich nie podglądać. Zaskoczył i nie uszczęśliwił go ten obrazek.

Trzech ojców w tym samym pokoju. Tylko że jeden z nich najprawdopodobniej nie był ojcem, lecz podszywającym się pod niego porywaczem.

Dill popatrzył na mnie pytająco. Wzruszyłam ramionami.

– Gdzie jest Varena? – spytał szeptem.

– U rodziców – odszepnęłam. – Jedź do niej. Macie sporo do omówienia. A poza tym czy nie byłeś umówiony z Jackiem?

Popchnęłam go w kierunku drzwi; zachwiał się i musiał zrobić krok do tyłu, żeby odzyskać równowagę. Najwidoczniej włożyłam w to więcej siły, niż zamierzałam.

Kiedy Dill posłusznie wsiadł do samochodu i odjechał, skończyłam składanie prześcieradeł i przekonałam się, że całą bieliznę mam już spakowaną. Sprawdziłam szafkę w łazience. Było w niej tylko kilka drobiazgów, które włożyłam do kartonu.

Odwrociłam się; za moimi plecami stał Jess O'Shea. Mięśnie ramion natychmiast mi się napięły, a dłonie zacisnęły w pięści.

– Przepraszam, zaskoczyłem cię? – zapytał niewinnie.

– Tak.

– Wydaje mi się, że Emory czuje się trochę lepiej. Idziemy do jego domu. Dziękuję, że go pocieszyłaś.

Nie przypominam sobie, żebym go w ogóle pocieszała, całą pociechę musiał chyba wzbudzić w sobie sam pocieszony. Dyplomatycznie odchrząknęłam.

– Cieszę się bardzo, że wróciłaś, żeby się pogodzić ze swoją rodziną – dodał szybko Jess. – Wiem, że to dla nich bardzo ważne.

Od kiedy to jego interes? Uniosłam brwi.

Kiedy się nie odezwałam, poczerwieniał.

– To chyba ryzyko zawodowe, które się wiąże ze zbyt emocjonalnym poklepywaniem po plecach – powiedział w końcu. – Przepraszam.

Skinęłam głową.

– Jak Krista? – zapytałam.

– Dobrze – odparł ze zdziwieniem. – Trochę trudno jej wytłumaczyć, że matka jej przyjaciółki nie żyje, Krista jeszcze tego nie pojmuje. Ale, jak się pewnie domyślasz, to może być błogosławieństwem. Chyba zatrzymamy Evę na jakiś czas u nas, póki Emory trochę się nie otrząśnie. A może także maleństwo, jeśli Lou uzna, że da sobie radę.

– Lou wspominała, że w zeszłym tygodniu była z Kristą u lekarza?

Jeśli Jess zauważył rozdźwięk pomiędzy moim brakiem reakcji na jego uwagi na temat mojej rodziny i gotowością do rozmawiania o jego córce, nie wspomniał o tym słowem. Rodzice prawie zawsze są gotowi uwierzyć, że inni ludzie są równie zafascynowani ich dziećmi jak oni sami.

– Nie – powiedział, wyraźnie szukając tego zdarzenia w pamięci. – Odkąd Krista zeszłego lata zaczęła kurację odczulającą, nie dostała nawet kataru. – Twarz mu się rozjaśniła. – A wcześniej chodziliśmy do doktora

LeMaya niemalże tydzień w tydzień! Wielkie nieba, jakie to ułatwienie! Lou sama robi małej zastrzyki.

Pokiwałam głową i zaczęłam otwierać szafki kuchenne. Jess zrozumiał aluzję i wyszedł; przechodząc przez ogród, włożył swój ciężki płaszcz. Najwyraźniej nie zamierzał zostawać długo u Emory'ego.

Po wyjściu Jessa na kartce z bloczka znalezionej pod telefonem Vareny zapisałam kilka słów. Wskoczyłam do auta i pojechałam do motelu. Tak jak się spodziewałam, samochodu Jacka nie było. Zatrzymałam się pod drzwiami jego pokoju, ukucnęłam i przez szparę pod drzwiami wsunęłam kartkę do środka.

Napisałam na niej: *Krista O'Shea nie była ostatnio u doktora*. Nie podpisałam się. Kto inny mógłby zostawić Jackowi taki liścik?

W drodze powrotnej do domku Vareny przepatrzyłam kilka uliczek w poszukiwaniu kartonów. Szczególnie zainteresowała mnie uliczka pomiędzy salonem z prezentami i sklepem meblowym.

Była czysta, przynajmniej jak na taką uliczkę, i znalazłam tam kilka zupełnie przyzwoitych kartonów, zanim jeszcze na dobre zaczęłam poszukiwania. W głębi stał kubeł na śmieci; byłam pewna, że przeszukała go policja, ponieważ był podejrzanie pusty. Karton po lodówce, który służył za schronienie Christopherowi Simsowi, także zniknął, zapewne zawłaszczony przez policję.

Spojrzałam ku obu wylotom uliczki. Z jednej strony łączyła się z Main Street i każdy, kto jechał na wschód, mógł w nią zajrzeć i dostrzec każdego, kto na niej był, chyba że ten ktoś schował się w zagłębieniu muru, tam, gdzie wcześniej stał karton Simsa.

Od południa uliczka łączyła się z cichą ulicą, przy której stały starsze domy; w części z nich mieściły się małe firmy, a pozostałe nadal były domami jednorodzinnymi. Na Macon Street było sporo pieszych – przy

głównym placu brakuje miejsc parkingowych, toteż zakupowicze zostawiają swoje samochody możliwie jak najbliżej niego i dalej ruszają pieszo.

Na pewno nie było trudno zauważyć kucającego w uliczce Christophera Simsa. Pomysł, żeby obciążyć podejrzeniami czarnego kloszarda z Bartley, narzucał się sam i był bez wątpienia kuszący. Wślizgnięcie się w uliczkę z, powiedzmy, zakrwawioną metalową rurą nie nastroczało najmniejszych trudności. Tak samo jak jej porzucenie obok kartonu.

Tylne drzwi sklepu meblowego nagle się otworzyły. Wyszła z nich kobieta mniej więcej w moim wieku i popatrzyła na mnie z rezerwą.

– Cześć! – zawołała.

Najwidoczniej czekała, aż się wytłumaczę, co tutaj robię.

– Zbieram kartony na rzeczy mojej siostry, przeprowadza się – wyjaśniłam jej, wskazując na samochód z otwartym bagażnikiem.

– Aha – powiedziała, a na jej twarzy odmalowała się wyraźna ulga. – Nie chciałam być podejrzliwa, ale mieliśmy ostatnio... Lily? To ty?

– Maud? Mary Maud? – Patrzyłam na nią z równym niedowierzaniem.

Szybko zeszła po tylnych schodach i rzuciła mi się na szyję. Aż się zatoczyłam pod jej ciężarem. Mary Maud nadal była śliczna, i zawsze będzie, ale od czasów szkoły średniej dość znacznie się zaokrągliła. Zmusiłam się, żeby ją uściskać.

– Mary Maud Plummer – powiedziałam niepewnie i delikatnie poklepałam ją po pulchnym ramieniu.

– No cóż, przez prawie pięć lat byłam Mary Maud Baumgartner, a teraz znowu nazywam się Plummer – wyjaśniła mi, pociągając nosem.

Mary Maud zawsze była uczuciowa. Ścisnęło mi się serce. Tyle moich wspomnień wiązało się z tą kobietą.

– Ani razu do mnie nie zadzwoniłaś – powiedziała teraz, patrząc mi w oczy.

Po tym gwałcie, chciała powiedzieć. Tutaj nigdy się od tego nie uwolnię.

– Nie dzwoniłam do nikogo – zaznaczyłam. Ale Mary Maud musiałam powiedzieć prawdę. – Nie byłam w stanie. To było dla mnie za trudne.

Jej oczy napełniły się łzami.

– Ale ja przecież zawsze byłam twoją przyjaciółką!

Zawsze wierna prawdzie uczuć, nieważne, jak niewygodnej. Czy to właśnie dlatego nie zadzwoniłam do Mary Maud, kiedy spotkało mnie najgorsze? Odsunęliśmy się od siebie, zrobiwszy krok w tył.

Przypomniałam sobie inną ważną prawdę.

– Nadal jestem twoją przyjaciółką – powiedziałam. – Ale nie potrafiłam wytrzymać wśród ludzi, którzy ciągle myśleli o tym, co mi się przydarzyło. Nie mogłam tego znieść.

Pokiwała głową. Miała rude włosy prawie do ramion, starannie podkrecone pod spód, i masywne złote kolczyki w przekłutych uszach.

– Chyba cię rozumiem. Przez te wszystkie lata usprawiedliwiałam cię, że odrzuciłaś moją pomoc.

– To znaczy, że między nami wszystko w porządku?

– Tak. – Uśmiechnęła się do mnie. – Między nami wszystko w porządku. Zaśmiałyśmy się cicho, ni to z radości, ni to z zakłopotania.

– To mówisz, że zbierasz kartony dla Vareny?

– Tak. Przenosi się do przyszłego męża. Ślub już pojutrze. A po wczorajszym morderstwie...

– No tak, to przecież Varena wynajmuje ten domek! A mąż, no wiesz, Emory, pracuje tutaj ze mną. – Mary Maud wskazała na drzwi, którymi wyszła. – Uroczy człowiek.

Musiał wiedzieć o tym, że Christopher Sims mieszka w kartonie na tyłach sklepu.

– To pewnie wiedzieliście, że ten facet, złodziej torebek, tu koczuje?

– Widzieliśmy go ostatnio parę razy, zanim policja go zgarnęła. Zaraz, zaraz... wielkie nieba, Lily, to ty go złapałaś?

Kiwnęłam głową.

– Rany, dziewczyno, jak tyś to zrobiła?! – Mary Maud obejrzała mnie od stóp do głów.

– Przez kilka lat brałam lekcje karate i trochę ćwiczyłam.

– Wyobrażam sobie! Ale jesteś dzielna!

– To wiedzieliście, że Sims tu jest?

– Kto? A, tak. Ale nie wiedzieliśmy, co w tej sprawie zrobić. Nigdy wcześniej nie mieliśmy takiego problemu; próbowaliśmy wymyślić jakieś rozwiązanie: jak byłoby najbezpieczniej, a jak należałoby postąpić po chrześcijańsku. Nie jest lekko, kiedy to są dwie różne rzeczy! Sprowadziliśmy Jessa O’Shea, żeby porozmawiał z tym mężczyzną i spróbował się dowiedzieć, dokąd chciałby dostać bilet autobusowy, no wiesz. Albo czy nie jest chory. Albo głodny.

To znaczy, że Jess spotkał się z tym mężczyzną.

– I co powiedział Jess?

– Powiedział, że ten Sims twierdzi, że jest mu tu dobrze, że dostaje pomoc od ludzi z, no wiesz, czarnej społeczności i że zamierza tu zostać dopóty, dopóki Bóg nie zaprowadzi go w jakieś inne miejsce.

– Gdzieś, gdzie będzie można ukraść więcej torebek?

– Niewykluczone. – Mary Maud się roześmiała. – Słyszałam, że Diane go rozpoznała. Powiedział jej na komisariacie, że jest aniołem i że próbował jej tylko uświadomić niebezpieczeństwo płynące z posiadania zbyt wielu dóbr doczesnych.

- Ciekawa perspektywa.
- Trzeba mu przyznać, ma facet pomysły.
- Wspominał coś o morderstwach?

Skoro Mary Maud ma taki świetny dostęp do lokalnego obiegu plotek, czemu się nie podłączyć?

– Nie. Trochę to dziwne, co? Zachowuje się tak, że można by sądzić, że jest zbyt szurnięty, żeby rozumieć, że morderstwo to znacznie poważniejsze przestępstwo, ale upiera się, że nie widział na oczy tej rury, którą policja znalazła obok jego kartonu, no wiesz, tego, w którym sypiał.

Zauważyłam, że Mary Maud wyszła do mnie bez płaszcza i trzęsie się teraz w swojej eleganckiej białej bluzce i wełnianej kamizelce haftowanej w gałązki ostrokrzewu i inne motywy świąteczne. Nasze spotkanie po latach miało nawet oprawę muzyczną, bo z głośników wokół głównego placu nadal grzmiały kolędy.

– Jak ty to wytrzymujesz? – spytałam, kiwając głową w stronę źródła hałasu.

– Te kolędy? Och, po pewnym czasie człowiek się po prostu wyłącza – powiedziała ze znużeniem. – Tylko że zabijają we mnie ducha świętą.

– Może to właśnie dlatego złodziejowi puściły nerwy – stwierdziłam, a Mary Maud wybuchnęła śmiechem.

Zawsze dużo się śmiała, tak serdecznie, że nie sposób się było przynajmniej nie uśmiechnąć.

Uściskała mnie jeszcze raz, wymogła na mnie obietnicę, że już po ślubie Vareny zadzwonię do niej z Shakespeare, i potruchtała z powrotem do sklepu, otrząsając się z zimna. Patrzyłam za nią przez chwilę. Potem wrzuciłam do bagażnika jeszcze kilka kartonów i ostrożnie wyjechałam z uliczki.

Skręciłam w Macon Street i minęłam aptekę Dilla.

Miałam się nad czym zastanawiać.

Oddałabym prawie wszystko, żeby mieć ze sobą swój worek treningowy. Wróciłam do domku Vareny i spakowałam wszystko, co udało mi się znaleźć. Mniej więcej co pół godziny prostowałam plecy i wyglądałam przez okno. Dom Osbornów odwiedziło mnóstwo gości, głównie kobiety przynoszące coś do jedzenia. Emory co jakiś czas pojawiał się w ogrodzie; nerwowo chodził tam i z powrotem, a kilkakrotnie widziałam, że płakał. Raz pojechał dokądś samochodem i wrócił przed upływem godziny. Ale ku mojej wielkiej uldze nie zapukał więcej do drzwi domku.

Starannie poskładałam pozostałe ubrania Vareny i włożyłam je do walizek, nie wiedząc, co zamierza zabrać ze sobą w podróż poślubną. Większość jej ubrań była już u Dilla.

W końcu przed trzecią po południu cały dobytek Vareny był spakowany. Prawie wszystkie kartony przeniosłam do samochodu, przy drzwiach został tylko jeden niewysoki stosik, który nie zdołał się już zmieścić. Zostały oczywiście także meble, ale nimi nie miałam się zajmować.

Zabrałam się do sprzątanía.

Sprzątanío sprawiło mi zaskakującą przyjemność. Varena nie jest flejtuchem, ale nie jest też kompulsywną panią domu, więc miałam się czym zająć. Poza tym szczerze się cieszyłam, że mam wolne od domowników i spędzam czas sama.

Podczas odkurzania usłyszałam głośne pukanie do drzwi. Aż podskoczyłam. Wcześniej nie słyszałam, żeby pod domem zatrzymywał się samochód, pewnie zagłuszył go warkot odkurzacza.

Otworzyłam drzwi. Stał w nich Jack i był strasznie zły.

– Co jest? – zapytałam.

Wepchnął się do środka.

– Ktoś się włamał do mojego pokoju. – Jack gotował się z wściekłości. – Dostał się przez okno w łazience, które wychodzi na pola. Nikt niczego nie widział.

– Coś zginęło?

– Nie. Ale włamywacz przerył dokładnie wszystko, wyłamał nawet zamek w mojej aktówce.

Poczułam nieprzyjemne ściskanie w dołku.

– Znalazłeś mój liścik?

– Co takiego? – spojrzał na mnie i jego złość zaczęła ustępować miejsca innemu uczuciu.

– Zostawiłam ci liścik. – Gwałtownie usiadłam na podnóżku. – Zostawiłam ci liścik – powtórzyłam tępo. – O Kriście O’Shea.

– Podpisałś go?

– Nie.

– Co w nim było?

– Że już od dawna nie była u lekarza.

Jack analizował, co mu powiedziałam, a jego wzrok przeskakiwał od mebla do mebla w lśniącym czystością wnętrzu.

– Powiadomiłeś policję? – spytałam.

– Byli na miejscu, kiedy przyjechałam. Wezwał ich kierownik, pan Patel. Wyszedł wynieść śmieci do kubła za budynkiem i zauważył wybite okno.

– I co im powiedziałaś?

– Prawdę. Że ktoś przeszukał moje rzeczy, ale niczego nie ukradł. Nie zostawiłem w pokoju pieniędzy. Nigdy tego nie robię. A cennych rzeczy nie zabieram w podróż.

Jack był zły i zniesmaczony, ponieważ ktoś naruszył jego przestrzeń, nieważne, że tymczasową, i grzebał w jego rzeczach. Doskonale go

rozumiałam. Ale Jack nigdy by się do tego nie przyznał i nie nazwałby tego w ten sposób, ponieważ jest mężczyzną.

– Teraz ktoś wie dokładnie, czego szukam w Bartley.

Poczucie, że pogwałcono jego prywatność, Jack przykrył natychmiast praktycznymi wnioskami.

– Wie także, że mam współlnika – ciągnął.

Można to nazwać i tak.

Raptownie wstałam i podeszłam do okna. Rozpierała mnie niespokojna energia. Zbliżały się kłopoty i każdy nerw mojego ciała kazał mi wsiadać do samochodu i w te pędy wracać do Shakespeare.

Ale nie mogłam tego zrobić. Trzymała mnie tutaj rodzina.

Nie, to nie była cała prawda. W przypadku skrajnego zagrożenia zdobyłabym się na to, żeby zostawić moją rodzinę. Trzymał mnie tu Jack.

Bez zastanowienia zwinęłam rękę w pięść i wyrznęłabym nią w okno, gdyby Jack nie złapał mnie za ramię.

Natarłam na niego, oszołomiona napływem uczuć, których nie potrafiłam nazwać. Ale zamiast go uderzyć, objęłam go za szyję i gwałtownie przyciągnęłam do siebie. To napięcie było nie do zniesienia.

Jack, wyraźnie zdumiony, wydał pytające mruknięcie, a potem ucichł. Puścił moje ramię i ostrożnie mnie przytulił. Staliśmy tak w milczeniu przez dłuższy czas.

– Powiesz mi, co cię tak wyprowadziło z równowagi? – zapytał w końcu. – Skończyła ci się cierpliwość do rodziców, u których mieszkasz? Siostra cię wkurzyła? A może... dowiedziałaś się czegoś o jej narzeczonym?

Wyrwałam się z jego objęć i zaczęłam chodzić po pokoju tam i z powrotem.

– Mam kilka pomysłów – oświadczyłam.

Zmarszczył ciemne brwi. Powinnam była siedzieć cicho. Nie chciałam przecież tej rozmowy: ja bym mu powiedziała, że dostanę się do domów podejrzanych, a on by mi powiedział, że to jest jego rola, i tak dalej, i tak dalej. Lepiej to sobie darować.

– Lily, czuję, że zaraz się na ciebie wścieknę – powiedział Jack z fatalistycznym przekonaniem w głosie.

– Nie masz takich możliwości, jakie mam ja. Co zamierzasz robić dalej?
– wygarnęłam mu. – Co tu w ogóle mógłbyś jeszcze znaleźć?

Oczywiście już wyglądał na zdenerwowanego. Wetknął ręce do kieszeni skórzanej kurtki i rozglądał się za czymś, co mógłby kopnąć. Nic takiego nie znalazł, więc także zaczął chodzić po pokoju. Krążyliśmy po nim jak para pojedynkujących się rycerzy, w oczekiwaniu, aż przeciwnik zrobi pierwszy ruch.

– Spytaj komendanta, czy mogę przejrzeć kartotekę doktora LeMaya – powiedział wyzywająco Jack.

– To nic nie da – odparłam. Znam Chandlera, nigdy by się nie zgodził na coś takiego.

– W takim razie znajdź coś, co morderca miał na sobie, kiedy zabił lekarza, pielęgniarkę i Meredith Osborn.

A więc Jack podobnie jak ja uznał, że zabójca miał na sobie jakieś okrycie, które narzucił na ubranie.

– Tego nie będzie w żadnym domu – powiedziałam.

– Tak myślisz?

– Ja to wiem. Kiedy ludzie ukrywają coś takiego, chcą, żeby to było blisko nich, ale nie aż w ich własnym domu.

– W takim razie gdzie? Pod wiatą na samochód, w garażu?

Kiwnęłam głową.

– Albo w samochodzie. Ale wiesz równie dobrze jak ja, jakich ci to przysporzy kłopotów ze strony prawnej. Czy zanim się na to zdecydujesz, nie ma już nic, co mógłbyś zrobić?

– Miałem nadzieję, że wyciągnę coś od Dilla. To sympatyczny facet, ale po prostu nie chce rozmawiać o swoim pierwszym małżeństwie. Przynajmniej ma teraz porządnie położoną podłogę na strychu – zaśmiał się. – Myślałem o tym, żeby jeszcze raz porozmawiać z ludźmi, którzy mieszkali obok Meredith i Emory’ego, kiedy urodziło im się pierwsze dziecko – dodał niechętnie. – Przeglądałem notatki z tego, co powiedzieli, i chyba coś mi tam nie styka.

– Gdzie mieszkają ci ludzie?

– W zapadłej dziurze na północ od Little Rock, tam, gdzie mieszkali Osbornowie, zanim przenieśli się tutaj. Opowiadałem ci, to w pobliżu Conway.

– A co nie styka?

– Może nie tyle nie styka, co... Nie wszystko, co powiedziała ta kobieta, ma sens. Meredith zwierzyła jej się ponoć, że dzień, w którym urodziła dziecko, był najsmutniejszym dniem w jej życiu. I że poród domowy to był koszmar.

To mogło być znaczące, ale mogło też nie znaczyć nic szczególnego, ot, wynurzenia kobiety, która właśnie po raz pierwszy urodziła.

– Drugie dziecko rodziła już w szpitalu – zauważyłam. – Tak przynajmniej sędzę. Gdyby Jane Lilith też urodziła się w domu, ktoś by już chyba o tym wspomniał.

Zakonotowałam jednak sobie w pamięci, że muszę to sprawdzić.

– Dlaczego Meredith musiała umrzeć? – zapytał Jack. – Czemu akurat ona?

To nie były tak do końca pytania skierowane do mnie. Jack patrzył przez okno od frontu; ręce nadal trzymał w kieszeniach. Widziałam go z profilu, wyglądał surowo i groźnie. Wystarczyło w wyobraźni obciąć mu włosy, żeby zobaczyć, jak wyglądał jako gliniarz. Gdyby mnie aresztował, nie obawiałabym się, że mnie pobije, pomyślałam, ale od razu wiedziałabym, że próba ucieczki to głupota.

– Zajmowała się czasem pozostałymi dwiema dziewczynkami – odpowiedziałam.

Jack skinął głową.

– To znaczy, że znała je wszystkie bardzo blisko. Z pewnością miała okazję zobaczyć każdą z nich nago. Ale córka Macklesbych nie ma żadnych znamion – powiedział.

– Jak myślisz, kto wysłał to zdjęcie?

– Sądzę, że Meredith Osborn. – Odwrócił się od okna, żeby na mnie spojrzeć. – Sądzę, że je wysłała, bo chciała naprawić wielką krzywdę. I właśnie za to została zabita.

– Co tak naprawdę robiłeś wieczorem, kiedy zginęła?

– Właśnie się do niej wybierałem, żeby zadać jej kilka pytań – odparł. – Przejeżdżałem obok restauracji Bartley Grill i zobaczyłem, że jej mąż i córeczki są w środku. Niemowlę było w foteliku ustawionym na stole, a Emory i Eva sobie gawędzili. Domyśliłem się, że Meredith została sama w domu, a podejrzewałem, że może coś wiedzieć o tym zdjęciu.

– Dlaczego?

– Roy zbadał zdjęcie i kopertę pod kątem odcisków palców. Na zdjęciu nie było żadnych – zostały starte – ale jeden był na kopercie, na taśmie, którą ją zakleiono. Był wyraźny i bardzo mały. Wspominałaś, że Meredith była bardzo drobna. Zauważyłaś, jakie miała maleńkie dłonie?

Nie zauważyłam.

– Miałem nadzieję, że zdobędę jej odciski palców, żeby je z nim porównać. Zamierzałem zadzwonić do drzwi i powiedzieć, że jestem detektywem, który prowadzi tu śledztwo, a prywatnie – twoim chłopakiem. Chciałem pokazać jej zdjęcie i zapytać, czy już je kiedyś widziała. Jeśli powiedziała, że nie, schowałbym je do torebki, a potem zdjął z niego odciski palców.

Gdybym dostała się do domu Osbornów, mogłabym znaleźć coś, na czym na pewno byłyby jej odciski palców. Mogłabym też sprawdzić, czy w księdze pamiątkowej Evy nie brakuje przypadkiem strony.

– Ale ja nie chcę, żebyś się w to mieszała! Widziałaś, jak zginęła Meredith! – powiedział ostro Jack. Szybko podniosłam wzrok. Stał tuż przede mną.

– Od razu widzę, kiedy coś knujesz, Lily. Robisz taką zawziętą minę i zaciskasz szczęki – dodał. – Co ci chodzi po głowie?

– Sprzątanie – odparłam.

– Sprzątanie?

– Sprzątanie w domu Osbornów, a potem u Dilla Kingery’ego.

Zastanowił się.

– To nie twoja sprawa – powiedział.

– Chcę, żebyśmy wyjechali stąd przed świętami.

– Ja też – podkreślił.

– No to o co chodzi? – ucięłam dyskusję.

– Czyżbym właśnie zgodził się na coś, o czym nie wiem?

– Zgodziliśmy się, że chcemy to załatwić przed świętami.

Jack rzucił mi ponure spojrzenie.

– Zabieram się stąd – burknął. – Zadzwonię. Nie rób nic, co naraziłoby cię na niebezpieczeństwo.

– Jedź ostrożnie – powiedziałam.

Cmoknął mnie oschle w policzek, obrzucił kolejnym podejrzliwym spojrzeniem i bez dalszych ceregieli wyszedł. Przez odsłonięte okno patrzyłam, jak zapina pasy i wycofuje samochód z podjazdu.

Kiedy tylko odjechał, poszłam do wdowca i zaproponowałam, że wysprzątam mu dom.

ROZDZIAŁ 6

Emory ma tak delikatne rysy i jasną skórę, że zapuchnięte czerwone oczy upodabniały go do królika. Ledwo mnie rozpoznał. Był kompletnie zaabsorbowany swoim cierpieniem, zgryzota przeżarła go na wylot.

– Tak? W czym mogę pani pomóc? – zapytał. Jego głos wydobywał się z dna brzucha.

– Przyszłam posprzątać pański dom.

– Co takiego?

– Tym się zajmuję zawodowo i to mogę panu zaproponować w tym trudnym dla pana czasie.

Nadal był zdumiony, a ja byłam niezadowolona z siebie i tym gorzej ukrywałam zniecierpliwienie.

– Moja siostra... – powiedział łamiącym się głosem. – Moja siostra przyjeżdża jutro.

– W takim razie trzeba wysprzątać dom na jej przybycie.

Wciąż wlepił we mnie wielkie oczy. Wytrzymałam jego spojrzenie. Za nim na końcu ciemnego korytarza zobaczyłam, jak Eva wykrada się na palcach przez otwarte drzwi salonu. Wyglądała jak własny duch.

– Panna Lily! – odezwała się. – Dziękuję, że pani przyszła.

To zdanie jej ojciec najwyraźniej powtarzał odwiedzającym przez cały dzień; jej próba, żeby zachowywać się dorośle, sprawiła, że ścisnęło mi się serce. Poza tym zaczęłam się zastanawiać, co Eva robi w domu, miała przecież być u pastorostwa.

Emory w końcu odsunął się na bok i wpuścił mnie do środka, ale nadal wyglądał na nieprzekonanego. Spojrzałam na zegarek, żeby dać mu do zrozumienia, że szanuję swój czas, i to wyrwało go z letargu.

– To bardzo miłe z pani strony, panno... Bard – powiedział. – Czy jest coś, co powinniśmy...?

– Spodziewam się, że Eva pokaże mi, gdzie co jest.

Nie jestem specjalistką od terapii żałoby. Kompletnie nie znam się na dzieciach. Ale zawsze dobrze jest się czymś zająć.

– Tak byłoby najlepiej – powiedział półprzytomnie Emory. – A ja...
I poszedł sobie.

– A tak – odwrócił się przez ramię – Evo, bądź dobrą gospodynią. Dotrzymaj towarzystwa pannie Bard.

Eva wyglądała na trochę rozżaloną, ale odpowiedziała grzecznie: – Tak, tatusiu.

Ona i ja spojrzaliśmy na siebie uważnie.

– Gdzie jest Jane? – zapytałam.

– U państwa O’Shea. Ja też u nich byłam, ale tatuś powiedział, że muszę wracać do domu.

– Rozumiem. Gdzie jest kuchnia?

Usta małej rozciągnęły się w uśmiechu niedowierzania. Przecież każdy wie, gdzie jest kuchnia! Eva była jednak dobrze wychowaną dziewczynką i poprowadziła mnie na drugi koniec domu i w prawo.

– A rzeczy do sprzątnięcia? – spytałam.

Położyłam torebkę na kuchennym blacie, zdjęłam płaszcz i powiesiłam go na krześle.

Eva otworzyła szafkę w przyległej pralni. Zauważyłam, że kosz na brudną bieliznę jest pełny.

– Może lepiej pokaż mi najpierw dom?

I mała dziewczynka oprowadziła mnie po swoim domu. To był olbrzymi, dosyć stary dom, z wysokimi sufitami i ciemnymi dębowymi podłogami, które wymagały sporo pracy. Zauważyłam kratkę wentylacyjną od

grzejnika kanałowego. Tego typu ogrzewania nie widziałam już od lat. W salonie, jedynym pokoju o przeznaczeniu ogólnorodzinnym, stała choinka udekorowana symbolami religijnymi. Sofa, ława i komplet krzesel były wykonane z drewna klonowego, a siedzenia obite stonowanym brązowym materiałem w szkocką kratę. Schludnie i paskudnie.

Emory póżleżał na krześle, oplatając ręką kubek zimnej kawy. Wiedziałam, że jest zimna, bo wewnątrz kubka zrobiła się ciemna obwódka. Już kiedy zaczął ją pić, była dobrze odstana. W ogóle nie zwrócił uwagi, że przeszliśmy przez pokój. Zaczęłam się zastanawiać, czy będę go musiała odkurzyć jak mebel.

Sypialnia Osbornów była czysta, chociaż meble wymagały przetarcia z kurzu. Pokój Ewy... cóż, łóżko było akurat pościelone, ale podłogę zaścielały lalki Barbie i kolorowanki. Pokój dziecinny wyglądał najporządniej, bo maleństwo nie umie jeszcze chodzić. Kubeł na brudne pieluchy wymagał opróżnienia. Łazienkę należało gruntownie posprzątać. W kuchni nie było tak źle.

– Gdzie znajdę czystą pościel? – zapytałam.

– Pościel mamy jest tam – Eva wskazała mi bieliźniarkę stojącą w sypialni rodziców.

Zdjęłam pościel z małżeńskiego łóżka; brudną zaniósłam do pralni i wstawiłam pranie. Wróciłam do sypialni i otworzyłam bieliźniarkę.

– Tam jest taboret mamy – powiedziała uczynnie Eva. – Zawsze go używa, kiedy sięga po rzeczy z najwyższej półki.

Byłam co najmniej piętnaście centymetrów wyższa od Meredith Osborn i z łatwością poradziłabym sobie bez stołka. Ale jeśli chciałam zobaczyć, co jest za pościelami, taboret mógł się okazać bardzo przydatny.

Weszłam na stołek, zdjęłam pościel i błyskawicznie objęłam wzrokiem zgromadzone z tyłu przedmioty. Zapasowy koc, karton z napisem: „Pasta

do butów”, tanie metalowe pudło na akta i ważne dokumenty. Nagle pod stosem torebek zauważyłam pudełko z napisem „Eva”. Rzuciłam czystą pościel na łóżko i wysłałam Evę po ściereczkę do wycierania kurzu i środek do pielęgnacji mebli.

Zdjęłam pudełko z półki i otworzyłam je. Musiałam zacisnąć zęby, żeby się zmusić do przejrzenia jego zawartości. Przepełniało mnie poczucie, że naruszam prywatność Meredith.

W pudełku były wyblakłe ze starości kartki z powinszowaniami, jakie rodzina i przyjaciele przysyłają świeżo upieczonym rodzicom. Szybko je przerzuciłam. Nic się za nimi nie kryło. Znajdowały się tam też malutka grzechotka i pajacyk. Pajacyk był uszyty z miękkiej dzianiny, żółtej w zielone żyrafki, miał standardowe zapięcie w kroku i długie rękawy. Był bardzo starannie poskładany. Może w tym pajacyku Eva przyjechała ze szpitala do domu? Nie, Eva urodziła się przecież w domu, przypominałam sobie. W takim razie było to zapewne ulubione ubranko Meredith. Moja matka też ma jeszcze niektóre ubranka moje i Vareny, trzyma je na strychu.

Zamknęłam pudełko i odłożyłam na miejsce. Zanim Eva wróciła do sypialni, łóżko było już gładko przykryte kwiecistą narzutą, a w jego nogach leżał poskładany koc.

Razem zabrałyśmy się do ścierania kurzu. Eva naturalnie nie była najbardziej skrupulatną pomocnicą, zważywszy, że miała osiem lat i właśnie straciła matkę. Jeśli chodzi o sprzątanie, jestem bardzo wymagająca i nie przywykłam do współpracy, ale jakoś sobie poradziłam.

Opadły mnie wątpliwości, czy Eva powinna brać udział w sprzątanii rzeczy swojej matki, ale zachowywała się przy tym tak rzeczowo, że zaczęłam się zastanawiać, czy mała zdała już sobie sprawę, że Meredith nigdy nie wróci.

Podczas sprzątania sypialni dołożyłam starań, żeby zajrzeć we wszystkie zakamarki. Nie posunęłam się do przepatrywania szuflad w komodzie i nocnych stolikach, ale wściubiłam nos wszędzie, gdzie tylko było można: pod łóżko, w kąty szafy, za i pod niemal wszystkie meble. Później, kiedy zaczęłam odkładać na miejsce wyprane i wysuszone rzeczy, zajrzałam także do szuflad. Na pierwszy rzut oka nic specjalnego.

Jedna szuflada małego biurka ustawionego w kącie była pełna rachunków za wizyty lekarskie i recept związanych z przebiegiem ciąży Meredith. Sądząc po nich, była to bardzo trudna ciąża. Miałam nadzieję, że pracownicy salonu meblowego są objęci korzystnym ubezpieczeniem grupowym.

– Potrząśnij pojemnikiem – przypomniałam Evie i mała potrząsnęła żółtym pojemnikiem sprayu do mebli. – A teraz spryskaj.

Eva ostrożnie skierowała chmurę środka do pielęgnacji mebli na blat pustego biurka. Starannie wytarłam go ścierką, a potem ustawiłam na nim z powrotem stojak na korespondencję, kubek pełen długopisów i ołówków oraz pudełko ze znaczkami pocztowymi i etykietami z adresem nadawcy. Kiedy Eva przeprosiła mnie, mówiąc, że musi iść do łazienki, zgrzytając zębami, zrobiłam coś, co przejmowało mnie wstrętem: podniosłam szczotkę do włosów należącą do Meredith Osborn, na której wedle wszelkiego prawdopodobieństwa znajdowały się jej odciski palców, zawinęłam ją w niepotrzebny plastikowy worek, poszłam do kuchni i wsunęłam ją do swojej torebki.

Gdy Eva wróciła z łazienki, byłam już z powrotem w sypialni Osbornów i starannie uklepywałam brzegi stosu papierzyk.

– To rachunki mamy – powiedziała mała z powagą. – Zawsze płacimy nasze rachunki.

– Naturalnie.

Pozbierałam środki do czyszczenia oraz szmatki i część z nich wręczyłam Evie.

– Gotowe.

Kiedy zabrałyśmy się do sprzątnięcia pokoju Evy, zauważyłam, że mała zaczęła się nudzić; urok nowości, jakim było pomaganie mi, już przyblakł.

– Co było wczoraj na kolację? – zapytałam od niechcienia.

– Wczoraj byliśmy w restauracji – odpowiedziała. – I dostałam shake’a. Jane spała przez cały czas. Było super.

– Tata was zabrał – zauważyłam.

– Tak, chciał, żeby mama trochę sobie odpoczęła – powiedziała Eva z aprobatą.

Ale pamięć o tym, jak zakończył się ten wieczór, zaraz uderzyła ją jak obuchem i zobaczyłam, że jej miłe wspomnienie o shake’u natychmiast się ulatnia. Nie mogłam jej wypytywać o wczorajszy wieczór.

– A może pokażesz mi swoją ostatnią szkolną księgę pamiątkową i opowiesz mi o swoich koleżankach? – zaproponowałam.

Wyjęłam czystą pościel z jej szafy i zaczęłam zmieniać tę na jej łóżku.

– Pewnie! – zawołała entuzjastycznie Eva.

Zabrała się do przeszukiwania niskiej biblioteczki, wypełnionej książkami dla dzieci i różnymi bibelotami. Nie panował tam szczególny porządek, więc nie zdziwiłam się, kiedy mi powiedziała, że nie może jej znaleźć. Zamiast tego przyniosła księgę pamiątkową sprzed dwóch lat i doskonale się bawiła, wymieniając mi imiona wszystkich dzieci uwiecznionych na wszystkich zdjęciach. Musiałam tylko się uśmiechać, kiwać głową i od czasu do czasu zapytać: „Naprawdę?”. Najswobodniej, jak tylko potrafiłam, sama przejrzałam zawartość biblioteczki. Księga pamiątkowej z ubiegłego roku nie było.

Oglądanie zdjęć koleżanek i kolegów wyraźnie Evę uspokoiło.

– Byłaś ostatnio u lekarza? – zapytałam ją mimochodem.

– A czemu pani pyta? – spytała.

Zwątpiłam. Nie przyszło mi do głowy, że dziecko może mnie zapytać, dlaczego chcę coś wiedzieć.

– Jestem ciekawa, do którego lekarza chodzisz.

– Do doktora LeMaya. – Zamyśliła się nad własną odpowiedzią. Jej brązowe oczy zrobiły się jeszcze większe. – On też nie żyje – dodała ze znużeniem, jakby wszyscy wokół niej umierali. Nic dziwnego, że tak myślała.

Nie wiedziałam, jak w naturalny i bezbolesny sposób przepytować ją dalej, po prostu nie mogłam przysparzać małej zmartwień. Ku mojemu zaskoczeniu Eva sama pociągnęła temat: – Poszła ze mną mama.

– Naprawdę? – starałam się, żeby mój głos brzmiał możliwie obojętnie.

– Tak. Lubiała pana doktora i pannę Binnie też.

Pokiwałam głową, podniosłam stos książeczek do kolorowania i nadałam mu kształt zgrabnego równoległoboku.

– Bolało, ale szybko było po wszystkim – powiedziała, ewidentnie powtarzając słowa kogoś dorosłego.

– Ale po czym? – zapytałam.

– Pobierali mi krew – wyjaśniła Eva z ważną miną.

– Ojej.

– Tak, bolało. Ale tak to już jest, niektóre rzeczy bolą i trzeba to wytrzymać. – Dziewczynka pokiwała filozoficznie głową, jakby miała kilkadziesiąt lat więcej.

Przytaknęłam. Solidna porcja stoicyzmu jak na trzecioklasistkę.

– Chudłam i mama myślała, że może coś jest ze mną nie tak – dodała.

– I było?

– Nie wiem. – Spuściła wzrok i popatrzyła na swoje nogi. – Nie powiedziała mi.

Kiwnęłam głową, jakby to było całkiem normalne. Ale wyznania Ewy zmartwiły mnie, i to bardzo. A jeśli z małą naprawdę jest coś nie tak? Jej ojciec na pewno o tym wie, o wizycie u lekarza i badaniach krwi też? A jeśli Eva ma anemię albo jeszcze poważniejszą chorobę?

Moim zdaniem Eva wyglądała raczej zdrowo, ale przyznaję, że nie mam wystarczających kompetencji, żeby wyrokować o takich sprawach. Fakt, była chuda i blada, ale nie na tyle, żeby się nie mieściła w granicach normy. Jej włosy lśniły, a zęby wyglądały na zdrowe i wyczyszczone, pachniała ładnie, stała tak, jakby nic jej nie dolegało, i nie uciekała mi wzrokiem – gdyby nie spełniała któregokolwiek z tych warunków, należałoby się martwić, ale skoro je spełniała, nie było chyba powodów do niepokoju. W takim razie dlaczego nie byłam spokojna?

Przeniosłyśmy się do dzieciennego pokoju; Eva nie odstępowała mnie na krok. Od czasu do czasu rozlegał się dzwonek do drzwi i słyszałam, jak Emory ciężkim krokiem idzie otworzyć. Odwiedzający nie zostawali długo. W konfrontacji z czarną rozpaczą Emory'ego trudno było stać i go zagadywać.

Po wysprzątaniu pokoju Jane i łazienki weszłam do kuchni i odkryłam, że ilość jedzenia przyrasta szybciej, niż Emory jest w stanie je magazynować. Stał na środku kuchni z plastikową miską w rękach; miska była owinięta w różową folię do żywności, która w Bartley jest hitem. Otworzyłam lodówkę i oceniłam sytuację.

– Hmmm – mruknęłam.

Zaczęłam opróżniać półki. Emory odstawił miskę i włączył się do pomocy. Wszystkie niedojedzone resztki powędrowały do kosza, a

naczynia, w których były, do zlewu. Przetarłam najniższą półkę, na którą coś się wylało.

– Zrobił pan listę? – zapytałam Emory’ego.

Wyglądał, jakby się przebudził ze swojego transu.

– Listę? – powtórzył, jakby słyszał to słowo pierwszy raz w życiu.

– Musi pan zrobić listę darczyńców i zapisać, co kto przynosi i w jakim naczyniu. Ma pan pod ręką kawałek papieru?

Ta jego siostra powinna przyjechać jak najszybciej.

– Tatusiu, ja mam kartki w pokoju! – zawołała Eva i pobiegła po nie.

– Zdaje się, że o tym myślałem, ale zapomniałem – powiedział Emory.

Zamrugnął czerwonymi oczami i chyba trochę otrzeźwiał. Kiedy Eva nadbiegła z plikiem kartek, przytulił ją. Wierciła się w jego uścisku.

– Musimy zrobić listę! – Spojrzała na niego surowo.

Pomyślałam, że w ciągu tego dnia pewnie wyściskano ją już i wygłaskano do tego stopnia, że wystarczyłoby jej do końca życia. Albo nawet dwóch.

Listę zaczęła sporządzać osobiście, stawiając na kartce charakterystyczne koślawe litery. Powiedziałam jej, jak się do tego zabrać, i Eva usiadła na stołeczku przy kuchennym blacie, pracowicie zapisując dane w jednej kolumnie, nazwisko ofiarodawcy w drugiej, i dodając gwiazdkę, jeśli trzeba mu było oddać naczynie.

Pobudzony do działania naszym przykładem Emory zaczął dzwonić z kuchennego telefonu. Z podsłuchanych strzępków rozmów wywnioskowałam, że telefonował na policję, żeby się zapytać, czy wiedzą, kiedy ciało Meredith zostanie przywiezione z autopsji w Little Rock, wybierał muzykę, która zabrzmiałaby na ceremonii pogrzebowej, sprawdzał, co się dzieje w pracy, próbując jakoś żyć dalej. Zaczął też robić własną listę, pisząc mikroskopijnymi, nieczytelnymi literkami. Była to lista rzeczy do

załatwienia przed pogrzebem, wyjaśnił mi swoim cichym głosem. Ucieszyłam się, że się otrząsnął z tego odrętwienia.

Robiło się coraz później, więc przyspieszyłam tempo prac. Szybko zamiotłam i przemyłam podłogę oraz przetałam kuchenny blat. Wybrałam kilka dań na kolację dla Evy i Emory'ego i zostawiłam je na wierzchu wraz z instrukcjami, jak je podgrzać. Emory nadal rozmawiał przez telefon, więc po prostu wyszłam z kuchni, a Eva poszła w ślad za mną. Włożyłam płaszcz i przewiesiłam torebkę przez ramię.

– Wróci pani jeszcze? – zapytała Eva. – Pani wie, jak i co trzeba zrobić.

Popatrzyłam na nią. Oszukałam tę małą i jej ojca, nadużyłam ich zaufania. Podziw Evy sprawił mi przykrość.

– Jutro nie mogę – powiedziałam najdelikatniej jak umiałam. – Pojutrze Varena wychodzi za mąż i mam mnóstwo rzeczy do załatwienia. Ale postaram się jeszcze kiedyś cię odwiedzić.

– Dobrze.

Zniosła to po żołniersku. Uświadomiłam sobie, że to cecha charakterystyczna małej Evy Osborn.

– Bardzo dziękuję za dzisiejszą pomoc – powiedziała Eva, kilkakrotnie przełknąwszy głośno ślinę.

Urodzona pani domu.

– Uznałam, że sprzątanie będzie miało większy sens niż przynoszenie jedzenia.

– I miała pani rację – oświadczyła trzeźwo Eva. – W domu jest od razu o wiele milej.

– Do zobaczenia – powiedziałam i schyliłam się, żeby ją uściskać. Czuję się niezręcznie. – Dbaj o siebie.

Co za idiotyczny tekst skierowany do dziecka, zwymyślałam się w duchu. Ale nie wiedziałam, co innego mogłabym powiedzieć.

Emory stał przy drzwiach. Miałam ochotę warknąć. Prawie mi się udało wymknąć bez pożegnania.

– Nie wiem, jak mam pani dziękować – powiedział ze szczerością, która była mi niemiła i niewygodna.

– To nic takiego.

– Ależ nie, wręcz przeciwnie – upierał się. – To dla nas bardzo wiele znaczy.

Znowu zbierało mu się na płacz.

Do diabła.

– Do widzenia – pożegnałam się stanowczo i wyszłam.

Zerknąwszy ponownie na zegarek w drodze do samochodu, uświadomiłam sobie, że nie ma sposobu, żeby uniknąć tłumaczenia rodzicom, gdzie tak długo byłam i co robiłam.

Moje poczucie winy spotęgował fakt, że rodzice uznali, iż pomagając Emory'emu Osbornowi w godzinie żałoby, postąpiłam prawdziwie po chrześcijańsku. Musiałam im pozwolić dobrze o mnie myśleć, chociaż wcale na to nie zasługiwałam.

Sama próbowałam się trochę rozgrzeszyć. Ostatecznie, jeśli spojrzeć na efekty, Osbornowie mieli teraz czysty dom, w którym można było podejmować gości. A ja miałam negatywny raport dla Jacka. Nie odkryłam nic godnego uwagi, może z wyjątkiem wizyty Evy u doktora. No i ukradłam szczotkę.

Kiedy Varena wychynęła ze swojego pokoju, zapłakana prawie tak samo jak Emory, przystąpiłam do realizacji drugiej części planu.

– Jestem w nastroju do sprzątnia – powiedziałam jej. – Może chciałabyś, żebym wysprzątała dom Dilla, tak żeby błyszczał na wasze pierwsze wspólne święta?

Varena i Dill wybierali się w podróż poślubną dopiero po świętach, a Boże Narodzenie chcieli spędzić w domu z Anną.

Ponieważ moim celem było zaoszczędzenie Varenie cierpienia, nie czułam się aż tak winna jak wtedy, kiedy proponowałam sprzątanie domu Emory'emu. A jednak w ustach miałam kwaśny posmak, który zinterpretowałam jako objaw wstrętu do samej siebie.

– Dzięki! – powiedziała Varena z wyraźnym zaskoczeniem w głosie. – Miałabym duży kłopot z głowy. Mówisz poważnie?

– Przecież wiesz, że ja zawsze muszę mieć coś do roboty – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– Niech ci Bóg wynagrodzi – odparła Varena ze współczuciem i uściskała mnie.

Niepożądane współczucie mojej siostry jakimś sposobem utwierdziło mnie w postanowieniu.

Rozległ się dzwonek do drzwi – znajomi rodziców właśnie wrócili z wycieczki do Pigeon Forge, dokąd pojechali, żeby zobaczyć świąteczne dekoracje. Mieli mnóstwo do opowiadania i przywieźli prezent dla Dilla i Vareny. Przywitałam się jak należy, po czym bez problemów wyślizgnęłam się do swojego pokoju. Wzięłam gorący prysznic i czekałam na telefon od Jacka.

Nie zadzwonił. Tego wieczoru telefon w domu się urywał – dzwonili przyjaciele, żeby zapytać o szczegóły związane ze ślubem, Dill pytał o Varenę, banki proponowały nowe karty kredytowe moim rodzicom, a członkowie kongregacji próbowali zorganizować kolację dla rodziny Osbornów, która miała się zjechać na pogrzeb Meredith.

Ale Jack się nie odezwał.

Coś nie dawało mi spokoju i o ósmej zapragnęłam rzucić okiem na zdjęcia Summer Dawn. Chciałam zadać Jackowi kilka pytań. Chciałam też

przejrzeć jego teczkę. To pomogłoby mi się zbliżyć do odpowiedzi na pytanie, co mnie właściwie tak niepokoi.

O ósmej trzydzieści zadzwoniłam do Chandlera McAdoo.

– Wybierzmy się na przejażdżkę – zaproponowałam.

Chandler wjechał na podjazd moich rodziców własnym jeepem. Był ubrany w grubą flanelową koszulę w czerwono-białą kratę, wojskową kurtkę moro, dzinsy i buty Nike.

Moja matka otworzyła mu drzwi, zanim zdążyłam ją uprzedzić.

– Chandler! – powiedziała z lekkim zdziwieniem. – Chciałeś nam zadać kilka pytań w związku z wczorajszym dniem?

– Nie, proszę pani. Przyjechałem po Lily – na głowie miał czapkę z logo Arkansas Travellers, której daszek się przekrzywił, kiedy Chandler skinął mi na powitanie.

Włożyłam kurtkę.

– Zupełnie jak za dawnych czasów – uśmiechnęła się moja matka.

– Na razie, mamó – powiedziałam, zapinając starą czerwoną wiatrówkę.

– Do zobaczenia, skarbie. Bawcie się dobrze.

Jeep mi się spodobał. Chandler utrzymywał w nim idealny porządek, co potrafiłam docenić. Po całym samochodzie Jacka zwykle fruwały papierzyska.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Chandler.

– Na wyprawę do Frankel's Pond jest za zimno, a poza tym jesteśmy już za starzy. Może Heart of Delta?

– Strzał w dziesiątkę – powiedział.

Zanim rozsiedliśmy się w jednym z boksów taniej rodzinnej knajpy, w której byliśmy częstymi gośćmi za czasów szkoły średniej, Chandler zdołał mi już sporo opowiedzieć o swoich dwóch próbach małżeńskich, synku, z którego był bardzo dumny (urodzonym ze związku z Cindy, żoną numer

dwa), i swojej aktualnej kobiecie – Tootsie Monahan, najmniej przeze mnie lubianej druhnie Vareny.

Kiedy przeczytaliśmy menu – które wyglądało do złudzenia tak samo jak wtedy, kiedy miałam szesnaście lat, z wyjątkiem cen – i złożyliśmy zamówienie u kelnerki (hamburger ze wszystkimi dodatkami i frytki dla Chandlera oraz karmelowy shake dla mnie), Chandler rzucił mi baczne, konkretne spojrzenie.

– O co właściwie chodzi temu facetowi, z którym teraz jesteś?

– Jackowi.

– Wiem, jak ma na imię, do cholery. Czego on tu szuka?

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Wzięłam głęboki oddech.

– Próbuje odnaleźć... – Urwałam.

Jak mogłam zrobić coś takiego? Gdzie się podziała moja lojalność?

Chandler zrobił okrągły gest ręką, próbując mnie nakłonić do mówienia.

Sam z sympatii do mnie powiedział już Jackowi kilka rzeczy. Ale podjęcie wysiłku otwarcia ust i wyjaśnienia mu, na czym polega dochodzenie Jacka, graniczyło z niemożliwością. Na moment zamknęłam oczy i zrobiłam głęboki wdech.

– ...zaginioną osobę – dokończyłam.

Przyjął tę informację.

– No dobra, mów.

Zawahałam się.

– Nie mogę.

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz, Lily?

Twarz Chandlera wyglądała o wiele starszej.

Jezu. Nienawidziłam tego.

– Powiedz mi, co się działo, kiedy zginęła Meredith Osborn. Nie wiem, czy to ma jakiś związek z dochodzeniem Jacka, Chandler, naprawdę. Byłam

wtedy w domu obok, raptem kilka metrów od niej, a jeśli się na coś w ogóle znam, to na tym, jak się bronić. – Nie wiedziałam, jak głęboko to we mnie siedziało, dopóki nie wypowiedziałam tego na głos. – I nie miałam okazji ruszyć palcem, żeby jej pomóc. Po prostu powiedz mi, co się wydarzyło tamtego wieczoru.

Tyle mógł zrobić, nie naruszając prawa, pomyślałam.

– Co się wydarzyło tamtego wieczoru. Jak zginęła Meredith – Chandler najwidoczniej zbierał myśli.

Jego wzrok przykuła solniczka, w której ziarna ryżu wydawały się żółte w porównaniu ze śnieżną bielą soli.

Nie wiedziałam, że wstrzymuję oddech, dopóki Chandler nie zaczął mówić. Małe dłonie splótł przed sobą, a jego twarz przybrała lekko srogiego, poważny wyraz, który, jak się domyśliłam, był częścią jego zawodowego image'u.

– Na tyle, na ile mogę to stwierdzić na podstawie oględzin, pani Osborn zmarła w wyniku wielokrotnych ran kłutych klatki piersiowej – zaczął. – Napastnik uderzył ją także w twarz, może po to, żeby ją przewrócić na ziemię, co ułatwiło zadawanie ciosów. Napadnięto ją w ogrodzie na tyłach domu. Całe zajście trwało zaledwie minutę lub dwie. Została bardzo poważnie ranna i nie była w stanie ruszyć się dalej niż o metr. Poza tym temperatura spadła poniżej zera, a ona nie miała na sobie żadnego okrycia.

– Ale przesunęła się o ten metr.

– Tak.

– W stronę domku Vareny.

– Tak.

Poczułam, jak usta zaciskają mi się w wąską kreskę, a oczy zwężają. Mój przyjaciel Marshall nazwał kiedyś tę minę „twarzą mścicielki”.

– Co to był za nóż?

– Najprawdopodobniej zwykły kuchenny, o jednym ostrzu, ale musimy poczekać na wyniki sekcji, żeby mieć pewność.

– Weszliście do domu Osbornów?

– Oczywiście. Musieliśmy sprawdzić, czy zabójca się tam nie ukrył. Tylne drzwi były otwarte.

– To znaczy, że morderca narobił hałasu albo wywołał Meredith do ogrodu...?

Wzruszył ramionami.

– Zapewne coś w tym rodzaju. Nie była przestraszona. Gdyby się bała, zostałaaby w domu i zamknęła tylne drzwi na klucz. Mogła też wezwać nas. Telefon działał, sprawdziłem. Ale zamiast tego wyszła do ogrodu.

Żadne z nas nie wypowiedziało na głos oczywistego wniosku, że Meredith zobaczyła tam kogoś, kogo znała i komu ufała.

– O której Emory wyjechał z domu?

– Około siódmej. Zabrał dziewczynki. Chciał dać żonie trochę czasu dla siebie, jak powiedział. Przeszła bardzo trudny poród, nie wróciła jeszcze do pełni sił i tak dalej.

Zmarszczyłam brwi.

– Kelnerka potwierdza, że Emory przyjechał do restauracji mniej więcej pięć po siódmej. Zanim on i Eva zjedli, minęło czterdzieści pięć minut, potem obudziła się malutka i Emory dał jej butelkę, potem czekał, aż jej się odbiło, i tak dalej. Kiedy w końcu wyszli z restauracji, było może kwadrans po ósmej. Podjechali do Kmarta, gdzie Emory miał do zrobienia drobne zakupy; kupili jakieś witaminy i inne głupoty... Zrobiła się ósma pięćdziesiąt, może dziewiąta, jakoś tak.

– I wtedy wrócił do domu.

– I wtedy wrócił do domu – potwierdził Chandler. – Był naprawdę zdruzgotany. Zbladł jak prześcieradło.

– Dom przeszukaliście już wcześniej.

– Tak, musieliśmy to zrobić. Nie znaleźliśmy żadnych dowodów, że był w nim ktokolwiek poza członkami rodziny. Niczego w najmniejszym stopniu podejrzanego. Żadnego włamania, żadnych gróźb nagranych na automatycznej sekretarce, żadnych śladów walki... Nic, zupełnie nic.

– Chandler... – Zawahałam się. Ale nie było innego sposobu, żeby się dowiedzieć. – Przeszukaliście jego samochód?

Chandler poruszył się na krześle.

– Nie. Sądzisz, że powinniśmy byli to zrobić?

– Zapytałeś Evę, czy tata nie cofnął się po coś do domu?

– Bardzo się starałem. Musiałem naprawdę uważać na słowa, bo nie chciałem, żeby pomyślała, że podejrzewamy jej ojca. Ona ma dopiero osiem lat!

Chandler obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem, tak jakby to była moja wina.

– I co odpowiedziała? – zapytałam bardzo spokojnie i cicho.

– Powiedziała, że pojechali do restauracji. Kropka. A potem do Kmarta. Kropka.

Pokiwałam głową i odwróciłam oczy.

– Gdzie był wtedy Jess O’Shea? – zapytałam.

Mimo że patrzyłam w drugą stronę, na podrapaną ladę z laminatu, czułam, że Chandler piorunuje mnie wzrokiem.

– Dave zapytał Emory’ego, do jakiego kościoła należy, i kiedy ten odpowiedział, że do prezbiteriańskiego, zadzwoniliśmy po Jessa – powiedział wolno Chandler. – Lou powiedziała nam, że jest w swoim gabinecie i rozmawia z jednym z parafian.

– Zadzwoniliście tam?

– Tak.

– Odebrał?

– Tak. Ale powiedział, że nie może przyjechać natychmiast.

Zaczęłam się zastanawiać, czy Jess w ogóle przyjechał tego wieczoru do domu Osbornów. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy scena, jaka rozegrała się dzisiaj pomiędzy nim a Emorym, zrobiła na mnie wrażenie pierwszego spotkania po tragedii czy kontynuacji rozmowy z poprzedniego dnia. Byłam tak zakłopotana całą sytuacją, że starałam się nie słuchać tego, co mówili.

– Podał jakiś powód?

– Założyłem, że musi najpierw skończyć rozmowę z tym, kto do niego przyszedł.

A więc stanęło na tym, że Jess jest poza domem, a policja nie zapytała go, co właściwie robi. W zasadzie nie widziała żadnych powodów, żeby o to pytać.

Varena powiedziała mi, że Dill zamierzał spędzić tamten wieczór w domu z Anną. Uznałam, że Dill nie jest ojcem, który zostawiłby Annę samą, ale mógł to przecież jakoś załatwić. Zaczęłam się zastanawiać, jak mogłabym o to zapytać, nie wzbudzając podejrzeń Vareny.

– Lily, jeśli czyjeś bezpieczeństwo jest zagrożone albo jeśli podejrzewasz, kto mógł zabić tę nieszczęsną kobietę, prawo zobowiązuje cię, żebyś mi to powiedziała. Względy moralne również.

Spojrzałam w okrągłe brązowe oczy Chandlera. Znałam tego mężczyznę przez całe życie, przyjaźniliśmy się – z przerwami – od bardzo dawna. Kiedy wróciłam do Bartley w spektakularnej roli ofiary uwielbianej przez media, Chandler często mnie odwiedzał. Właśnie rozszedł się z pierwszą żoną; wychodziliśmy razem coś zjeść, jeździliśmy na wycieczki, spędzaliśmy razem sporo czasu, który pozwalał mi odetchnąć od mojej rodziny i jej miłości, która mnie już dusiła.

W tym czasie, siedem lat temu, przydarzył się nam także straszliwie żenujący wieczór w wielkim pikapie, którym Chandler wówczas jeździł. Ale byłam pewna, że oboje bardzo się staraliśmy o tym zapomnieć.

– Nie jestem w stanie ci powiedzieć, kto jest w niebezpieczeństwie – powiedziałam ostrożnie. – I nie wiem, kto zabił Meredith.

Była to szczerza prawda.

– Powinnaś mi powiedzieć wszystko, co wiesz – oświadczył Chandler. Mówił niskim, stanowczym głosem, przerażającym jak dźwięk wydawany przez grzechotnika.

Moje ręce, które dotąd leżały na szaroróżowym blacie stolika z laminatu, zacisnęły się w pięści. Moje pięty wparły się w drewnianą podłogę boksu, dając mi solidną podstawę do dalszych działań. Przez twarz Chandlera przemknął wyraz zaskoczenia; odchylił się do tyłu, dalej ode mnie.

– O co ci chodzi? – zapytał szorstko i nie spuszczać ze mnie wzroku, odsunął na bok pusty talerz, oczyszczając sobie przedpole.

Tym razem zależało mi, żeby się wytłumaczyć. Ale nie potrafiłam. Wzięłam kilka głębokich wdechów i próbowałam się uspokoić.

– Ty go kochasz – powiedział.

Zaczęłam przecząco kręcić głową. Ale powiedziałam: – Tak.

– I to jest właśnie ten.

Zrobiłam nieznaczny, nerwowy, przytakujący ruch.

– I jemu nie... i on umie poradzić sobie... z tym, co cię spotkało?

– Blizny mu nie przeszkadzają – odparłam głosem tak naturalnym i gładkim jak zmiana scenerii we śnie.

Chandler się zaczerwienił. Odwrócił oczy i wbił je we wzorek na blacie.

– Daj spokój – powiedziałam do niego niewiele głośniej niż szeptem.

– Czy on... czy on wie, jakim jest szczęściarzem? – zapytał Chandler, nie mając pomysłu, jak inaczej mógłby zapytać, czy Jack także mnie kocha.

– Nie wiem.

– Lily, jeśli chcesz, żebyśmy poważnie porozmawiał z tym koleśm, wystarczy, że powiesz słowo.

Mówił poważnie. Spojrzałam na Chandlera zupełnie inaczej. Ten mężczyzna był gotów bez zastanowienia przeprowadzić tak upokarzającą rozmowę.

– I zmusisz go do tego, żeby ukląkł na jedno kolano i przysiągł, że już nigdy nie spojrzy na inną? – Uśmiechnęłam się lekko, nie mogłam się powstrzymać.

– Żebyś, kurde, wiedziała.

I to także powiedział poważnie.

– Jesteś wielki – powiedziałam. Cała agresja wyciekła ze mnie jak z przekłutego balonu. – Rozmawiałeś już z Jackiem, prawda?

– Jest byłym gliniarzem i bez względu na to, w jaki sposób zakończył karierę – Chandler mimowolnie się zarumienił, bo Jack nie odszedł ze służby w policji w Memphis w szczególnie zaszczytnych okolicznościach – Jack Leeds był dobrym detektywem i doprowadził do kilku ważnych zatrzymań. Zadzwoiłem do Memphis i pogadałem z moim kumplem z tamtejszej policji, jak tylko zdałem sobie sprawę, z kim mam do czynienia.

To ciekawe. Chandler wiedział, że Jack jest w mieście, prawdopodobnie jeszcze zanim ja się o tym dowiedziałam – i zdążył go nawet sprawdzić.

– Szczerze mówiąc, jedyną rzeczą, jaką mój kumpel miał mu do zarzucenia, było to, że Jack prowadzi się teraz z jakąś sprzątaczką spod ciemnej gwiazdy – powiedział Chandler i wyszczerzył się w uśmiechu.

Odwzajemniłam ten uśmiech. Całe napięcie między nami znikło i znów byliśmy parą starych przyjaciół. Chandler bez pytania zapłacił za mojego shake'a i swój posiłek, a ja wyszłam z boksu i wrzuciłam na siebie kurtkę.

Odwiózł mnie do domu i pocałował w policzek na pożegnanie. Nie wspomnieliśmy już ani słowem o Meredith Osborn, doktorze LeMayu ani Jacku. Wiedziałam, że Chandler odpuścił tylko dlatego, że w pewnym sensie był mi to winien: ostatni wieczór, który przed laty spędziliśmy razem, okazał się koszmarnym przeżyciem dla nas obojga. Zresztą niezależnie od przyczyny, byłam mu wdzięczna. Wiedziałam jednak, że gdyby Chandler podejrzewał, iż wiem coś, co mogłoby się przyczynić do wyjaśnienia sprawy morderstw popełnionych w mieście, którego mieszkańców zobowiązał się chronić, na pewno by się ze mną nie cackał.

Byliśmy wprawdzie starymi przyjaciółmi, ale każde z nas miało swoje dorosłe zobowiązania.

Jack nie zadzwonił.

Tej nocy leżałam bezsennie, z rękoma ułożonymi sztywno wzdłuż ciała, i patrzyłam na paski księżycowego światła przecinające sufit w moim dawnym pokoju. To była kwintesencja wszystkich bezsennych nocy z ostatnich siedmiu lat, ale spędzałam ją w domu moich rodziców i nie mogłam sięgnąć po wypróbowane sposoby poszukiwania ucieczki i ulgi. W końcu wstałam, usiadłam na wyściełanym krzeselku w kącie pokoju i zapaliłam lampę.

Skończyłam czytać zabraną z domu biografię. Na szczęście w przewidywaniu, że taka noc może mi się przytrafić, z domku Vareny pożyczyłam sobie dwie książki – chociaż jeślibym miała większy wybór, tych bym na pewno nie wybrała. Pierwsza była poradnikiem, jak radzić sobie z dziećmi męża z poprzedniego związku, a druga – romans historycznym. Na okładce romansu widniała postać mężczyzny o zdumiewającej budowie fizycznej. Patrzyłam na jego obnażoną, bezwłosą, niewiarygodnie umięśnioną pierś i wątpiłam, czy nawet mój *sensei* mógłby się szczycić porównywalną muskulaturą. Uznałam za mało

prawdopodobne, żeby rozsądny, szykujący się do bitwy mężczyzna włożył do tego stopnia rozchełstaną i krępującą ruchy koszulę, a jeszcze głupsze wydało mi się to, że siedząc na koniu, pochylał się ku swej wybrance, która usiłowała go objąć. Oceeniłam jego wagę, kąt pochylenia górnej połowy ciała i siłę, z jaką kobieta przyciągała go ku sobie. Uwzględniłam porywisty wiatr, który rozwiewał jej długie włosy, i doszłam do wniosku, że lord Robert Dumaury lada moment wyląduje u stóp Phillipetty Dunmore ze zwichniętym barkiem. I to tylko pod warunkiem, że będzie miał szczęście. Pokręciłam głową.

W tej sytuacji zaczęłam brnąć przez poradnik i dowiedziałam się więcej o tym, jak się odnaleźć w nowej roli matki dorastającego cudzego dziecka, niż kiedykolwiek chciałam się dowiedzieć. Poradnik był w miękkiej okładce i nosił wyraźne ślady wielokrotnej lektury. Miałam nadzieję, że przyda się Varenie bardziej niż perypetie panny Phillipetty z lordem Klatą.

Oddałabym wszystko za kawał interesującej biografii.

Zdażyłam doczytać książkę do połowy, zanim zapadłam w sen. Kiedy o siódmej rano obudziły mnie odgłosy porannej krzątania, wciąż siedziałam na krześle przy zapalanej lampie.

Byłam wykończona, niemalże nie miałam siły ruszyć się z miejsca.

Zrobiłam kilka pompek i próbowałam wykonać serię unoszeń nóg, ale moje mięśnie były słabe i zwiotczałe, tak jakbym dochodziła do siebie po poważnej operacji. Wolno ubrałam się w dres. Przedpołudnie miałam poświęcić na sprzątanie domu Dilla, lecz zamiast ruszyć rażno do łazienki, usiadłam z powrotem na krześle i ukryłam twarz w dłoniach.

Czułam się źle, naprawdę fatalnie z faktem, że dałam się wciągnąć w tę sprawę z porwaniem dziecka, ale przez wzgląd na moją rodzinę nie wyobrażałam sobie, że mogłabym postąpić inaczej. Z ciężkim,

zmordowanym westchnieniem zmusiłam się do wstania i otworzyłam drzwi sypialni, żeby znów włączyć się do rodzinnego życia.

Zupełnie jakbym zanurzyła duży palec u nogi w spokojnym stawie i została wessana przez wir wodny.

Było to już w przeddzień ślubu, więc matka i Varena miały zaplanowaną każdą godzinę. Matka musiała się wybrać do krawcowej po suknię, którą chciała włożyć nazajutrz; trzeba jej było podszyć brzeg. Po drodze zamierzała wstąpić do firmy cateringowej i wydać ostatnie dyspozycje w związku z przyjęciem ślubnym. Razem z Vareną miały zawieźć Annę na urodziny do jej koleżanki, a potem odebrać jej sukienkę w kwiatki, którą z pewnym opóźnieniem dostarczono wreszcie do miejscowego sklepu JCPenney. (Anna ostatnio tak gwałtownie urosła, że jej śliczna sukienka, kupiona kilka miesięcy temu, okazała się za ciasna w ramionach i Varena na ostatnią chwilę musiała szukać w katalogach dającego się szybko sprowadzić zamiennika). Matka i Varena były zdania, że Anna musi ją przymierzyć jak najszybciej.

Lista spraw do załatwienia wydłużała się w nieskończoność; wyłączyłam się po wysłuchaniu pierwszych kilku pozycji. Dill przywiózł do nas Annę, która miała pojechać z Vareną i mamą. Anna i ja siedziałyśmy razem przy kuchennym stole, a wokół nas panował dziwny spokój, jakiego można doświadczyć w oku cyklonu.

– Czy wychodzenie za mąż zawsze tak wygląda, ciociu Lily? – zapytała Anna ze znużeniem w głosie.

– Nie. Można po prostu uciec.

– Uciec? Jak to?

– Jak najszybciej. Ludzie, którzy zamierzają się pobrać, wsiadają do samochodu, jadą gdzieś, gdzie nikt ich nie zna, i tam biorą ślub. Potem wracają do domu i zawiadamiają o tym swoje rodziny.

- Chyba tak właśnie zrobię – powiedziała mi Anna.
- Nie. Koniecznie wypraw huczne weselisko i odpłać im pięknym za nadobne – poradziłam jej.
- Anna wyszczerzyła się w uśmiechu.
- Zaproszę całe miasto! I ludzi z Little Rock też! – oświadczyła.
- To powinno wyrównać rachunki – przytaknęłam z aprobatą.
- Albo nawet z całego świata!
- Oj, będzie się działo.
- Masz chłopaka, ciociu Lily?
- Mam.
- Pisz do ciebie listy? – Anna zmarszczyła nos, jakby czuła, że zadaje głupie pytanie, ale i tak chciała poznać odpowiedź.
- Dzwoni do mnie – odparłam. – Czasami.
- A czy... – próbowała wykombinować, co jeszcze taki dorosły chłopak mógłby robić – czy przysyła ci kwiaty i czekoladki?
- Jak na razie nie.
- A co robi, żeby ci pokazać, że cię lubi?
- Tego nie mogłam powiedzieć ośmiolatce.
- Przytula mnie – odpowiedziałam.
- Fuuuj! I całuje cię?
- Tak, czasem.
- Bobby Mitzer mnie pocałował – zwierzyła mi się Anna szeptem.
- Poważnie? I co, podobało ci się?
- Fuuu!
- Widocznie to nie ten – stwierdziłam i wymieniliśmy porozumiewawcze uśmiechy.

Wtedy mama i Varena oświadczyły Annie, że od kilku minut są już gotowe do wyjścia, i zapytały, dlaczego mała siedzi jeszcze przy stole,

jakbyśmy miały przed sobą cały dzień.

– Poradzisz sobie sama u Dilla, prawda? – zapytała Varena niespokojnie. Zdążyła już odwiedzić Annę i jej prezent na przyjęcie urodzinowe. – Naprawdę nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz.

– Ależ chcę – odparłam i usłyszałam, że mój głos jest zimny i bezbarwny.

Miło mi się gawędziło z Anną, ale teraz znowu poczułam się wykończona.

Matka obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

– Źle spałaś – powiedziała. – Znowu śniły ci się koszmary?

Ona, Varena i ojciec spojrzeli na mnie z identycznie zafasowanymi minami.

– Czuję się doskonale – zaprzeczyłam, próbując zachowywać się w sposób cywilizowany, chociaż nienawidziłam ich za to, że znów myślą o mojej gehennie.

Czyżbym się nad sobą obrzydliwie roztkliwiała? Wszystko przez to, że znowu jestem w domu.

Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że gdybym była w stanie zostać tutaj dłużej po tamtym napadzie, gdybym to wytrzymała, członkowie mojej rodziny mogliby się do mnie na powrót przyzwyczaić i postrzegać moje życie jako kontynuację, a nie przerwana linię. Ale wtedy czułam, że muszę wyjechać, i w związku z tym najświeższe i najbardziej wyraziste wspomnienie, jakie o mnie zachowali, było wspomnieniem o kobiecie przeżywającej okropny ból fizyczny i psychiczny i nękanej przez koszmary.

– Idę posprzątać.

Włożyłam kurtkę.

– Dill jest w pracy, robi dziś inwentaryzację – powiedziała Varena. – Nie mam pojęcia, jak długo mu to zajmie. My odbierzemy Annę z przyjęcia i

zawieziemy ją prosto do sklepu na przymiarę. Potem wrócimy tutaj.

Pokiwałam głową i poszłam po torebkę.

Kiedy wychodziłam, matka i Varena nadal dogrywały swój rozkład dnia. Ojciec układał puzzle i uśmiechał się lekko, jednym uchem przysłuchując się ich rozmowie. W odróżnieniu od większości mężczyzn, których przedślubna gorączka doprowadza – naprawdę lub tylko rzekomo – do szału, jego nie irytowała w najmniejszym stopniu. Tata był nią wprost zachwycony. Napawał się wyrzekaniem na koszt ślubnego przyjęcia, martwieniem się, czy będzie musiał iść do kościoła wypożyczyć kolejny stół na wciąż napływające prezenty, i pilnowaniem, czy Varena pisze listy z podziękowaniami jak należy.

Przechodząc, pogłaskałam ojca po ramieniu, a on podniósł rękę i przytrzymał moją dłoń. Po chwili poklepał ją delikatnie i puścił.

Dill był właścicielem niczym się niewyróżniającego parterowego domu o trzech sypialniach i trzech łazienkach w najnowszej części Bartley. Varena dała mi klucze. Nadal nie mogłam się przyzwycząić do zamykania drzwi na klucz w moim rodzinnym miasteczku. Kiedy dorastałam, nikt tu niczego nie zamykał.

W drodze do Dilla zobaczyłam inną bezdomną osobę, tym razem białą kobietę. Była siwa, ale wyglądała na krzepką; jechała na starym rowerze obładowanym najrozmaitszymi rupieciami, przytroczonymi do niego nylonową żyłką.

Poprzedniego wieczoru przyjaciele moich rodziców opowiadali o działalności gangów w tutejszej szkole średniej. Gangi! W delcie Arkansas! W płaskim, odosobnionym, malutkim i biednym Bartley!

Gdzieś w głębi duszy miałam chyba nadzieję, że Bartley pozostanie nietknięte przez żywioły współczesnego świata i zachowa swoje małomiasteczkowe bezpieczeństwo. Ale się zmieniło. Wróciłam tu

wprawdzie i jeszcze tutaj wrócę, mimo że charakter mojego rodzinnego miasteczka zmienił się nieodwracalnie.

Nagle poczułam, że mam już dosyć siebie samej i swoich problemów. Najwyższy czas zabrać się do pracy.

Zaczęłam, tak jak zwykle, od oględzin i decydowania, co trzeba wysprzątać. Dom Dilla, który wyglądał na świeżo odmalowany, z nowo położonymi wykładzinami, był dosyć dobrze utrzymany i czysty – ale podobnie jak dom Osbornów zdradzał oznaki kilkudniowego zaniedbania. Nie tylko Varena odczuwała efekty przedłużającej się przedślubnej gorączki.

Tym razem nie miałam przewodnika, który pokazałby mi, gdzie co znaleźć. Ciekawe, czy Anna byłaby równie interesującą pomocnicą jak wczoraj Eva.

Ta myśl przypomniała mi o właściwym celu mojego sprzątania. Zanim cokolwiek zdążyło mi przeszkodzić, przetrząsnęłam pokój Anny w poszukiwaniu jej księgi pamiątkowej. W trakcie poszukiwań naturalnie doprowadzałam pokój do porządku, a panował w nim prawdziwy śmietnik. Brudne ubrania wrzuciłam do kosza na brudną bieliznę, poukładałam zeszyty w równy stosik i włożyłam lalki do pustego plastikowego pudła z naklejką głoszącą stanowczo: „Lalki i ubranka dla lalek”.

Księga pamiątkowa leżała pod łóżkiem. Strony 23 brakowało.

Siedząc w kucki, aż się zatoczyłam do tyłu, z takim uczuciem, jakby przeciwnik rąbnął mnie prosto w żołądek.

– Nie! – zawołałam i w swoim głosie usłyszałam rozpacz.

Po kilku minutach zbierania myśli ustawiłam księgę na półeczce nad biurkiem Anny i wróciłam do sprzątania. Nic innego mi nie pozostało.

Musiałam stawić czoło faktowi, że strona, którą wysłano do Roya Costimigli i którą przejął Jack, niemal na pewno pochodziła z księgi Anny.

Ale to jeszcze wcale nie musiało znaczyć, że Anna to Summer Dawn Macklesby, powtarzałam sobie.

To, że księga znajdowała się w domu Dilla, być może zwiększało prawdopodobieństwo, że przesyłkę dla Roya przygotował ktoś inny niż Meredith Osborn. Tak przynajmniej myślałam. Ale żałowałam, że nie znalazłam tej księgi gdziekolwiek indziej.

Jeśli to Anna była uprowadzoną dziewczynką, Dill mógł być rozdarty między dwoma sprzecznymi pragnieniami: żeby zadośćuczynić rodzinie Summer i zachować ukochaną córkę. A jeśli to jego szalona żona porwała małą, a Dill domyślił się tego dopiero ostatnio? Wychowywał Annę jak własną córkę przez całe osiem lat.

Ale jeżeli pierwsza żona Dilla porwała Summer Dawn, co stało się z ich biologicznym dzieckiem?

Kiedy łączyłam buciki Anny w pary i ustawiałam je na półkach w szafce, za parą kaloszków zobaczyłam znajomą niebieską okładkę. Zmarszczyłam brwi, ukucnęłam i sięgnęłam w głąb szafki; w końcu udało mi się wetknąć palec między książkę a tylną ścianę. Wydobyłam znalezisko i odwróciłam je, żeby przeczytać napis na okładce.

Była to kolejna księga pamiątkowa.

Otworzyłam ją, mając głęboką nadzieję, że Anna napisała na niej swoje imię i nazwisko. Nic z tego. Księga nie była podpisana.

– Cholera jasna! – powiedziałam głośno.

Kiedy byłam mała i dostawałam nową księgę pamiątkową, szkolne tableau czy jakkolwiek to nazwać, zawsze zaczynałam od podpisania się na pierwszej stronie.

Jedna z tych ksiąg musiała należeć do Anny. Jeśli podstawowe założenie Jacka było trafne, jeśli osoba, która wysłała stronę z pierwszej z nich do Roya, nie była jakimś szaleńcem, druga księga była księgą Evy albo Kristy.

A przesyłkę przygotował ktoś bardzo im bliski. Ktoś z najbliższej rodziny. Rodzic.

W trzeciej sypialni Dill urządził sobie gabinet. Było tam oprawione w ramki jego zdjęcie z maleńkim dzieckiem – założyłam, że z Anną. Zrobiono je najwyraźniej w szpitalu, Anna była jeszcze noworodkiem. Tyle że dla mnie wszystkie niemowlęta wyglądają mniej więcej tak samo i maleństwo, w które Dill wpatrywał się rozkochanym wzrokiem, równie dobrze mogło być Anną, jak kimś zupełnie innym. Dziecko było zawinięte w kocyk.

Moją reakcją na problem było sprzątanie, szorowanie i zamartwianie się. Porządkowałam, ścierałam kurze, odkurzałam, przemywałam i polerowałam; działanie dobrze mi zrobiło. Ale nie wyjaśniło niczego.

Kiedy raz jeszcze weszłam do pokoju Anny, żeby odłożyć na miejsce lalkę Barbie, którą znalazłam w kuchni, przyjrzałam się uważniej jej kolekcji oprawionych zdjęć. Jedno z nich przedstawiało kobietę, która na pewno była pierwszą żoną Dilla i matką Anny. Kobieta była pulchna, z dużym biustem, podobnie jak Varena, i tak jak ona miała brązowe włosy i niebieskie oczy. Oprócz tego powierzchownego podobieństwa w niczym nie przypominała mojej siostry. Wpatrzyłam się w zdjęcie, próbując odgadnąć charakter żony Dilla na podstawie tego portretu. Czy w sposobie, w jaki trzymała szczeniaczka na kolanach, nie było jakiegoś napięcia, cichej desperacji? Czy jej uśmiech nie był wymuszony, nieszczerzy?

Pokręciłam głową. Ta fotografia nigdy nie przyciągnęłaby mojej uwagi, gdybym nie wiedziała, że uwieczniona na niej kobieta popełniła samobójstwo. Tyle rozpaczy – tak dobrze ukrytej. Dill ma niezrównoważoną psychicznie matkę i ożenił się z niezrównoważoną psychicznie dziewczyną. Przeraziłam się, że być może także w Varenie zobaczył coś, czego my nie podejrzewamy, jakąś utajoną wewnętrzną słabość, która go w niej pociąga albo sprawia, że Dill dobrze się czuje w jej

towarzystwie. Ale nie, moim zdaniem Varena jest osobą stanowczą i przy zdrowych zmysłach, a przecież najmniejsze objawy nieźrównoważenia u innych wykrywam jak najczulszy detektor.

Na widok ubrań Vareny zajmujących połowę szafy Dilla oraz jej porcelany w jego kredensie poczułam się dziwnie. Naprawdę się do niego wprowadziła. Ta intymność uświadomiła mi, jak wiele straciłaby moja siostra, gdyby się okazało, że Anna nie jest córką Dilla – oczywiście wybuchłby straszny skandal... bezlitośnie nagłośniony przez media, nieoszczędzający nikogo. Wzdrygnęłam się. Wiedziałam, jak to może wpłynąć na dalsze życie.

A ślub był coraz bliżej. Został już jeden dzień.

Z ociąganiem wróciłam do gabinetu Dilla i otworzyłam szafkę na akta. Wcześniej włożyłam nową parę jednorazowych gumowych rękawiczek. Nie zdjęłam ich, niech to zaświadczy o moim poczuciu winy.

Musiałam to zrobić.

Dill jest mężczyzną dobrze zorganizowanym, toteż szybko odnalazłam teczkę z napisem: „Anna – pierwszy rok życia”. Kolejne lata miały oddzielne te czki, a w każdej znajdowały się rysunki dziewczynki, jej zdjęcia i zapiski zabawnych rzeczy, które powiedziała lub zrobiła. Te czki z lat szkolnych pękały w szwach od wyników testów i świadectw.

Dla mnie najważniejszy był pierwszy rok życia Anny. Te czka zawierała jej akt urodzenia, świadectwa szczepień, album dziecięcy i kilka negatywów w białej kopercie, podpisanej „Malutka przyszła na świat”. Charakter pisma nie należał do Dilla. W te czce nie było nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób potwierdzić tożsamość Anny. Żadnej wzmianki o grupie krwi ani cesze szczególnej dziecka. Na zaświadczeniu ze szpitala widniały ślady stópek Anny, odbite w czarnym tuszu. Zapytam Jacka, czy

państwo Macklesby mają ślady Summer Dawn. Jeśli kontur jej stópki jest zupełnie inny od konturu stopy Anny, będzie to chyba o czymś świadczyło?

Ślepa uliczka. Trop donikąd.

Nagle przypomniałam sobie o negatywach. Gdzie są rodzinne albumy ze zdjęciami?

Znalazłam je w przeszklonej szafce w salonie, błogosławiąc uporządkowanie Dilla. Były poukładane według lat i opatrzone etykietami.

Szybko wyciągnęłam ten zawierający zdjęcia z roku narodzin Anny. Oto i fotografie: czerwony noworodek trzymany przez lekarza, umazany krwią i innymi wydzielinami, z ustami otwartymi do krzyku; maleństwo w ramionach ubranego w fartuch i maskę chirurgiczną Dilla, obrócone okrągłą pupką w stronę obiektywu – to zdjęcie zrobiła pewnie pielęgniarka. W rogu zdjęcia zobaczyłam ledwie widoczną twarz kobiety, którą znałam już z fotografii w pokoju Anny. To była jej matka, Judy.

A na pupie noworodka widniało duże brązowe znamię.

To był dowód, prawda? Patrzyłam na zdjęcie zrobione bezsprzecznie na porodówce, było na nim bezdyskusyjnie nowo narodzone dziecko Dilla i jego żony Judy. To dziecko, na kolejnym zdjęciu w objęciach kobiety z fotografii znanej mi z pokoju Anny, było niezaprzeczalnie prawdziwą Anną Kingery.

Euforia wywołana faktem, że znalazłam coś pewnego, pomogła mi uporać się z poczuciem winy, które czułam, wyciągając zdjęcie z albumu. Schowałam je do torebki, odłożywszy wcześniej album na miejsce.

Dokończyłam sprzątanie, obejrzałam efekt i uznałam, że jest zadowalający. Wyniosłam śmieci do kubłów, zamiotłam schody od frontu i od ogrodu. Skończyłam. Poszłam odstawić miotłę.

W kuchni stał Dill.

W rękach miał plik poczty, którą właśnie przeglądał. Kiedy miotła uderzyła o podłogę, szybko podniósł wzrok.

– Cześć, Lily, naprawdę wielkie dzięki za pomoc – powiedział. Uśmiechnął się do mnie. Jego nijaka, pospolita twarz promieniowała szczerą życzliwością. – Wystraszyłem cię? Myślałem, że słyszałaś, jak wjeżdżam do garażu.

Najwidoczniej wszedł tylnymi drzwiami, kiedy zamiatałam schody od frontu.

Nadal spięta, schyliłam się, żeby podnieść miotłę; na szczęście przez tę chwilę nie widział mojej twarzy. Szybko odzyskałam równowagę.

– Spotkałem na mieście Varenę – ciągnął, kiedy się wyprostowałam i ruszyłam do szafki na szczotki. – Nie mogę uwierzyć, że po tak długim czekaniu to już jutro się pobieramy!

Wykręciłam ściereczkę do mycia naczyń i starannie rozwiesiłam ją na przegrodzie oddzielającej komory zlewu.

– Nawet na mnie nie spojrzysz, Lily?

Odwróciłam się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Lily, wiem, że nigdy nie byliśmy sobie szczególnie bliscy. Ale nie mam siostry i miałem nadzieję, że ty będziesz dla mnie jak siostra.

Poczułam niesmak. Emocjonalne apele to kiepski sposób na budowanie relacji.

– Nie masz pojęcia, jakie to zawsze było trudne dla Vareny.

Zmarszczyłam brwi.

– Co takiego?

– Bycie twoją siostrą.

Wzięłam głęboki oddech. Bezradnie podniosłam ręce. Jakaś odpowiedź?

– Zabiłaby mnie, gdyby się dowiedziała, że ci powiedziałem. – Pokręcił głową, zdziwiony własną śmiałością. – Zawsze czuła się gorsza, nie tak ładna, nie tak zdolna jak ty.

To już nie miało żadnego znaczenia. Nie miało znaczenia od dobrej dekady.

– Varena – zaczęłam; mój głos zdradzał zniecierpliwienie – Varena jest dorosłą kobietą. Już od lat nie jesteśmy nastolatkami.

– Najwidoczniej młodsze siostry z tego nie wyrastają. A przynajmniej Varena. Zawsze czuła się tylko dodatkiem. Dla twoich rodziców. Dla twoich nauczycieli. Dla twoich chłopaków.

Co to za bzdury? Zmierzyłam Dilla lodowatym spojrzeniem.

– A kiedy zostałeś zgwałcona...

To muszę mu przyznać: dał radę i wypowiedział to na głos.

– ...i uwaga wszystkich skupiła się na tobie, a ty chciałeś, żeby wszyscy jak najszybciej dali ci święty spokój, myślę, że Varena poczuła coś w rodzaju... satysfakcji.

Co mogło wywołać wyrzuty sumienia.

– I oczywiście zaraz dopadły ją wyrzuty sumienia, że mogła w ogóle pomyśleć, że to ci się choćby w najmniejszej części należało.

– Do czego ty właściwie zmierzasz, Dill?

– Nie cieszysz się, że tu jesteś. Że przyjechałeś na nasz ślub. Nie cieszysz się ze szczęścia swojej siostry.

Nie widziałam związku między tymi dwiema sprawami. Miałam merdać ogonem z powodu ślubu Vareny... bo poczuła się winna, kiedy mnie zgwałcono? Nie byłam uprzedzona do Dilla Kingery, więc spróbowałam prześledzić jego tok myślenia.

Pokręciłam głową. Nie, to się nie trzymało kupy.

– Skoro Varena chce cię poślubić, cieszę się, że to robi – powiedziałam ostrożnie.

Nie zamierzałam przeproszać za to, jaka jestem, jaka się stałam.

Dill spojrział na mnie. Westchnął.

– Chyba dobre i to – powiedział z cierpkim uśmiechem.

Chyba tak.

– A co z tobą? – zapytałam. – Miałeś niezrównoważoną żonę. Twoja matka też nie jest całkiem przewidywalna. Mam nadzieję, że nie dopatrzyłeś się czegoś podobnego u Vareny.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Umiesz dołożyć, Lily, słowo daję! – powiedział, kręcąc głową. Najwyraźniej wcale go to we mnie nie ujęło. – Rzadko się odzywasz, ale jak już coś powiesz, to idziesz na całość. Twoi rodzice chyba od dwóch lat łamią sobie głowy, jak zadać mi to pytanie.

Czekałam na odpowiedź.

– Nie – powiedział, teraz już zupełnie serio. – Nie dopatrzyłem się u Vareny niczego takiego. Ale to właśnie z tego powodu spotykałem się z nią tak długo. To dlatego tak przeciągałem narzeczeństwo. Musiałem mieć pewność. Ze względu na siebie, ale zwłaszcza ze względu na Annę. Uważam, że Varena jest najbardziej zrównoważoną kobietą, jaką w życiu spotkałem.

– Czy twoja żona kiedykolwiek groziła, że skrzywdzi Annę?

Zbladł jak prześcieradło. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak szybko poblinął.

– Co...? Jak...? – wykrztusił.

– Czy zanim się zabiła, groziła, że skrzywdzi Annę?

Czułam się jak kobra, a on był jak mysz.

– Co takiego słyszałaś? – wyrzucił z siebie.

– Nic, to tylko domysły. Próbowала skrzywdzić małą?

– Proszę, idź już – powiedział w końcu. – Lily, idź już, proszę.

Bez wątpienia dobrze to rozegrałam. Co za mistrzowskie przesłuchanie! Dill i ja byliśmy dla siebie jednakowo nieprzyjemni, pomyślałam, a może nawet ja zdobyłam przewagę, ponieważ wspomniałam o czymś nowym, o czymś, co nie było powszechnie wiadome w Bartley – przynajmniej sądząc z reakcji Dilla.

Mogę się założyć, że Dill i Varena nigdy mnie nie zaproszą, żebym spędziła z nimi wakacje.

Wyglądało na to, że pierwsza żona Dilla, przynajmniej w jego mniemaniu, była zdolna do tego, żeby skrzywdzić własne dziecko. A strona 23 została wyrwana z księgi pamiątkowej, która najprawdopodobniej należała do Anny.

Zrozumiałam, co znaczy słowo „struty”. Próbowалаm się pocieszyć myślą o znamieniu Anny. Przynajmniej udało mi się ustalić jeden fakt.

Wyjeżdżając z podjazdu Dilla, uświadomiłam sobie, że nie mam ochoty wracać do domu.

Zaczęłam bez celu jeździć po ulicach – echo szczenięcych lat, kiedy „przejeżdżanie się po okolicy” było uznaną rozrywką – i nie zastanawiałam się, co robię, dopóki nie zaparkowałam przy głównym placu miasta.

Weszłam do salonu meblowego; zamykające się za mną drzwi wprawiły w ruch dzwoneczek. Mary Maud Plummer wklepywała coś do komputera za wysokim kontuarem ustawionym pośrodku sklepu. Miała okulary do czytania zsunięte na sam czubek nosa i służbowy wyraz twarzy, kompetentny, bez cienia figlarności.

– W czym mogę pomóc? – zapytała i dopiero wtedy oderwała wzrok od ekranu. – Lily! – zawołała wesoło, a jej twarz momentalnie się odmieniła.

– Wybierzmy się na przejażdżkę – zaproponowałam. – Mam samochód.

– Mama ci pożyczyła? – Mary Maud zaniósła się chichotem. Rozejrzała się po pustym sklepie. – Może faktycznie mogłabym się urwać? Emory! – zawołała.

Z ciemności zalegających w głębi sklepu niczym chudy jasnowłosy duch wynurzył się Emory Osborn.

– Dzień dobry, panno Bard – powiedział słabym głosem.

– Emory, czy mógłbyś popilnować sklepu, kiedy wyskoczę na lunch? – zapytała Mary Maud łagodnym, poważnym głosem, jakim się mówi do dzieci opóźnionych w rozwoju. – Jerry i Sam pewnie za chwilę będą z powrotem.

– Jasne – odpowiedział Emory.

Wyglądał tak, jakby silniejszy podmuch wiatru mógł go porwać.

– Dzięki. – Mary Maud wyłowiła swoją torebkę ukrytą gdzieś za kontuarem.

Kiedy oddaliłyśmy się na tyle, że Emory nie mógł nas usłyszeć, Mary Maud wymruczała: – W ogóle nie powinien był przychodzić dzisiaj do pracy. Ale przyjechała jego siostra i od razu zajęła się domem, więc chyba po prostu nie miał nic lepszego do roboty.

Wyszłyśmy drzwiami od frontu jak dwie uczennice wymykające się na wagary. Zauważyłam, na jak profesjonalną i zadbaną kobietę wygląda Mary Maud w białym zimowym kostiumie, stanowiąc przy tym jaskrawy i nieprzyjemny kontrast dla mnie, ubranej w dres.

– Sprzątałam dom Dilla – usprawiedliwiłam się, nagle się zawstydzwszy.

Chyba od lat nie zdarzyło mi się przeproszać za swój wygląd.

– Tym się teraz zajmujesz zawodowo? – zapytała Mary Maud, kiedy wsiadłyśmy do samochodu.

– Tak – potwierdziłam beznamiętnie.

– O rany, kto by się spodziewał, że ja skończę, sprzedając meble, a ty je czyszcząc!

Obie pokręciłyśmy głowami.

– Na pewno jesteś świetna w tym, co robisz – stwierdziła rzeczowo Mary.

Poczułam się zaskoczona i dziwnie wzruszona.

– Na pewno sprzedajesz mnóstwo mebli – powiedziałam i poczułam jeszcze większe zaskoczenie, odkrywszy, że naprawdę tak myślę.

– Nieźle sobie radzę – odpowiedziała po prostu. Popatrzyła na mnie i jej twarz zmarszczyła się w uśmiechu. – Wiesz, Lily, czasem normalnie nie mogę uwierzyć, że już dorosłyśmy!

Z tym akurat nigdy nie miałam problemu.

– Czasem nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek byłam nastolatką – odparłam.

– Ale przynajmniej jesteście żywe, zdrowe, wprawdzie samotne, ale nie bez nadziei na przyszłość, i mamy rodziny, które nas wspierają – niemalże wyrecytowała Mary Maud.

Uniosłam brwi.

– Staram się sobie ciągle uświadamiać, że mam za co dziękować – wyjaśniła mi Mary Maud i roześmiała się. – Widzisz, nie bolało.

Zjadłyśmy lunch w fast foodzie przystrojonym lametą, światełkami i sztucznym śniegiem. Figura Świętego Mikołaja kiwała głową i machała do nas z plastikowych sań.

Przez pewien czas oswajałyśmy się ze sobą. Rozmawiałyśmy o wspólnych znajomych: gdzie teraz są, co robią, ile razy zakładali rodzinę i z kim. Mary Maud wspomniała o swoim rozwodzie i dziecku, które zmarło śmiercią łóżeczkową. Nie musiałyśmy rozmawiać o mojej przeszłości, była

aż za dobrze znana. Ale Mary zadała mi kilka pytań o Shakespeare i moje życie na co dzień, na które na szczęście łatwo mi przyszło odpowiedzieć.

Zapytała mnie także, czy się z kimś spotykam.

– Tak – odparłam, próbując nie wbijać wzroku w swoje ręce leżące na stole. – Z mężczyzną z Little Rock. Nazywa się Jack Leeds.

– Ach, to ten facet z długimi włosami, który się pojawił na próbie ślubu?

– Tak – potwierdziłam, tym razem nawet nie starając się podnieść oczu.

– Skąd wiesz?

Po co w ogóle pytałam, tak jakbym nie znała zasad działania miejscowej poczty pantoflowej?

– Była u nas wczoraj Lou O’Shea. Ona i Jess wnieśli przedpłatę na łóżeczko dla Kristy, to ma być prezent gwiazdkowy.

– Wydają się bardzo sympatyczni – powiedziałam.

– I tacy są – oświadczyła Mary Maud, maczając frytkę w kałuży keczupu. Obłoczyła się serwetkami, tak żeby jej śnieżnobiały kostium pozostał nieskazitelny. – Mają straszny zgryz z tą małą, odkąd urodził im się Luke.

– Słyszałam. Myślisz, że czuje się niekochana, bo ma teraz braciszka?

– Tak przypuszczam, chociaż powiedzieli jej zupełnie otwarcie, że została adoptowana, zaznaczając, że pokochali ją na tyle mocno, żeby ją przygarnąć. Myślę, że mimo to Krista czuje, że Luke jest naprawdę ich dzieckiem, a ona nie.

Stwierdziłam, że nie wiedziałam, iż pastorostwo potrafią tak otwarcie mówić o tym, że adoptowali Kristę.

– Lou jest bardziej otwarta niż Jess – stwierdziła Mary Maud. – Zawsze była bardziej bezpośrednia, ale domyślam się, że jej mąż ma większą wprawę w dochowywaniu tajemnic, w końcu jest pastorem.

Pastorowie muszą dochowrywać mnóstwa tajemnic. Wcześniej o tym nie pomyślałam. Wstałam, żeby przynieść nam więcej herbaty – i jeszcze jedną serwetkę dla Mary Maud.

– Lou mówi, że facet, z którym się spotykasz, to prawdziwy przystojniak – powiedziała przebiegle Mary Maud, skierowując naszą rozmowę z powrotem na bardziej interesujący ją temat.

Nigdy bym nie pomyślała, że osoba równie konwencjonalna jak Lou O’Shea mogłaby go za takiego uznać.

– I owszem.

– Jest czarujący? Milutki? – W głosie Mary Maud pojawiła się tęsknota.

To był dzień pytań o Jacka. Najpierw Anna, teraz Mary Maud. Widocznie śluby tak działają na kobiety.

– Milutki – powtórzyłam, przymierzając to słowo do Jacka, żeby sprawdzić, czy pasuje. – Nie. Nie jest milutki.

Z zaskoczenia zrobiła wielkie oczy.

– Nie? A to dopiero! Jest bogaty?

– Nie – odpowiedziałam bez wahania.

– W takim razie dlaczego z nim jesteś?

Nagle policzki Mary Maud zrobiły się różowsze, a na jej twarzy odmalowały się jednocześnie zachwyt i zażenowanie.

– Czyżby był...?

– Tak – odparłam, próbując ukryć, jak bardzo się zmieszałam.

– O rany, dziewczyno! – powiedziała Mary Maud, kręcąc głową i chichocząc.

– Emory jest do wzięcia – zauważyłam, próbując zmienić kierunek rozmowy i naprowadzić ją na temat, który pozwoliłby mi się czegoś dowiedzieć.

Nie zwracała sobie głowy robieniem oburzonych min.

– Absolutnie nigdy w życiu – stwierdziła, zjadłszy ostatnią frytkę.

– Skąd ta pewność?

– Pominąwszy fakt, że oznaczałoby to opiekę nad niemowlakiem i ośmiolatką, największym problemem byłby sam Emory. Nigdy nie spotkałam kogoś, kogo tak trudno przejrzeć. Przez cały dzień jest bardzo grzeczny, nigdy nie przeklina, jest... tak, naprawdę jest... miłutki. Starsze panie go uwielbiają. Ale Emory wcale nie jest taki prostolinijny, nie jest też moim ideałem pełnokrwistego mężczyzny.

– Czyżby?

– O nie, nie twierdzę, że jest gejem – zaprzeczyła pośpiesznie Mary Maud. – Myślę na przykład o tym, jak staliśmy przed sklepem, jeszcze we wrześniu, i oglądaliśmy razem paradę z okazji święta plonów, a obok nas w kabrioletach przejeżdżały królowe piękności, tak jak kiedyś my, pamiętasz?

Zupełnie o tym zapomniałam. Może to dlatego udział w bożonarodzeniowej paradzie w Shakespeare kosztował mnie tyle złych emocji?

– A Emory zwyczajnie nie był nimi zainteresowany. No wiesz, przecież od razu widać, kiedy mężczyzna docenia urodę kobiet. A Emory nic. Podobały mu się platformy i zespoły. Był zachwycony małymi dziewczynkami, wiesz, Małą Miss Dyniowego Zagonu i tak dalej, powiedział mi, że myślał nawet o zgłoszeniu Evy do konkursu, ale jego żona nie była zachwycona tym pomysłem. Za to duże dziewczynki w sukniach z cekinami i stanikach podnoszących biust nie ruszały go wcale. Nie, żeby sobie kogoś znaleźć, muszę patrzeć dalej niż na sklep meblowy.

Mruknęłam niezobowiązująco.

– Skoro mówiłyśmy o Lou i Jessie – oglądali paradę, stojąc po drugiej stronie ulicy, i wierz mi, kochana, Jess O'Shea umie docenić urodę

dorosłych kobiet!

– Ale on chyba nie...?

– Boże, oczywiście, że nie! Jest oddany Lou. Ale nie jest też ślepy. – Mary Maud zerknęła na zegarek. – O rany! Muszę już wracać.

Wrzuciłyśmy śmieci do kubła i wyszłyśmy, ciągle rozmawiając. To znaczy Mary Maud mówiła, a ja słuchałam, ale słuchanie mi odpowiadało. I kiedy odwiozłam ją pod drzwi salonu meblowego, uściskałam ją szybko na pożegnanie.

Nie miałam pomysłu, dokąd jeszcze mogłabym pojechać, więc wróciłam do domu rodziców.

Trafiłam w sam środek kolejnego kryzysu. Kolacja na cześć Vareny i Dilla, przekładana już co najmniej dwa razy, znowu stanęła pod znakiem zapytania. Uczennica szkoły średniej, która tego wieczoru miała zostać z Kristą, jej braciszkiem Lukiem i Anną, rozchorowała się na grypę.

Jeśli wierzyć Varenie, która siedziała przy kuchennym stole nad maleńką książką telefoniczną abonentów z Bartley, ona i Lou obdzwoniły już wszystkich miejscowych nastolatków, którzy mają jakieś doświadczenie w opiece nad dziećmi, i wszyscy albo są chorzy na grypę, albo wybierają się na przyjęcie bożonarodzeniowe dla młodzieży wydawane przez kościół metodystów.

Uznałam, że moja rola w przewyciężaniu tego kryzysu musi się ograniczyć do zrobienia współczującego wyrazu twarzy. Ale wtedy zaświtało mi rozwiązanie kilku innych problemów i wiedziałam już, co powinnam zrobić.

Jack będzie moim wiecznym dłużnikiem, pomyślałam.

Poklepałam Varenę po ramieniu.

– Ja to zrobię – oświadczyłam.

– Co? – nie zrozumiała.

Przerwałam jej bliski histerii wybuch, którego adresatką była moja matka.

– Ja to zrobię – powtórzyłam.

– Zostaniesz... z dziećmi?

– Przecież powiedziałam. – Autentyczne niedowierzanie w głosie mojej siostry zaczynało mnie drażnić.

– A czy ty się kiedykolwiek zajmowałaś dziećmi?

– To potrzebujesz opiekunki czy nie?

– Tak, to bardzo miło z twojej strony, ale... jesteś pewna, że się zgadzasz? Ty przecież nigdy... to znaczy, zawsze mówiłaś, że nie... że nie przepadasz szczególnie za dziećmi.

– Poradzę sobie.

– Skoro tak... to po prostu znakomicie! – stwierdziła mężnie Varena, najwyraźniej uświadomiwszy sobie, że nie ma innego wyboru, niezależnie od swoich obiekcji.

A ja miałam pewną praktykę: kiedyś przez całe popołudnie i wieczór zajmowałam się czwórką dzieci Althausów, gdy Jay Althaus miał wypadek samochodowy, a Carol musiała pojechać do szpitala. Obie pary dziadków przebywały wówczas poza miastem, a Carol, która do mnie zadzwoniła, była oszalałą z niepokoju, przerażoną i godną współczucia żoną i matką.

Miałam więc okazję się dowiedzieć, jak się zmienia pieluchy i kąpie dziecko, a najstarszy synek Althausów pokazał mi, jak podgrzać butelkę. Żadna ze mnie Mary Poppins, ale kiedy rodzice wrócą z przyjęcia, dzieciaki będą żywe, nakarmione i czyste.

Varena dzwoniła właśnie do Lou O'Shea, żeby przekazać jej dobre wieści.

– Chętnie się tego podejmie – mówiła, nadal starając się ukryć zdumienie. – O której powinna u was być? Szósta? Będą już najedzone?

Jasne, w porządku. Będzie Anna, Krista, twój synek... Poważnie? O Boże. Poczekaj, spytam ją.

Varena zasłoniła słuchawkę ręką. Bardzo się starała wyglądać bez troski i radośnie.

– Lily, Lou mówi, że zgodzili się wziąć do siebie także dzieci Osbornów. Wtedy jeszcze myśleli, że Shelley przyjdzie ze swoim chłopakiem.

Shelley to ta nastolatka z grypą.

Zrobiłam głęboki, oczyszczający wdech, jak na kursie karate przed przystąpieniem do wykonywania moich *kata*.

– Nie ma sprawy – powiedziałam.

– Na pewno?

Ograniczyłam się do skinięcia głową.

– Lily mówi, że nie ma sprawy – wyszczebiotała Varena do telefonu. – Jasne, że tak, to przecież góra trzy godziny, a pewnie raczej dwie, i będziemy tylko kilka przecznic dalej.

Najwyraźniej Lou też się zaniepokoiła na myśl, że będę się zajmowała taką chmarą dzieci.

Rozległ się dzwonek do drzwi i moja matka pośpieszyła przez salon, żeby otworzyć. Usłyszałam jej okrzyk: „Witamy ponownie!”, kipiący takim entuzjazmem, że aż wzbudziło to moje podejrzenia. W rzeczy samej, wprowadziła do kuchni Jacka, z miną tak dumną i zadowoloną z siebie, jakby go wciągnęła do środka w ostatniej chwili, zanim zdążył uciec.

Bez zastanowienia zerwałam się na równe nogi i podbiegłam do niego. Jack objął mnie i pocałował, ale był to pocałunek mówiący, że moi rodzice patrzą na niego ponad moimi ramionami.

– Dzień dobry, młody człowieku, miło pana widzieć. Już prawie straciliśmy nadzieję, że jeszcze pana zobaczymy przed wyjazdem – oświadczył jowialnie mój ojciec.

Jack miał na sobie flanelową koszulę w niebiesko–zieloną kratę i niebieskie dzinsy, a jego gęste włosy były szesane gładko do tyłu i ściągnięte gumką na karku. Poklepałam go delikatnie po ramieniu i odsunęłam się od niego.

– W salonie widziałem całe mnóstwo prezentów – powiedział Jack do mojego ojca – zupełnie jakby wszyscy państwo wychodzili za mąż.

Uśmiechnął się i na jego twarzy nagle pojawiły się te ujmujące głębokie linie, łączące nos z kącikami wąskich, ruchliwych warg niczym nawiasy.

Matka, ojciec i Varena zaśmiali się, oczarowani jego uśmiechem tak samo jak ja.

– I prawdę mówiąc, miałem nadzieję – ciągnął Jack – że może to także się nada.

– Ależ dziękuję! – powiedziała Varena, nie kryjąc zaskoczenia, i przyjęła niewielkie, opakowane w ozdobny papier pudełko, które Jack wyjął z kieszeni kurtki.

Kiedy się odwróciłam, żeby zobaczyć, jak Varena odpakuje prezent, Jack objął mnie ramieniem w talii i przyciągnął do siebie, plecami do swojej piersi. Poczułam, jak kąciki moich ust mimowolnie drgnęły, i opuściłam wzrok na ręce, skrzyżowane pod biustem. Wzięłam głęboki oddech. Zmusiłam się, żeby się skupić na pudełku, które trzymała Varena.

Zdjęła pokrywkę. Z bibułki odwinęła starą srebrną łopatkę do ciasta, ślicznie grawerowaną. Kiedy podała ją nam do obejrzenia, zobaczyłam ozdobny napis „V.K. 1889”.

– Jest po prostu cudna! – zachwyciła się Varena bez cienia zakłopotania.
– Gdzie ją znalazłeś?

– Miałem szczęście – odparł Jack. Napierał mocno na moją pupę. – Tak się złożyło, że byłem w sklepie z antykami i wpadła mi w oko.

Wyobraziłam sobie, jak pracują trybiki w głowie mojej matki. Wiedziałam, że uważa, że to zobowiązujący prezent. Taki prezent oznacza, że Jack zamierza się ze mną spotykać przynajmniej przez jakiś czas, skoro tak się postarał, żeby zrobić wrażenie na mojej rodzinie. Twarz mojego ojca rozjaśniła się (stanowczo zbyt jawnie), kiedy ta sama myśl przyszła mu do głowy.

Czułam się, jakbym uczestniczyła w jakimś plemiennym rytuale.

– Muszę ją położyć gdzieś na widoku, tak żeby wszyscy zauważyli – powiedziała Varena do Jacka, wyraźnie starając się dać mu do zrozumienia, jak bardzo się ucieszyła.

– Cieszę się, że ci się podoba – odpowiedział.

I zanim się obejrzałam, Jack Leeds siedział już przy stole w kuchni moich rodziców, przed nim stał talerz zupy i tosty z serem, a Varena i matka skakały wokół niego.

Kiedy zjadł, matka i Varena dosłownie wyrzuciły nas z kuchni, tak żebym nie mogła im pomagać przy zmywaniu. Jack wprawił je w osłupienie, proponując, że sam pozmywa. Odrzuciły jego propozycję z głupkowato rozanielonymi uśmiechami. Wsiadając do jego samochodu, nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać.

– Chyba mnie zaakceptowali – powiedział Jack z poważną miną.

– Masz szczęście, że przeżyłeś.

Roześmiał się, ale zaraz przestał i spojrzał na mnie z wyrazem twarzy, którego nie umiałam rozszyfrować. Włączył silnik.

– Dokąd jedziemy? Muszę być w pastorówce o osiemnastej – przypomniałam mu.

Matka i Varena od razu mu powiedziały, że zgłosiłam się na ochotnika do opieki nad dziećmi.

– Musimy porozmawiać – stwierdził.

W drodze do motelu milczeliśmy; Jack był nachmurzony i zamknięty w sobie. Z niepokojem zdałam sobie sprawę, że chyba się w tym wszystkim pogubiłam. Kiedy skręciliśmy przy prezbiteriańskim kościele, pomyślałam o Kriście, Annie i Evie.

I niespodziewanie przypomniałam sobie, jak wybierałam się do swoich koleżanek na dziewczynskie wieczory z nocowaniem, kiedy byłam jeszcze mała. Zabierałam wtedy ze sobą całą walizkę rzeczy, wszystko, co mogło nam się przydać – do wspólnej zabawy, oglądania albo obgadania.

Jak na przykład księga pamiątkowa.

ROZDZIAŁ 7

Jack przeniósł się do innego pokoju, bo w łazience przy tym, który zajmował poprzednio, trzeba było naprawić uszkodzone podczas włamania okno. Kiedy weszliśmy do środka, byłam już bardzo spięta, a gdy Jack usiadł na fotelu obitym sztuczną skórą, natychmiast włączyły mi się wszystkie mechanizmy obronne. Przysiadłam na brzegu drugiego fotela naprzeciw i spojrzałam na niego czujnie.

– Widziałem cię wczoraj wieczorem – powiedział bez żadnych wstępów.

– Gdzie?

Westchnął.

– Na randce z twoim dawnym chłopakiem.

Wstrzymałam oddech, żeby opanować nagły przypływ wściekłości. Zacisnęłam palce na podłokietnikach pieprzonego pomidorowego fotela.

– Wróciłeś do miasta wcześniej i nie zadzwoniłeś do mnie. Zrobiłeś to specjalnie, żeby mnie szpiegować?

Plecy mu zeszywniały. On też zacisnął palce na swoich podłokietnikach.

– Oczywiście, że nie! Tęskniłem za tobą, Lily. Dostyc szybko uporałem się z tym, co miałem do zrobienia, i całe popołudnie jechałem tutaj. A kiedy wróciłem, zobaczyłem cię na kolacji z tym gliną.

– Całowaliśmy się, Jack?

– Nie.

– Trzymaliśmy się za ręce?

– Nie.

– Patrzyłam na niego czule?

– Nie.

– A on wyglądał na uszczęśliwionego?

– Nie.

Jack spuścił głowę i potarł czoło końcami palców.

– Chętnie ci opowiem, jak wyglądała moja ostatnia randka z Chandlerem McAdoo, Jack. – Pochyliłam się na tyle nisko, że musiał spojrzeć mi w oczy albo stchórzyć. – To było siedem lat temu, w tym fatalnym okresie. Od dwóch miesięcy byłam z powrotem w Bartley. Chandler i ja wybraliśmy się do kina, a potem pojechaliśmy nad jezioro, tak jak za dawnych czasów.

Jack nawet nie mrugnął. Słuchał mnie uważnie, wiedziałam o tym.

– No więc siedzieliśmy sobie nad jeziorem, Chandler miał ochotę mnie pocałować, a ja miałam ochotę znów poczuć się prawdziwą kobietą, więc się nie broniłam. Nawet mi się podobało... umiarkowanie. Pozwoliliśmy sobie na trochę więcej i Chandler podciągnął mi bluzkę. Jesteś ciekaw, co było dalej, Jack? Chandler zaczął płakać. Blizny były wtedy jeszcze całkiem świeże, czerwone. Rozpłakał się na widok mojego ciała. Od tamtego czasu nie widzieliśmy się przez siedem lat.

W zimnym pokoju motelowym zapadła ciężka cisza.

– Wybacz mi – odezwał się w końcu Jack. Wypowiedział to z absolutnym przekonaniem, a nie jakby powtarzał towarzyską formułę. – Wybacz mi.

– Przecież ani przez chwilę nie wierzyłeś, że cię oszukuję za plecami.

– Nie?

Wyglądał, jakby był trochę rozbawiony, a trochę zły.

– Wręczyłeś Varenie prezent, zanim zapytałeś mnie o wczorajszy wieczór – odparłam. – Od samego początku wiedziałeś, że wcale nie zamierzasz... się ze mną rozstać. – Omal nie powiedziałam „zerwać ze mną”, ale wydało mi się to zbyt dziecinne.

Twarz Jacka nagle zastygła, jakby doznał jakiegoś objawienia.

Spojrzał na mnie.

– Jak on mógł płakać? – zapytał. – Jesteś taka piękna.

Ciągle milczałam, ale teraz z innego powodu. Jack jeszcze nigdy nie powiedział mi czegoś podobnego.

– Nie lituj się nade mną – poprosiłam cicho.

– Lily, powiedziałaś przed chwilą, że wcale w ciebie nie zwątpiłem. A teraz ja ci mówię, że dobrze wiesz, że litość jest ostatnią rzeczą, jaką do ciebie czuję.

Leżał przytulony do moich pleców, obejmując mnie jedną ręką. Wiedziałam, że nie śpi. Spojrzałam na zegarek: miałam jeszcze półtorej godziny.

Nie chciałam teraz myśleć o Summer Dawn. Nie chciałam też myśleć o wszystkich ofiarach śmiertelnych, które znaczyły drogę do jej odzyskania.

Chciałam dotykać Jacka. Chciałam zanurzyć palce w jego włosach. Chciałam umieć czytać w jego myślach.

Ale Jack miał zadanie do wykonania i najbardziej na świecie chciał odwieźć Summer Dawn do jej rodziców. Obejmował mnie ramieniem i od czasu do czasu całował w kark, ale jego myśli poszybowały już gdzie indziej, a moje musiały podążyć za nimi.

Chcąc nie chcąc, zaczęłam mu opowiadać, co znalazłam: dwie księgi pamiątkowe, jedną całą, a jedną pozbawioną strony 23, w pokoju Anny Kingery; w pokoju Evy Osborn księgi brakowało. Powiedziałam mu, że Eva Osborn była ostatnio u doktora i że nie zdążyłam się jeszcze dowiedzieć, czy Anna także. Opowiedziałam mu o matce Anny... czy też o kobiecie, którą uważaliśmy za matkę Anny. Wyjęłam z torebki szczotkę do włosów w plastikowym worku oraz zdjęcie nowo narodzonej Anny i położyłam je obok jego aktówki.

Kiedy skończyłam, odwróciłam się do niego. Nie wiem, co wyczytał z mojej twarzy, zaklął tylko pod nosem i odwrócił wzrok.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zapytałam, żeby zetrzeć ten wyraz z jego twarzy.

– Tak jak mówiłem, ten wyjazd to była strata czasu – powiedział bez szczególnego rozdrażnienia. Domyśliłam się, że prywatni detektywi często natrafiają na ślepy trop. – Ale dziś rano wpadłem na komisariat i zabrałem Chandlera i jego kumpla o imieniu Roger na kawę i pączki. A ponieważ byłem kiedyś gliną, a oni chcieli mi udowodnić, że policjanci z małego miasteczka mogą być tak samo bystrzy jak ci z wielkiego miasta, byli nawet dosyć rozmowni.

Odgarnęłam mu włosy z twarzy i pokiwałam głową na znak, że go słucham. Nie chciałam mu uświadamiać, że nic by mu nie powiedzieli, gdyby Chandler nie sprawdził go już wcześniej i nie wybadał mnie na jego temat.

– Powiedzieli mi, że rurką znaną w uliczce z całą pewnością zamordowano lekarza i pielęgniarkę – opowiadał Jack. – I nie było na niej odcisków palców Christophera Simsa. Rurka jest z wierzchu zardzewiała; ktoś przetarł ją jakąś ścierką, żeby ją wyczyścić, ale nie za dobrze mu poszło. Zostawił częściowy odcisk, który nie pasuje do odcisków Simsa. Sims nadal siedzi w areszcie za kradzież, ale w najbliższym czasie raczej na pewno nie zostanie oskarżony o morderstwo.

– Powiedział coś rozsądnego?

– Nie bardzo. Zeznał, że wiele osób odwiedziło go w jego nowym domu, przez który trzeba chyba rozumieć uliczkę między sklepami. To lokalizacja, która łączy go ze wszystkimi ojcami zamieszkanymi w tę sprawę. Jess O'Shea przyszedł do niego jako duszpasterz, Emory pracuje w Makepeace

Furniture, który przylega tyłem do tej uliczki, a apteka Kingery'ego jest zaledwie przecznicę dalej.

– Zauważyłam.

– Wiem – powiedział i przysunął się, żeby mnie pocałować.

Objęłam go za szyję; pocałunek trwał dłużej, niż Jack to sobie zamierzył.

– Znowu cię pragnę – powiedział niskim, chrapliwym głosem.

– Zauważyłam – przysunęłam się do niego jeszcze bliżej. – Ale ślub jest już jutro. Opowiem ci o moich planach na wieczór. Będę się zajmowała wszystkimi dziećmi naraz – Evą, maleństwem, Kristą, Lukiem i Anną – w domu pastorstwa O'Shea i mam nadzieję, że dowiem się czegoś od dzieciaków albo coś tam znajdę.

– Dokąd się wybierają ich rodzice?

– Na przyjęcie. To impreza dla par, więc cieszę się, że mnie ominie.

– Kto miał być twoim partnerem? – zapytał Jack.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że mój wspaniałomyślny gest sprawi kłopot gospodyni przyjęcia, która będzie musiała inaczej usadzić gości.

– Nie wiem – przyznałam. – Chyba drużba Dilla, Berry Duff.

– Był częstym gościem u ciebie w domu?

– Skąd! I wydaje mi się, że wrócił do siebie zaraz po próbnym przyjęciu ślubnym. Jeśli dobrze pamiętam, przyjedzie do Bartley dzisiaj i zatrzyma się gdzieś na mieście, pewnie w tym motelu.

– Spodobałaś mu się.

– Jasne, jestem dziewczyną marzeń każdego faceta – powiedziałam i usłyszałam, że w moim głosie pojawił się ostry ton, ale nie umiałam się powstrzymać.

– A on ci się podoba?

O co mu, do cholery, chodzi?!

– Jest dosyć sympatyczny – stwierdziłam.

– Mogłabyś z nim być – powiedział. Jego błyszczące, brązowe oczy wpatrywały się w moje. Nie mrugał. – On nie wciągałby cię w aferę taką jak ta.

– Hmm – odparłam z namysłem. – Berry jest naprawdę przystojny... i ma własną farmę. Varena powiedziała mi, że ma fantastyczny dom. A jego ogród jest częścią wiosennej trasy po najpiękniejszych ogrodach Arkansas.

Przez sekundę Jack dosłownie mienił się na twarzy. A potem rzucił się na mnie. Przytrzymał mnie za ramiona i przygniótł własnym ciałem.

– Drocysz się ze mną, sprzątaczeko?

– A jak myślisz, detektywie?

– Myślę, że teraz jesteś dokładnie tam, gdzie twoje miejsce – powiedział i pochylił się, żeby mnie pocałować.

– Jack – odezwałam się po chwili. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Tak?

– Nigdy więcej mnie nie przytrzymuj.

Błyskawicznie przeturlał się z powrotem na łóżko i podniósł ręce w geście kapitulacji.

– To dlatego, że tak mi z tobą dobrze – wyjaśnił. – I... i czasem myślę, że jeśli cię nie przytrzymam, po prostu znikniesz. – Popatrzył w bok, a potem znowu spojrzał mi w oczy. – Co ja plotę. – Pokręcił głową nad tym, co mu podsuwała własna wyobraźnia.

Dobrze wiedziałam, co ma na myśli.

– Muszę wracać do domu – powiedziałam. – Będę u pastorostwa O’Shea od mniej więcej piątej trzydzieści.

Poderwałam się i usiadłam plecami do niego, bo musiałam powybierać swoje rzeczy z kupki ubrań leżącej przy łóżku.

Poczułam jego rękę na plecach. Głaskał mnie. Otrząsnęłam się.

– Jakie masz plany? – zapytałam, spoglądając na niego przez ramię, i pochyliłam się, żeby podnieść stanik.

– Mam kilka pomysłów – odpowiedział od niechcienia.

Zapiął mi biustonosz.

Zamierzał zrobić coś niezgodnego z prawem.

– A dokładnie? – Włożyłam koszulkę przez głowę.

– Być może zajrzę dziś do gabinetu doktora.

– A kto cię niby wpuści? Chyba nie zamierzasz się włamywać?

– To akurat żaden problem – zapewnił mnie.

– Ale wiesz, że nic, co zdobędziesz w ten sposób, nie będzie brane pod uwagę jako dowód? – spytałam z niedowierzaniem. – Obejrzałam dosyć seriali, żeby to wiedzieć.

– A masz jakiś inny pomysł, jak poznać ich grupy krwi?

– Grupy krwi? Myślałam, że Summer Dawn nie miała ustalonej grupy krwi? I skąd pewność, że znajdziesz te dane w kartotece doktora LeMaya?

– Leczył wszystkie trzy rodziny.

– Ale ilu dzieciom pobiera się krew do testów?

– Sama powiedziałaś, że Eva przeszła takie badania. Jeśli uda mi się wyeliminować chociaż jedną z nich, będzie nieźle – przekonywał. – Uświadomiłem sobie, że jest tylko kilka grup krwi, które może mieć Summer Dawn. Szczerze mówiąc, przypomniła mi o tym rozmowa z Chandlerem na temat lekcji biologii w twojej szkole.

– Jaką grupę mogłaby mieć Summer Dawn?

– Jej matka ma A, a ojciec 0. Summer także musi mieć grupę A lub 0 – Jack zerknął na kartkę z pliku skserowanych materiałów.

– To znaczy, że jeśli Anna i Eva mają grupę B albo AB, nie mogą być Summer Dawn. I będzie musiała być nią Krista.

– Właśnie tak.

– Mam nadzieję, że to nie Anna – stwierdziłam i natychmiast pożałowałam, że to powiedziałam, w dodatku z nutą desperacji w głosie.

– Ja też mam taką nadzieję, ze względu na twoją siostrę – powiedział szybko Jack i pożałowałam tego jeszcze bardziej.

Czułam, że Jack odsuwa od siebie mój lęk i przypomina mi, że prowadzi dochodzenie, które musi zakończyć. Byłam zła, że musiał mi o tym przypominać.

– Proszę, to twoja skarpetka.

– Jack, a jeśli one wszystkie mają krew grupy A lub 0?

Wzięłam od niego skarpetkę i wciągnęłam ją na stopę. Zanim odpowiedział, zdążyłam zawiązać but.

– Nie wiem. Coś wymyślę – odparł bez większej nadziei w głosie. – Może to ślepa uliczka. Zadzwońię do ciotki Betty i zapytam, czy ma jakieś pomysły. Będę trochę tu, a trochę na mieście, ale możesz próbować łapać mnie tutaj, na wypadek gdybyś mnie potrzebowała. Dziś wieczorem na pewno coś się wyjaśni.

Przed wyjściem z domu rodziców do domu pastorostwa O’Shea zadzwoniłam do Shakespeare, żeby pogadać z moją przyjaciółką Carrie Thrush. Tak jak podejrzewałam, była jeszcze w pracy, ostatni pacjent wyszedł zaledwie kilka minut wcześniej.

– Co słychać?

– Wszystko w porządku – odpowiedziała z zaskoczeniem. – Nie mogę się już doczekać, kiedy skończy się sezon grypowy.

– Dom jeszcze stoi?

Carrie zgodziła się zajrzeć do mnie raz czy dwa i sprawdzić, czy listonosz poważnie potraktował moją kartkę, żeby nie zostawiać żadnych listów. Uznałam, że nie nadużywam jej uprzejmości, bo Carrie spotyka się z

Claude'em Friedrichem, który mieszka w bloku tuż obok mnie. Poprosiłabym samego Claude'a, gdyby nie fakt, że jeszcze utyka po wypadku.

– Lily, w domu wszystko w porządku – powiedziała Carrie, a w jej głosie usłyszałam pogodną pobłażliwość. – Jak się trzymasz?

– Ujdzie – odparłam niechętnie.

– Tym bardziej czekamy na twój powrót. O, wiem, co cię zainteresuje: starszy pan Winthrop wczoraj ni z tego, ni z owego umarł przy kolacji. Miał rozległy zawał serca. Arnita mówi, że nagle osunął się na półmisek ze słodkimi ziemniakami. Zadzwoiła na pogotowie, ale było już za późno.

Pomyślałam, że na wiadomość o śmierci starego tyrana cała rodzina Winthropów pewnie odetchnęła z ulgą, ale nie wypadało powiedzieć tego głośno.

– To był naprawdę ciężki rok dla nich wszystkich – skomentowała Carrie, zupełnie niezrażona brakiem mojej odpowiedzi.

– Spotkałam Bobo przed wyjazdem – powiedziałam jej.

– Jego jeep dwa razy przejechał wczoraj wieczorem pod twoim domem.

– Hmmm.

– Chłopak nie rezygnuje.

Odchrząknęłam.

– Spotka w końcu jakąś rówieśniczkę, która nie będzie się przed nim płaszczyć tylko dlatego, że jest Winthropem. Ma dopiero dziewiętnaście lat.

– Oczywiście – stwierdziła rozbawionym tonem. – Masz przecież swojego prywatnego deprawatora.

Carrie nazywała tak Jacka. Uważała, że to bardzo zabawne. I teraz też na pewno się uśmiechała po drugiej stronie linii.

– Jak tam twoja rodzinka?

– Wszyscy powariowali w związku z tym ślubem.

- A skoro mowa o Jacku, odzywał się ostatnio?
- Jack... jest tutaj.
- Tam? To znaczy w Bartley? – Carrie była zdumiona i pod wrażeniem.
- W sprawie służbowej – wyjaśniłam szybko. – Ma tu coś do roboty.
- No tak. Cóż za zbieg okoliczności!
- Żebyś wiedziała – powiedziałam ostrzegawczo. – Prowadzi dochodzenie.
- To znaczy, że na pewno nie widziałaś się z nim ani razu.
- Ani razu to jednak nie.
- Przyszedł do ciebie do domu?
- Przyszedł.
- Poznał twoich rodziców? – drążyła.
- No dobra, poznał.
- A–ha – przeciągnęła to słowo, tak jakby właśnie dowiodła swoich racji. – Wróci z tobą do Shakespeare?
- Tak.
- Na święta?
- Tak.
- I tak trzymać, Lily!
- Jeszcze zobaczymy – powiedziałam sceptycznie. – A ty? Będiesz w domu?
- Tak, przygotowuję świąteczny obiad, przyjdzie do mnie Claude. Początkowo zamierzałam pojechać do rodziców, chociaż to tak daleko, ale kiedy odkryłam, że Claude zostanie sam, powiedziałam im, że niestety wpadnę do nich dopiero na wiosnę.
- To idzie wam piorunem.
- A co miałoby nas powstrzymywać? Claude jest po czterdziestce, a ja skończyłam trzydzieści pięć.

– Słusznie, nie ma na co czekać – stwierdziłam.

– Cała naprzód!

Przez chwilę słyszałam ją słabiej. Poleciała pielęgniarkę zadzwonić do jakiegoś pacjenta i podać mu wyniki badań. Sekundę później znowu słyszałam ją wyraźnie.

– To mówisz, że kiedy wracasz?

– Nazajutrz po ślubie – oświadczyłam kategorycznie. – Nie wytrzymam ani chwili dłużej.

Roześmiała się.

– To na razie, Lily.

– Na razie. Dzięki, że masz oko na mój dom.

– Nie ma sprawy.

Pożegnałyśmy się i każda z nas odłożyła słuchawkę, mając kilka rzeczy do przemyślenia.

Domyśliłam się, że związek Carrie z komendantem policji Claude'em Friedrichem kwitnie. Miałam nadzieję, że przetrwa. Znałam ich oboje i lubiłam na długo przedtem, zanim zwrócili na siebie uwagę.

Przyłapałam się na tym, że zastanawiam się, co czuje Bobo w związku ze śmiercią swojego dziadka. Byłam pewna, że cierpi, ale jego żal jest pewnie przynajmniej w części pomieszany z ulgą. Bobo i jego rodzice będą mieli wreszcie trochę spokoju, trochę czasu, żeby wrócić do równowagi. Niewykluczone, że znowu mnie zatrudnią.

Zmusiłam się, żeby wrócić myślami do mojego tu i teraz. Za moment powinnam wychodzić. Zostanę z dziećmi w domu pastorostwa O'Shea i będę miała okazję go przeszukać tak jak wcześniej domy Dilla Kingery'ego i Osbornów. Stałam przed lustrem w łazience, poprawiając uczesanie i pudrując twarz, kiedy w końcu zauważyłam, jak kiepsko wyglądam.

Nic już na to nie mogłam poradzić.

U siebie w pokoju włożyłam bożonarodzeniowy dres, ten sam, który nosiłam na paradzie. Uznałam, że jaskrawe kolory mogą sprawić, że wydam się dzieciom sympatyczniejsza. Zjadłam miseczkę sałatki owocowej, która została w lodówce – nie znalazłam w niej nic innego, bo cała rodzina wybierała się na uroczystą kolację.

Kiedy zmywałam, do drzwi zadzwonił Berry Duff. Otworzyłam mu. Uśmiechnął się na mój widok.

– Jaki wesoły strój – zauważył.

– Idę zaopiekować się dziećmi.

Mina mu zrzędała.

– Miałem nadzieję, że uda mi się z tobą porozmawiać przy kolacji.

– To nagły wypadek. Opiekunka rozchorowała się na grypę i nie udało się znaleźć innego zastępstwa.

– Trzymam kciuki, żeby wszystko poszło gładko – powiedział Berry, chyba z powątpiewaniem, tak mi się przynajmniej wydawało. – Z moich doświadczeń z własnymi dziećmi wynika, że w grupie bywają trudne do opanowania.

– Ile mają lat? – zapytałam uprzejmie.

– Jedno dziewięć, a Daniel jest w dziesiątej klasie... chwileczkę... ma już piętnaście lat. To świetne dzieciaki. Nigdy nie mam ich dosyć.

Przypomniałam sobie, że opiekę nad dziećmi sprawuje jego żona.

– Mieszkają na tyle blisko, że możesz się z nimi regularnie widywać?

– Spędzają u mnie co drugi weekend – odpowiedział. Był smutny i zły. – Ale to i tak nic, to zupełnie nieporównywalne z możliwością przyglądania się, jak się rozwijają każdego dnia.

Usiadł na krześle, a ja wróciłam do zmywania.

– Przynajmniej wiesz, gdzie są – powiedziałam, zaskakując tym samą siebie. – Wiesz, że są bezpieczne. Możesz złapać za słuchawkę i do nich

zadzwoń.

Berry spojrzał na mnie ze zrozumiałym zdumieniem.

– To prawda – odparł wolno, ważąc słowa. – Na pewno mogłoby być znacznie gorzej. Masz na myśli to, że moja żona mogła z nimi uciec i zaszyć się gdzieś tak, żeby mi uniemożliwić wszelkie kontakty? To by było straszne. Chyba bym oszalał! – Berry dumał nad tym przez dobrą minutę. – Gdyby do tego doszło, zrobiłbym wszystko, żeby odzyskać dzieci – powiedział w końcu. Spojrzał na mnie. – Dobry Boże, dziewczyno, skąd nam się wziął taki przygnębiający temat? To powinien być dom pełen radości! Jutro ślub!

– Tak – potwierdziłam. – Jutro ślub.

Musiałam być stanowcza. To nie był problem, który mogłabym rozwiązać, boksując i kopiąc. Poklepałam Berry'ego po ramieniu, wprawiając go tym w jeszcze większe zdumienie, po czym włożyłam kurtkę i zawołałam do rodziców, że już wychodzę.

Przemknęło mi przez głowę, że zapomniałam o czymś powiedzieć Jackowi, o czymś drobnym, ale ważnym. Ale nie potrafiłam już tego wydobyć na powierzchnię myśli.

Pastorówka, w której mieszkali państwo O'Shea, była bardzo przestronna, ponieważ duszpasterz, dla którego ją zbudowano, miał piątkę dzieci. Oczywiście było to w 1938 roku. Teraz dom był finansową dziurą bez dna i wymagał wymiany całej instalacji elektrycznej, powiedziała mi Lou w ciągu pierwszych pięciu minut od mojego przyjścia. Sama zauważyłam kilka uzasadnionych powodów do narzekań – chociażby to, że pokoje były wąskie i długie, co bardzo utrudniało rozsądne ustawienie mebli. A chociaż w salonie był kominek, nawet świątecznie przystrojony, komin wymagał generalnego remontu i nie można było w nim napalić.

Żona pastora miała na sobie szarozielony kostium zapięty pod samą szyję i czarne zamszowe czółenka. Jej ciemne włosy uczesane w gładkiego pazia były starannie podkreścone, a zadarty nos został zatuszowany dyskretnym podkładem. Lou wyraźnie się cieszyła, że się wyrwie z domu bez konieczności zabierania ze sobą dzieci, ale równie wyraźnie trochę się obawiała zostawić je ze mną. Bardzo się starała tego nie okazywać, ale kiedy po raz trzeci pokazała mi leżącą tuż obok telefonu listę numerów, pod które mam zadzwonić w razie nagłego wypadku, na końcu języka miałam wyjątkowo ciętą odpowiedź.

Nie wypowiedziałam jej jednak, oczywiście, wzięłam tylko oczyszczający wdech i pokiwałam głową. Mimo to na moich ustach pojawił się chyba jakiś ponury grymas, bo Lou wróciła wzrokiem do mojej twarzy i zaczęła przeproszać za swoją nadopiekuńczość. Żeby jakoś zakończyć przeprosiny, schyliła się i włączyła lampki na choince, która zajmowała niemal jedną czwartą salonu.

Lampki zaczęły migać.

Zacisnęłam zęby, żeby przypadkiem nie powiedzieć czegoś, co Lou z pewnością uznałaby za niestosowne. Świąteczny wystrój pastorówki był równie komercyjny jak we wszystkich innych domach. Po obu stronach nieczynnego kominka, tam, gdzie zwykle stoi komplet pogrzebaczy, opierały się o niego udające cukierki długie prążkowane laseczki z plastiku. Z półki nad kominkiem zwieszała się srebrna girlanda, do której Lou przyczepiła długie plastikowe sople.

Naprzeciw kominka znajdowało się środkowe okno, przed którym ustawiono choinkę. Pod nią jednak zamiast prezentów stała bożonarodzeniowa szopka – drewniana stajenka z całym zastępem pasterzy, Maryją i Józefem, wielbłędami i krowami oraz małym Jezusem w żłóbku.

Do pokoju wkroczył przystojny Jess O'Shea, ubrany w ciemny garnitur ożywiony fantazyjną kamizelką w motywy świąteczne. Na rękę trzymał córeczkę Meredith Osborn, Jane, która ewidentnie była nie w humorze.

Nadszedł czas, żeby udowodnić moją przydatność. Zmusiłam się, żeby wyciągnąć ręce, i Jess umieścił w nich wyjąca Jane.

– Trzeba jej podać butelkę? – wrzasnęłam.

– Nie! – ryknął Jess. – Właśnie ją nakarmiłem!

W takim razie należało poczekać, aż się jej odbije. Po karmieniu następuje bekanie, potem wydalanie, a potem spanie. Tyle już wiedziałam na temat dzieci. Odwróciłam Jane pionowo, oparłam ją sobie o ramię i zaczęłam ją delikatnie poklepywać po pleckach prawą ręką. Mała istotka o czerwonej buzi... Jane była taka maleńka. Tu i ówdzie na gładkiej główce miała kosmyki wijących się jasnych włosów. Powieki zaciskała ze złością, ale kiedy tylko podniosłam ją do pionu, zaczęła płakać jakby słabiej. Małe oczka otworzyły się i spojrzały na mnie przez łzy.

– Cześć – powiedziałam, czując, że powinnam się do niej odezwać.

Do salonu zbiegły się pozostałe dzieci. Luke, młodszy brat Kristy, był małym kłosem, prawie kwadratowym i tak ciężkim, że bardziej tupał, niż chodził. Miał ciemne włosy jak Lou, ale zarys szczęki wskazywał na to, że wdał się bardziej w przystojnego ojca.

Malutka wydała zupełnie niewiarygodne beknienie. Jej ciało z ulgą opadło na moje ramię, które zniemacka zrobiło się mokre.

– Ojej! – zawołała Lou. – Lily...

– Trzeba było podłożyć sobie pieluchę.

Dobra rada Jessa była odrobinę spóźniona.

Spojrzałam małej prosto w oczy, a ona zagaworzyła coś do mnie i zamachała łapkami.

– Potrzymam ją, kiedy pani pójdzie się oczyścić – zaproponowała Eva.

A Krista powiedziała: – Fuuuj! Patrzcie tylko na te białe gluty na ramieniu panny Lily!

– Usiądź na fotelu – poleciłam Evie.

Eva usiadła po turecku na najbliższym fotelu. Umieściłam jej siostrzyczkę na jej podołku i upewniłam się, czy Eva prawidłowo ją trzyma. Trzymała.

W asyście chmary dzieciaków poszłam do łazienki, z szafki z ręcznikami wyjęłam myjkę i zmoczyłam ją, żeby zetrzeć przynajmniej część tego, co ulało się małej na moje ramię. Nie zamierzałam tym pachnieć przez cały wieczór. Krista przez cały czas komentowała moje poczynania, Anna była rozdarta pomiędzy okazywaniem współczucia swojej przyszłej ciotce a manifestowaniem obrzydzenia na widok wymiocin wzorem Kristy, zaś Luke po prostu mi się przyglądał, trzymając się lewą ręką za lewe ucho i szarpiąc kosmyk włosów na czubku swojej głowy ręką prawą, w pozie, która wyglądała, jakby odbierał sygnały z innej planety.

Uświadomiłam sobie, że Luke najprawdopodobniej też nosi jeszcze pieluchy.

Pastorostwo zawołałi, że już wychodzą, i uciekli z domu pełnego dzieciarni, a ja wrzuciłam myjkę do kosza na brudną bieliznę i spojrzałam na zegarek. Najwyższy czas przewinąć Jane.

Usadziłam Luke'a przed telewizorem na drugim końcu salonu, gdzie oglądał sobie bożonarodzeniową kreskówkę i dalej komunikował się z Marsem. Postanowił usiąść prawie pod samą choinką. Migotanie lampek zupełnie mu nie przeszkadzało.

Dziewczynki poszły za mną do dziecinnego pokoju. Eva z poczucia przynależności, bo mała była jej siostrą, Krista z nadzieją, że zobaczy kupę i będzie mogła komentować na żywo, jakie to obrzydliwe, a Anna w oczekiwaniu na to, z której strony powieje wiatr.

Wzięłam czystą jednorazową pieluszkę, położyłam niemowlę na stoliku do przewijania i rozpoczęłam żmudny i skomplikowany proces rozpinania pajacyka Jane w kroku. Przypominając sobie, w jaki sposób przewijałam maleństwo Althausów, odkleiłam przylepce zużytej pieluchy, podniosłam Jane za nóżki, zdjęłam brudną pieluchę, z pojemnika przy przewijaku wyjęłam wilgotną chusteczkę, przemyłam nią, co trzeba, i podłożyłam pod Jane czystą pieluchę. Jej przód przełożyłam między jej maleńkimi nóżkami, zakleiłam przylepce i z powrotem włożyłam małej pajacyk, tylko raz myśląc się przy zapinaniu zatrzasków.

Trzy dziewczynki uznały, że to straszna nuda. Przyglądałam się, jak odmaszerowują do pokoju Kristy. Z pozoru były do siebie podobne, a jednak bardzo się różniły. Wszystkie miały po osiem lat, plus minus kilka miesięcy, były mniej więcej tego samego wzrostu, z tolerancją do kilku centymetrów, wszystkie też miały brązowe oczy i włosy. Ale włosy Evy były długie i wyglądały tak, jakby je ktoś zakręcił lokówką; Eva była chuda i blada. Krista, pulchna i rumiana, miała krótkie, gęste i ciemniejsze włosy i wykazywała większą stanowczość. Jej wystająca szczęka znamionowała silną wolę. Anna miała jasnobrązowe włosy do ramion, średnią budowę ciała i uśmiech w pogotowiu.

Jedna z tych trzech dziewczynek nie była osobą, za którą się uważała. Jej rodzice nie byli ludźmi, których zawsze uważała za swoich rodziców. Jej dom tak naprawdę nie był jej domem, należała do innej rodziny. Nie była najstarszym dzieckiem, tylko najmłodszym. Całe jej życie było kłamstwem.

Zacząłam się zastanawiać, co porabia Jack. Miałam nadzieję, że cokolwiek to jest, Jack nie da się na tym przyłapać.

Poszłam z niemowlęciem do salonu. Luke nadal był pochłonięty kreskówką, ale kiedy weszłam, odwrócił się i poprosił o coś do jedzenia.

Ze skrupulatnością niezbędną przy opiece nad dziećmi umieściłam Jane w jej foteliku i przypięłam ją pasami, żeby nie wypadła, po czym przyniosłam Luke'owi banana z pogrążonej w chaosie kuchni.

– Chcę chipsy. Nie lubię nanów – oświadczył.

Łagodnie westchnęłam.

– Jeśli zjesz banana, dam ci trochę chipsów – powiedziałam najbardziej dyplomatycznie, jak potrafiłam. – Ale dopiero po kolacji. Kolacja będzie już za chwilę.

– Proszę pani! – zapiszczała Eva. – Proszę przyjść nas zobaczyć!

Ignorując marudzenie Luke'a na temat bananów, ruszyłam korytarzem w stronę pokoju, który zapewne należał do Kristy, sądząc po liczbie znaków na drzwiach zabraniających Luke'owi wchodzić do środka.

Nawet nie przypuszczałam, że można się tak odstawić w tak krótkim czasie. Krista i Anna miały makijaż jak pacynki i paradne stroje: tiulowe spódniczki, kapelusze z piórami i miniaturowe wysokie obcasy. Siedząca na łóżku Kristy Eva była wystrojona znacznie skromniej i nie umalowała się w ogóle.

Patrzyłam na upiornie wypacykowane twarze Kristy i Anny i przeżywałam chwile grozy, zanim sobie nie uświadomiłam, że wszystkie te akcesoria znajdowały się w pokoju Kristy, co znaczy, że była to zabawa dozwolona.

– Wyglądacie... uroczo – powiedziałam, nie mając pojęcia, jak powinna wyglądać moja reakcja.

– Ja jestem najładniejsza! – oświadczyła z naciskiem Krista.

Jeśli podstawowym kryterium była ilość makijażu, miała rację.

– A dlaczego pani się nie maluje? – zapytała Eva.

Wszystkie trzy otoczyły mnie kołem i przyjrzały się badawczo mojej twarzy.

– Ma pomalowane rzęsy – uznała Anna.

– I to czerwone? Róż? – Krista oglądała moje policzki.

– Cień do powiek! – zawołała triumfalnie Eva.

– Więcej nie zawsze znaczy lepiej – powiedziałam, ale mój głos był głosem wołającego na puszczy.

– Gdybyś się mocniej umalowała, byłabyś piękna, ciociu Lily – stwierdziła Anna ku mojemu zaskoczeniu.

– Dziękuję. Lepiej pójde sprawdzic, co u malej.

Luke zdążył jej rozpiąć pajacyk i ściągnąć go z nóżek. Właśnie pochylał się nad nią z ostrymi nożyczkami do paznokci.

– Co robisz, Luke? – zapytałam, kiedy odzyskałam oddech.

– Pomagam – powiedział radośnie. – Chcę jej obciąć paznokcie.

Wzdrygnęłam się.

– To miło, że chcesz mi pomóc. Ale musisz poczekać, aż tatuś Jane wróci i powie, czy chce, żebyś to zrobił, czy nie.

Sądziłam, że to dość dyplomatyczne postawienie sprawy.

Luke upierał się jednak, że Jane ma za długie paznokcie u nóg, które zagrażają jej życiu i dlatego muszą zostać obcięte natychmiast.

Ten dzieciak zaczynał budzić moją coraz większą antypatię.

– Słuchaj no – powiedziałam cicho, ucinając dalszą dyskusję.

Zamilkł natychmiast. Wyglądał na wystraszonego.

I dobrze.

– Nie dotykaj malej, chyba że cię o to poproszę – powiedziałam.

Wyglądało na to, że udało mi się zbudować proste zdanie rozkazujące, a Luke najwyraźniej umiał interpretować ton głosu. Upuścił nożyczki. Podniosłam je i schowałam do kieszeni, żeby mieć pewność, że ich nie znajdzie.

Jane razem z fotelikiem zaniiosłam do kuchni i zaczęłam przygotowywać dzieciom kolację. Lou zostawiła im puszkę specjalnego wymyślnego makaronu w sosie, którego nie podałamby nawet psu, gdybym go miała. Podgrzałam sos, starając się go nie wachać. Nałożyłam tę pačkę do miseczek, a następnie pokroiłam gotow galaretkę w kostkę i dodałam do niej plasterki jabłek przygotowane przez Lou. Deser zalałam mlekiem.

Dzieciaki przybiegły i zajęły miejsca przy stole, kiedy tylko je zawołałam. Nawet Luke. Same z siebie pochyliły głowy i chórem wyrecytowały modlitwę przed jedzeniem. Zastygłam bez ruchu – akurat byłam w połowie drogi do lodówki, dokąd odnosiłam karton z mlekiem.

Następnych pięćdziesiąt minut było... wyzwaniem.

Rozumiem, że tuż przed świętami Bożego Narodzenia dzieci są podekscytowane. Zdaję sobie sprawę, że dzieci w grupie ekscytują się bardziej niż pojedynczo. Słyszałam, że kiedy dzieci są pod opieką inną niż rodzicielska, mają zwyczaj sprawdzać, ile im wolno, czy może raczej, ile wytrzyma ich opiekun. Ale podczas tej kolacyjnej demolki naprawdę musiałam zrobić kilka głębszych oddechów. Przysiadłam na taborecie obok kuchennego blatu, na którym ustawiłam fotelik z Jane. Przynajmniej Jane spała. Śpiące niemowlę to niemowlę bliskie ideału.

Kiedy ścierałam rozlany sos pomidorowy, dokładałam plasterki jabłek na talerz Luke'a, powstrzymywałam Kristę od dżgania Anny łyżką, stopniowo zdałam sobie sprawę, że Eva jest cichsza niż pozostałe dzieci. Musiała się wysilać, żeby się włączyć w ogólną wesołość.

Oczywiście, tylko co straciła matkę.

Na wszelki wypadek miałam oko na Evę.

Nie planowałam już, że dowiem się czegoś tego wieczoru – miałam tylko nadzieję, że dotrwam do jego końca. Wcześniej sądziłam, że uda mi się zajrzeć do rodzinnych albumów ze zdjęciami. To było tak ewidentnie

niemożliwe, że byłam przekonana, iż wyjdę stamtąd, wiedząc tyle samo, ile wiedziałam wcześniej.

Na szczęście Krista wzięła sprawy w swoje ręce.

Sięgając po krakersy, które położyłam na środku stołu, przewróciła swoją miseczkę z mlekiem, które spłynęło z blatu prosto na kolana Anny. Anna wrzasnęła, nazwała Kristę debilką i rzuciła mi przerażone spojrzenie. Nie było to słownictwo aprobowane w domu Kingerych, a ponieważ byłam prawie jej ciotką, popatrzyłam na nią z wymaganą surowością.

– Masz ze sobą spodnie na zmianę? – zapytałam.

– Tak, proszę pani – powiedziała Anna markotnie.

– Krista, zetrzyj to tą ściereczką, a ja pójdę z Anną i pomogę jej się przebrać. Te spodnie trzeba od razu wrzucić do pralki.

Podniosłam malutką razem z fotelikiem i zabrałam ją ze sobą, starając się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, tak żeby jej nie obudzić. Anna szła różnym krokiem przede mną, chcąc przebrać się jak najszybciej i wrócić do przyjaciółek.

Było dla mnie jasne, że Anna nie czuje się komfortowo, rozbierając się przy mnie, ale rano nawiązałyśmy pewien kontakt i teraz nie chciała mnie urazić, prosząc, żebym wyszła z pokoju. Bóg jeden wie, jak bardzo nie lubię naruszać cudzej prywatności, ale musiałam to zrobić. Znalazłam bezpieczne miejsce na podłodze dla fotelika Jane i zaczęłam odruchowo ogarniać pokój, a Anna rozwiązała buciki i zdjęła skarpetki, spodnie i majtki. Byłam do niej odwrócona plecami, ale stałam przed lustrem, kiedy zsunęła majtki, a ponieważ odwróciła się do mnie tyłem, mogłam wyraźnie zobaczyć ciemną plamę znamienia na jej biodrze.

Musiałam się oprzeć o ścianę. Gwałtowny przypływ ulgi omal nie zwałił mnie z nóg. To, że Anna miała znamię na biodrze, po prostu musiało

znaczyć, że była dzieckiem ze zdjęcia z porodówki, prawdziwą, rodzoną córką Judy i Dilla, a nie zaginioną Summer Dawn Macklesby.

Naprawdę miałam za co dziękować.

Pozbierałam mokre ubrania, a Anna, przebrawszy się w suche rzeczy, wybiegła z pokoju, żeby dokończyć kolację.

Już sięgałam po fotelik z Jane, kiedy do pokoju przyszła Eva. Stała z rękoma splecionymi za plecami i wbiła wzrok w swoje buty. Coś w jej postawie uruchomiło w mojej głowie dzwonek alarmowy.

– Pamięta pani, kiedy pani przyszła do nas posprzątać? – zapytała, tak jakby to było wieki temu.

Znieruchomiałam. Przypomniałam sobie, jak otworzyłam pudełko z bieliźniarki...

– Czekał – powiedziałam. – Muszę z tobą porozmawiać. Chwileczkę.

Najbliższy i umożliwiający największą dyskrecję aparat telefoniczny stał w sypialni pastorostwa po drugiej stronie korytarza.

Przekartkowałam książkę telefoniczną i znalazłam numer do motelu Jacka. Oby był na miejscu, oby był na miejscu...

Pan Patel przełączył mnie do pokoju Jacka. Jack odebrał po drugim dzwonku.

– Jack, otwórz aktówkę – zakomenderowałam.

Jakieś szuranie i trzaski.

– Już.

– Znajdź zdjęcie małej.

– Summer Dawn? To z gazety?

– Tak. Co ma na sobie niemowlę?

– Takie jednoczęściowe wdzianko.

– Jak ono wygląda?

– Ma długie rękawki i nogawki, zatrzaski...

– Jack, jaki jest wzorek?!

– Aha. Chyba jakieś małe zwierzątko.

Zrobiłam bardzo, bardzo głęboki wdech.

– Jakie zwierzątko, Jack?

– Żyrafy – odparł po długiej, pełnej namysłu przerwie.

– O Boże – powiedziałam, niezbyt świadoma, co mówię.

Do sypialni weszła Eva. Przyniosła ze sobą fotelik z małą. Popatrzyłam na jej bladą twarz; byłam pewna, że wyglądałam na tak wstrząśniętą, jak się czułam.

– Proszę pani – zaczęła słabym, trochę zasmuconym głosem – przyszedł mój tata. Chce nas zabrać do domu.

– Przyszedł – powiedziałam do telefonu i odłożyłam słuchawkę.

Uklękłam przed Ewą.

– Co mi chciałaś powiedzieć? – spytałam. – Nie powinnam była telefonować, kiedy chciałaś ze mną porozmawiać. Proszę, powiedz mi teraz.

Zauważyłam, że moja żarliwość ją zaniepokoiła, ale nie byłam w stanie się opanować. Przynajmniej wiedziała, że traktuję ją poważnie.

– Przyszedł tata, teraz jest już... Muszę wracać do domu.

– Nie, musisz mi powiedzieć – oświadczyłam łagodnie, ale stanowczo.

– Jest pani silna – powiedziała powoli Eva. Nie patrzyła mi w oczy. – Tata powiedział, że mama była słaba. Ale pani nie jest.

– Jestem silna – powtórzyłam, wkładając w to zdanie tyle przekonania, ile tylko mogłam.

– Może... może mogłaby mu pani powiedzieć, że ja i Jane zostaniemy na noc tutaj, tak jak było zaplanowane? Żeby nas nie zabierał do domu?

Zamierzała mi powiedzieć coś innego.

Zacząłam się zastanawiać, kiedy Emory przyjdzie sprawdzić, co nas tak długo zatrzymuje.

– Dlaczego nie chcesz wracać do domu? – zapytałam spokojnie, jakbyśmy miały całe mnóstwo czasu.

– Może jeśli naprawdę chce, żebym ja z nim wróciła, Jane mogłaby zostać tutaj z panią? – spytała Eva i nagle jej oczy napełniły się łzami. – Jest jeszcze taka malutka.

– Nie zabierze jej.

Wyglądała, jakby obezwładniło ją uczucie ulgi.

– I ty też nie chcesz wracać – powiedziałam.

– Nie – wyszeptała.

– W takim razie ciebie też nie zabierze.

Było jasne, że oświadczenie ojcu, że nie może zabrać dzieci do domu, nie przejdzie gładko. Miałam nadzieję, że Jack zdążył już coś znaleźć albo że Emory wykona jakiś fałszywy ruch.

Będzie musiał. Będzie musiał zostać sprowokowany.

Czas zdjąć rękawiczki.

– Zostań tu – przykazałam Evie. – To może być nieprzyjemne, ale nie pozwolę nikomu zabrać stąd ciebie i Jane.

Eva nagle się przeraziła tym, co wywołała, uświadomiwszy sobie, że teraz już nic nie zatrzyma konfrontacji. Właśnie zadecydowała o życiu swoim i swojej siostrzyczki, mając aż całe osiem lat. Byłam pewna, że chciałyby cofnąć wszystko, co powiedziały.

– To już nie jest twój kłopot – zapewniłam ją. – To sprawy między dorosłymi.

Trochę się uspokoiła i zrobiła coś, na widok czego ciarki przeszły mi po plecach: wzięła fotelik z dzieckiem i ustawiła go w rogu pokoju, zastawiła go krzesłem i ukucnęła obok małej.

– Proszę powiesić tu szlafrok pana pastora – poinstruował mnie dziecięcy głosik. – Może nas nie znajdzie.

Poczułam, że całe moje ciało się spina. Podniosłam niebieski welurowy szlafrok, który Jess zostawił w nogach łóżka, i rozwiesiłam go na krześle.

– Zaraz do was wrócę – powiedziałam i przeszłam korytarzem do salonu. Pod pachą nadal trzymałam poplamione mlekiem rzeczy Anny; po drodze wrzuciłam je do łazienki. Musiałam starać się zachowywać możliwie normalnie. W domu były dzieci, miałam je pod opieką.

Emory czekał przy drzwiach. Był ubrany w dżinsy i krótką kurtkę. Zdjął rękawiczki i schował je do kieszeni. Jego blond włosy były starannie uczesane, wyglądał na świeżo ogolonego. Zupełnie jakby... Zawahałam się, żeby to przyznać nawet przed samą sobą.

Wyglądał, jakby przyszedł po dziewczynę, z którą umówił się na randkę.

Jego szczere niebieskie oczy spojrzały prosto w moje. Luke, Anna i Krista grali w grę wideo na drugim końcu pokoju.

– Dobry wieczór, panno Bard – Emory wyglądał na lekko zdziwionego. – Przysłałem do pani Evę, żeby pani powiedziała, że postanowiłem jednak zabrać dziewczynki na noc do domu. Za bardzo się już narzucamy pastorostwu.

Podeszłam do telewizora. Musiałam go wyłączyć, żeby dzieciaki w ogóle na mnie spojrzały. Krista i Luke byli zaskoczeni i źli, ale zbyt dobrze ich wychowano, żeby mi się przeciwstawili. Anna wiedziała, że coś się święci. Popatrzyła na mnie oczyma wielkimi jak spodki, lecz o nic nie zapytała.

– Idźcie się pobawić do pokoju Kristy – zakomenderowałam. Luke otworzył usta, żeby zaprotestować, ale wystarczyło jedno moje spojrzenie, żeby zerwał się na równe nogi i pobiegł do pokoju siostry. Krista popatrzyła

na mnie buntowniczo, ale kiedy Anna, oglądając się na nią, poszła za Lukiem, Krista wyszła za nimi.

Emory przesunął się bliżej w stronę korytarza prowadzącego do sypialni. Opierał się o półkę nad kominkiem. Zdjął kurtkę. Nadal łagodnie się uśmiechał, kiedy dzieci przeszły obok niego. Podeszłam bliżej.

– Dziewczynki zostaną na noc tutaj – oświadczyłam.

Kąciki ust mu zadrgały i jego uśmiech zaczął się załamywać.

– Mogę zabrać stąd moje dzieci, kiedy zechcę, panno Bard – powiedział.

– Sądziłem, że będę potrzebował czasu, żeby spokojnie porozmawiać z siostrą o sprawach związanych z pogrzebem, ale musiała wrócić dziś wieczorem do Little Rock, więc przyszedłem po moje córki.

– Dziewczynki zostaną na noc tutaj.

– Eva! – ryknął nagle. – Chodź tu zaraz!

Usłyszałam, że dzieciaki w pokoju Kristy zamarły z wrażenia.

– Zostańcie tam, gdzie jesteście! – zawołałam, mając nadzieję, że wszyscy zastosują się do mojego polecenia.

– Jak może mi pani odmawiać prawa do zabrania stąd moich córek?

Emory wyglądał raczej na bliskiego łez niż ataku złości, ale w sposobie, w jaki się trzymał, było coś, co kazało mi zachować czujność.

Chwila prawdy.

– Z bardzo prostego powodu, Emory – powiedziałam. – Wiem o tobie wszystko.

Przez ułamek sekundy na jego twarzy mignął przerażający grymas.

– O czym, u diabła, pani mówi? – pozwolił sobie na okazanie uzasadnionego gniewu i obrzydzenia. – Przyszedłem zabrać moje dziewczynki! Nie może mi pani tego zabronić!

– Zależy czego, sukinsynu.

Dopiero wulgarny język skruszył fasadę Emory'ego.

Rzucił się na mnie. Chwycił za plastikowy soplel z wiszący z girlandy pod półką na kominku i gdybym nie złapała go za nadgarstek, wbiłby mi go w szyję. Utrzymując czubek sopla z dala od własnego gardła, straciłam równowagę i pociągnęłam go za sobą. Kiedy z łomotem runęliśmy na podłogę, usłyszałam, że dzieci zaczynają płakać, ale w tej chwili wydało mi się to odległe i mało istotne. Upadłam na bok, przygniatając sobie prawą rękę.

Emory był niski i wyglądał na słabowitego, ale okazał się silniejszy, niż przypuszczałam. Ścisnęłam lewą ręką jego przedramię, utrzymując ostro zakończony kawałek plastiku jak najdalej od własnej szyi; wiedziałam, że jeśli Emory złamie mój opór, na pewno zginę. Jego druga ręka zacisnęła się na moim gardle. Słyszałam, jak charczę.

Próbowałam wyszarpnąć spod siebie prawe ramię, żeby uwolnić rękę. W końcu się udało; sięgnęłam do kieszeni. Wydobyłam z niej nożyczki do paznokci i wbiłam mu je w bok.

Zawył z bólu i gwałtownie się odsunął. Gdzieś straciłam nożyczki, ale teraz miałam wolne obie ręce. Złapałam go oburącz za prawą rękę i zmusiłam, żeby ją cofnął, po czym przeniosłam na niego cały swój ciężar. Przewróciłam go na plecy, ale jego lewa ręka wciąż trzymała mnie za gardło. Staralam się odepchnąć prawe ramię Emory'ego jak najniżej, lecz jego silny uchwyt na mojej szyi uniemożliwiał mi przyciśnięcie jego ręki do podłogi i złamanie jej. Próbowałam usiąść na nim okrakiem; w końcu mi się to udało. Zamiast mebli w salonie widziałam już tylko plamy w odcieniach szarości, usiane ciemniejszymi punktami. Podniosłam się do kucnięcia, po czym z całej siły przygniotłam klatkę piersiową przeciwnika. Z jego płuc uszło powietrze i Emory zaczął walczyć o oddech. Przemknęło mi przez głowę, że mogę stracić przytomność pierwsza. Podniosłam się i wskoczyłam na niego jeszcze raz, ale Emory sprytnie wykorzystał ten

moment, żeby przewrócić się na bok, a ponieważ nadal odpychałam jego prawe ramię, potoczyłam się za nim. Wylądowaliśmy pod samą choinką, pośród migających kolorowych lampek.

Ich migotanie zobaczyłam przez szarą mgłę. Doprowadziło mnie do białej gorączki.

Niespodziewanie puściłam rękę Emory'ego i złapałam za łańcuch światełek. Owinęłam mu go wokół szyi, ale nie byłam w stanie zmienić ręki, żeby pociągnąć na krzyż. Emory przystawił mi do gardła wierzchołek sopła.

Sopel był bardziej tępy niż nóż, a ja jestem umięśniona, więc jego czubek nie wbił się jeszcze, kiedy pętla migających lampek na szyi Emory'ego zaczęła działać.

Puścił lewą ręką moje gardło, żeby szarpnąć za łańcuch lampek, i to był jego poważny błąd, bo zaczęłam już tracić przytomność. Zdołałam obrócić głowę na bok, żeby zminimalizować nacisk sopła. Trochę otrzeźwiałam i poradziłabym sobie, gdyby nie to że Emory, macając wokół siebie lewą ręką, natrafił na stajenkę i wyrznął mnie nią w głowę.

Byłam nieprzytomna przez minutę, ale w ciągu tej minuty pokój opustoszał, a w domu zaległa cisza. Podniosłam się na czworaki i wstałam, opierając się o kanapę. Zrobiłam próbny krok. Mogłam chodzić. Nie potrafiłam ocenić, ile mam siły, ale chwyciłam pierwszy z brzegu przedmiot nadający się do walki, długą plastikową prążkowaną laseczkę, jedną z tych, które Lou ustawiła po obu stronach kominka, i opierając się o ścianę, ruszyłam przed siebie korytarzem. Minęłam łazienkę po lewej i gabinet po prawej stronie. Następne drzwi po lewej prowadziły do pokoju Kristy. Były otwarte.

Ostrożnie zajrzałam za futrynę. Troje dzieci siedziało na łóżku; Anna i Krista przytulały się do siebie, a Luke gorączkowo ssał palec i szarpał się

za włosy. Krista zapiszczała na mój widok. Przycisnęłam palec do ust, a ona histerycznie pokiwała głową. Anna miała szeroko otwarte oczy i wyglądała, jakby chciała mi coś powiedzieć, ale nie wiedziała jak.

Nie byłam pewna, czy zaufają mi, surowej opiekunce, zupełnie obcej osobie, czy Emory'emu, sympatycznemu panu z sąsiedztwa, którego znają od lat.

– Znalazł Evę? – zapytałam niewiele głośniej od szeptu.

– Nie – powiedział Emory i wyszedł zza drzwi. Wcześniej był w kuchni, poznałam to po nożu w jego ręce.

Anna wrzasnęła. Nie winiałam jej za to.

– Anno – zganił ją Emory – grzeczne małe dziewczynki nie robią takiego hałasu.

Anna, śmiertelnie przerażona, że Emory się do niej zbliży, zdusiła kolejny okrzyk strachu; dźwięk, jaki przy tym wydała, był straszliwy. Emory rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

Weszłam do pokoju, podniosłam plastikową laskę i zdzieliłam nią Emory'ego przez ramię z całą wściekłością, jaka się we mnie gotowała.

– Ja nie jestem grzeczna – wycedziłam.

Zawył i upuścił nóż. Postawiłam na nim nogę i kopnęłam go do tyłu czubkiem buta w tej samej chwili, w której Emory na mnie natarł. Plastikowa laseczka najwyraźniej go nie przstraszyła.

Tym razem byłam gotowa i kiedy rzucił się w moją stronę, podstawiłam mu nogę. Gdy się o nią potknął, uderzyłam go laską jeszcze raz, wycelowawszy w kark.

Gdyby nie było przy tym dzieci, kopnęłabym go albo złamałabym mu rękę, żeby zdobyć pewność, że mam go już z głowy. Ale dzieci przy tym były, Luke darł się na całe gardło z zapamiętaniem dwulatka, a Anna i Krista popłakiwały.

Czy jeśli przyłożę mu jeszcze raz, bardzo pogłębię ich traumę? Uznałam, że nie, i podniosłam nogę.

Ale Chandler McAdoo powiedział: „Nie”.

Duch walki opuścił mnie natychmiast. Pozwoliłam, żeby plastikowa laska w czerwono-białe paski wypadła mi z ręki na dywan, i powiedziałam sobie, że powinnam uspokoić dzieci. Jednak w tej samej chwili uświadomiłam sobie mgliście, że moje towarzystwo raczej nie podziela na nie uspokajająco.

– Eva i Jane są za krzesłem w sypialni po drugiej stronie korytarza – powiedziałam.

Mój głos brzmiał, jakbym była wykończona.

– Wiem – odparł Chandler. – Eva zadzwoniła na policję.

– Proszę pani? – odezwał się cienki, łamiący się głosik.

Zmusiłam się, żeby przejść do sypialni. Główka Evy wychyliła się zza krzesła. Usiadłam na łóżku.

– Możesz już przynieść Jane – powiedziałam. – Dziękuję, że zadzwoniłaś na policję. Jesteś naprawdę mądra i bardzo dzielna.

Eva odsunęła krzesło i podniosła fotelik z małą, chociaż teraz jej chude ramionka ledwie mogły go udźwignąć.

Chandler zamknął drzwi.

Natychmiast otworzyły się ponownie i stanął w nich Jack.

Znieruchomiał i przyjrzał mi się uważnie.

– Nic ci się nie stało? – zapytał.

– Nie.

Pokręciłam głową i na ułamek sekundy zwątpiłam, czy będę w stanie ją zatrzymać. Czułam się tak, jakbym wprawiała w ruch wahadło. Z roztargnieniem pogłodziłam się po szyi.

– Ale siniak – zauważył Jack.

Przyglądałam się, jak się zastanawia, w jaki sposób powinien rozmawiać ze mną i z Evą.

Z olbrzymim wysiłkiem podniosłam rękę i pogłaskałam Evę po głowie. Kiedy zaczęła płakać, mocno ją przytuliłam.

Tego wieczoru, kiedy Eva opowiadała policji, co się działo w żółtym domu przy Fulbright Street, trzymałam ją na kolanach. Byli z nami Chandler i Jack, a także Lou O'Shea – Jess koniecznie chciał być obecny przy tej rozmowie jako duszpasterz Ewy, ale Eva zdecydowanie wolała Lou.

Wyglądało na to, że tatuś zaczął się dziwnie zachowywać, kiedy stało się jasne, że rachunki za prowadzenie ciąży i poród Meredith będą znaczne. Coraz bardziej gustował w zabawach ze swoją ośmioletnią córką.

– Zawsze lubił, jak się malowałam szminką – opowiadała Eva. – A najbardziej, jak się przebierałam.

– Co mówiła na ten temat twoja mama? – zapytał Chandler neutralnym tonem.

– Na początku myślała, że to zabawne.

– A kiedy zmieniła zdanie?

– Chyba po Święcie Dziękczynienia.

Artykuł o nierozwiązanych zagadkach kryminalnych ukazał się w gazecie z Little Rock zaraz po tym święcie. Była w nim fotografia niemowlęcia w pajacyku w żyrafki. Takim samym, jaki Meredith trzymała przez te wszystkie lata w pudełku na półce bieliźniarki, na pamiątkę pierwszych dni swojej córeczki.

– Mama była smutna. Chodziła po domu i płakała. Nie umiała zająć się Jane. Mama... – Eva zniżyła głos niemal do szeptu. – Mama zaczęła mi zadawać dziwne pytania.

– O co? – zapytał Chandler.

– O to, czy tatuś mnie jakoś dziwnie nie dotyka.

– Aha. I co jej odpowiedziałaś?

Chandler mówił cicho i zwracał się do Evy z szacunkiem. Nie wiedziałam, że mój stary przyjaciel ma w sobie tyle delikatności.

– Że nie, nigdy nie dotykał mnie... tam. Ale lubił się bawić w „Chodź no tutaj, dziewczynko”.

Żołądek podszedł mi do gardła.

Bez wdawania się w szczegóły, chodziło z grubsza o to, że Emory lubił wołać do siebie uszminkowaną i uróżowaną Evę, która miała się zachowywać tak, jakby się w ogóle nie znali, i dotykać go przez spodnie.

– Co było dalej? – zapytał Chandler po dłuższej chwili.

– On i mama okropnie się pokłócili. Mama powiedziała, że muszą porozmawiać o tym, jak się urodziłam, tatuś powiedział, że nie ma zamiaru, a ona na to, że... sama już nie pamiętam.

Czy Meredith zapytała go, czy Eva jest ich dzieckiem? Spytała go, czy ją molestuje?

– A potem mama albo tata zabrali moją księgę pamiątkową i wyrwali z niej jedną stronę. Nie wiem kto, ale kiedy raz wróciłam ze szkoły, brakowało w niej kartki z moim ulubionym zdjęciem mnie, Anny i Kristy. Pewnie to mama, bo strona była ładnie wycięta. Więc następnego razu, kiedy nocowałam u Anny, zabrałam księgę ze sobą, żeby mama nie mogła wycinać nowych stron.

Jack i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– A potem mama powiedziała, że musi mi zrobić badanie krwi. Więc poszliśmy do doktora LeMaya i on i panna Binnie pobrali mi trochę krwi i powiedzieli, że ją zbadają, a ponieważ byłam bardzo grzeczna, pan doktor dał mi lizaka. Mama powiedziała, że nie mam o tym nikomu mówić, ale tatuś i tak zobaczył ślad po igle, kiedy mnie kąpał wieczorem! Ale ja mu nic nie powiedziałam, naprawdę!

Po policzkach Evy stoczyły się wielkie łzy.

– Nie zrobiłaś nic złego, nikt tutaj tak nie uważa – powiedziałam do niej. Nie uświadamiałam sobie, jak bardzo jest spięta, dopóki się nie rozluźniła.

– No i tatuś się domyślił. Chyba zaczął szukać i znalazł kwitek, który mama dostała od pana doktora.

Wynik badania krwi? Rachunek za jego wykonanie?

– I następnego dnia wieczorem powiedział, że mama potrzebuje odpoczynku, i zabrał nas na kolację do miasta.

– Wsiadłaś do samochodu, prawda? – zapytał Chandler.

– Tak, razem z Jane. Właśnie przypinałam jej fotelik, kiedy tatuś powiedział, że zapomniał rękawiczek. Otworzył bagażnik, coś z niego wyjął, włożył to na siebie i wszedł do domu. Po kilku minutach wrócił, niósł coś pod pachą. Wrzucił to do bagażnika i pojechaliśmy do restauracji. A kiedy wróciliśmy... – Eva rozplakała się na dobre.

Chandler z kluczykami Emory'ego wyszedł na zewnątrz, żeby sprawdzić jego bagażnik. Wrócił po pięciu minutach.

– Muszę tu wpuścić kilka osób, które się rozejrzą i zrobią zdjęcia – powiedział cicho. – Chodź, kochanie, połóżysz się na chwilę do łóżka i spokojnie sobie poleżysz.

Zalana łzami Lou wyciągnęła ramiona do Evy, która pozwoliła jej wziąć się na ręce i wynieść z pokoju.

– Co było w bagażniku? – zapytał Jack.

– Przezroczysty plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy, cały zaplamiony, oraz nóż kuchenny.

Wzdrygnęłam się.

Jack i Chandler wdali się w bardzo poważną rozmowę.

Chandler zadzwonił do swoich ludzi, którzy zaczęli już przeszukiwać dom przy Fulbright Street. Mniej więcej po półgodzinie tyczkowaty detektyw Brainerd przywiózł do sypialni pastorówki znane mi pudełko.

Jack włożył rękawiczki, zdjął pokrywkę i zaczął się uśmiechać.

Dill i Varena już dawno zabrali Annę do domu; założyłam, że powiadomili moich rodziców, co się ze mną dzieje.

Jack zawiózł mnie do swojego pokoju w motelu, a sam pojechał do więzienia, żeby porozmawiać z Emorym Osbornem.

Kiedy wrócił, nadal leżałam na wznak na łóżku i gapiłam się w sufit. Nadal miałam na sobie kurtkę. Bolało mnie gardło.

Jack bez słowa otworzył notes z adresami, który wyciągnął z teczki. Podniósł słuchawkę, wziął głęboki oddech i wybrał numer.

– Roy? Jak się masz? Tak, wiem, która jest godzina. Ale uznałem, że ty powinieneś zadzwonić do Teresy i Simona. Powiedz im, że znaleźliśmy małą. Oczywiście, że nie żartuję, nie żartowałbym z czegoś takiego. Nie, nie chcę do nich dzwonić, to twoja sprawa.

Jack odsunął trochę słuchawkę od ucha i usłyszałam, jak Roy Costimiglia wrzeszczy z radości na drugim końcu linii. Kiedy jego krzyki trochę osłabły, Jack zaczął opowiadać, próbując przekazać Royowi jak najwięcej w kilku zdaniach.

– Nie, tego nie wiem... Lepiej będzie, jak zadzwonią do swojej prawniczki, niech ona przyjedzie tutaj przed nimi. Myślę, że to jeszcze trochę potrwa, ale Osborn się przyznał. Tak. – Jack powoli położył się na wznak tuż obok i przytulił do mnie. – Odebrał poród własnego dziecka w domu i ono zmarło. Wydaje mi się to lekko podejrzanе, urodził się chłopczyk... a on zdecydowanie woli dziewczynki. Tak czy inaczej, czuł się winny i nie mógł się zdobyć, żeby powiedzieć o tym żonie. Dał jej mocny środek przeciwbólowy, który sam brał po urazie kręgosłupa, straciła

przytomność, a on zaczął jeździć po okolicy, zastanawiając się, jak jej powiedzieć, że dziecko nie przeżyło. Mieszkał wtedy w pobliżu Conway i jeździł bez żadnego planu po miasteczku, tak przynajmniej twierdzi. Tak, też tego raczej nie kupuję, zważywszy... czekaj, daj mi dokończyć. – Jack rzucił z nóg buty. – Mówi, że przejeżdżał obok Macklesbych i rozpoznał ich dom, bo jakieś cztery miesiące wcześniej dostarczał im kanapę. Teresa wpadła mu wtedy w oko, uznał, że jest ładna. Nagle przypomniał sobie, że przecież była w ciąży, był ciekaw, czy już urodziła... przez chwilę obserwował dom, mówi, że był tak zrozpaczony, że nie potrafił wrócić do siebie i stawić czoła żonie. I zniemacka dostał szansę, żeby wszystko wyprostować. Zobaczył, jak Teresa wychodzi z małą w foteliku na ganek, zatrzymuje się, odstawia ją i wraca do środka. Taka wyrodna matka nie zasługuje na dziecko, pomyślał, a ma już przecież dwoje. Jego żona nie ma żadnego. I zabrał Summer Dawn ze sobą do domu.

Teraz zaczął coś mówić Roy. Rozgrzana i uspokojona ciepłem ciała Jacka, poczułam, jak moje powieki stają się coraz cięższe. Przewróciłam się na bok, twarzą do niego, i zamknęłam oczy tylko na minutkę, bo włączył lampę na nocnym stoliku i jej światło mnie oślepiało.

– Następnego dnia zawiózł Meredith do lekarza i powiedział mu, że był już z dzieckiem u pediatry. Nie mógł pozwolić, żeby ten lekarz zbadał małą, bo wiedział, że pępek jest zagojony znacznie lepiej niż u jednodniowego noworodka.

Roy mówił coś przez minutę. Słyszałam tylko odległe brzęczenie. Nie otwierałam oczu.

– Tak, do wszystkiego się przyznał. Mówi, że to była wina jego żony, bo urodziła dziecko, które zmarło, a w dodatku chłopca, bo przeszkodziła mu w zabawach z dziewczynką, którą tak przemyślnie dla niej zdobył, bo zaczęła się zastanawiać, skąd ona właściwie się wzięła, kiedy zobaczyła

zdjęcie w gazecie... Meredith faktycznie zrobiła małej badania krwi i zdobyła pewność, że nie może być jej matką. Ale kochała ją tak bardzo, że nie mogła się zdecydować, co zrobić. Emory dowiedział się o badaniach, uznał, że Meredith jest zdrajczynią, i zabił ją. Włamał się do mojego pokoju w motelu, znalazł przesyłkę, którą do ciebie wysłała... i poczuł się usprawiedliwiony.

Znowu przyszła kolej na Roya.

Potem Jack zapytał: – Zadzwońisz do nich zaraz czy zaczekasz do rana?

A potem urwał mi się film.

– Skarbie?

Zamrugałam.

– Co?

– Skarbie, jest już rano.

– Co?!

– Musisz wracać do domu i przygotować się do ślubu, Lily.

Gwałtownie otworzyłam oczy. Niewątpliwie był już dzień. W panice spojrzałam na zegarek przy łóżku. Wydałam przeciągłe westchnienie ulgi, przekonawszy się, że jest dopiero ósma.

Jack stał przy łóżku. Właśnie wyszedł spod prysznica.

Zazwyczaj rano wyskakuję z łóżka i zabieram się do rozgrzewki, ale dziś czułam się półprzytomna. Wtedy przypomniałam sobie przebieg poprzedniego wieczoru i zrozumiałam, gdzie jestem.

– O rany, muszę wracać do domu, mam nadzieję, że się o mnie nie martwią – powiedziałam. – Byłam taką dobrą córką przez całą wizytę, wszystko robiłam, jak należy! I zepsułam to ostatniego dnia!

Jack się roześmiał. To był miły dźwięk.

Usiadłam na łóżku. Najwyraźniej w nocy Jack zdjął mi kurtkę. Spałam w ubraniu, nie wzięwszy przedtem prysznica, i musiałam jak najszybciej

wyszorować zęby. Gdy Jack się nachylił, żeby mnie przytulić, szybko się odsunęłam.

– Nie, nie, nie! – zawołałam stanowczo. – Nie teraz. Jestem odrażająca!

Kiedy Jack zrozumiał, że mówię serio, usiadł na fotelu.

– Chcesz, żebym przyniósł dla nas kawy? – zapytał.

– Dziękuję, że o tym pomyślałeś, ale powinnam jak najszybciej wracać do domu i pokazać się rodzicom.

– W takim razie zobaczymy się na ślubie.

– Dobrze.

Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam go po ramieniu.

– Co robiłeś wczoraj wieczorem?

– Kiedy ty zmagalaś się z prawdziwym porywaczem? – Jack rzucił mi ponure spojrzenie. – No cóż, kochanie, próbowałem stuknąć twojego przyszłego szwagra.

– Proszę?

– Uznałem, że jedynym sposobem, żeby zajrzeć komuś do bagażnika – co, jeśli pamiętasz, było twoim pomysłem – jest spowodować stłuczkę z udziałem jego samochodu. Po takim wypadku zajrzenie do bagażnika byłoby uzasadnione. Doszedłem zresztą do wniosku, że jeśli wjadę w nich pod odpowiednim kątem, bagażniki otworzą się same.

– Wjechałeś w samochód Jessa?

– Tak.

– I Dilla też?

– Miałem taki zamiar. Ale uznałem, że mogę dostać urazu kręgosłupa i postanowiłem się najpierw zwyczajnie włamać do samochodu Emory’ego. Wtedy zadzwoniłaś. Przyjechałem pod pastorówkę w momencie, kiedy twój były chłopak właśnie parkował. I on mnie skuł.

– Co takiego?!

– Nie chciałem się zgodzić, żeby wszedł jako pierwszy, więc zakuł mnie w kajdanki.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Próbowałam zachować powagę.

– Lepiej pójde się doprowadzić do porządku – oświadczyłam. – Naprawdę przyjdiesz na ślub?

– Przecież wziąłem garnitur – przypomniał mi.

Dzień ślubu Vareny był jedyną taką okazją, kiedy moi rodzice zdołali się powstrzymać od rzucania mi spojrzeń pełnych dezaprobaty. Nie byli zachwyceni, kiedy Jack odstawił mnie pod dom w biały dzień, ubraną w ciuchy, które nosiłam poprzedniego dnia.

Ale w ogólnym rozgardiaszu panującym w dniu ślubu – a także w jego przededniu – można było przymknąć na to oko.

Wzięłam bardzo długi prysznic i dwukrotnie umyłam zęby. Żeby odzyskać kontrolę nad własnym ciałem, ogoliłam nogi i pachy, wyregulowałam brwi i spędziłam dziesięć czy piętnaście minut, nakładając balsam, krem i makijaż.

Dopiero później, kiedy przyszedłam do kuchni w szlafroku, żeby się napić kawy, moja matka zobaczyła siniaka.

Kubek z kawą o mało nie wypadł jej z ręki.

– Lily! Twoja szyja!

Przejrzałam się w małym lusterku wiszącym w korytarzu obok wejścia do kuchni. Moją szyję zdobił dorodny ciemnobrązowy siniak.

– Emory – powiedziałaam tytułem usprawiedliwienia i dopiero wówczas zauważyłam, że nieprawdopodobnie chrypię.

Dotknęłam sińca. Bolało. Jeszcze jak.

– Nic mi nie będzie – oświadczyłam. – Naprawdę. Muszę się tylko napić czegoś ciepłego.

I więcej już nie wracaliśmy do tematu.

Jeszcze nigdy mi się tak nie upiekło jak w dzień ślubu Vareny.

A następnego ranka, w Boże Narodzenie, wyruszyłam do domu, do Shakespeare.

Po drodze myślałam o tym, co się stanie z małą Jane, którą Eva (nie potrafiłam myśleć o niej inaczej niż jako o Evie Osborn) uważała za siostrę. Zastanawiałam się, co się wydarzy w ciągu następnych dni, kiedy państwo Macklesby będą wreszcie mogli przytulić swoją córkę. Próbowałam przewidzieć, kiedy będę musiała wrócić, żeby zeznawać na procesie Emory'ego. Na samą myśl o kolejnej wizycie w Bartley wstrząsały mną dreszcze, ale miałam nadzieję, że z czasem mi się poprawi.

Nie musiałam z nikim rozmawiać ani nikogo słuchać przez cztery bite godziny. Widok zapuszczonych przedmieść Shakespeare był tak miły mojemu sercu, że wzruszyłam się prawie do łez. Dekoracje świąteczne, dym unoszący się z kominów, puste skwery i ulice. Były święta Bożego Narodzenia. Jeśli moja przyjaciółka doktor Carrie Thrush nie zapomniała, indyk jest rozmrożony i tylko czeka, żeby go wstawić do piekarnika. A Jack, który zahaczył o Little Rock, żeby zabrać z domu parę rzeczy, jest już w drodze. Prezenty, które dla niego kupiłam, dawno zapakowane czekają w szafie. Duszony szpinak, zapiekanka ze słodkich ziemniaków i sos żurawinowy są jeszcze w zamrażarce. Wjechałam na swój własny podjazd i zostawiłam za sobą przeszłość.

Będę miała prawdziwie szekspirowskie święta.

Odwrociłam się, żeby spojrzeć na moją siostrę. Patrzyła na zamknięte drzwi na końcu poczekalni. Usłyszałyśmy słaby, przerażający dźwięk. Dźwięk, jaki wydają umierający. Już go kiedyś słyszałam.

Przed Lily długo odkładano wizyta w rodzinnym mieście. Co gorsza, okazja wymaga falbanek i koronek — jej siostra **wyprawia wielkie prowincjonalne wesele**. Ale przygotowań nie zdominują bezy, welony i kwiaty.

Miejscowy lekarz i pielęgniarka zostali brutalnie zamordowani, a dobrze znany Lily detektyw szuka porwanej dziewczynki. Lily ma tylko kilka dni, żeby dowiedzieć się, **kim naprawdę jest jej przyszły szwagier**.

Książki Charlainé Harris sprzedały się na świecie w kilkunastu milionach egzemplarzy. To pierwsza autorka, której siedem książek równocześnie znalazło się na liście bestsellerów „New York Timesa”. W nowej serii Harris przedstawia Lily Bard, młodą wielbicielek siłowni i karate, która rozwiązuje zagadki kryminalne.

W serii również:
Czysta jak łaza
Czyste szaleństwo

INTERIA.PL

STYLE.PL

GILDIA.PL

z6r

www.znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBRĄ STRONĄ

Cena detal. 32,90 zł

ISBN 978-83-240-1636-5



9 788324 016365